www.polska-zbrojna.pl

polska zbrojna

NR 7 (867) LIPIEC 2018 INDEKS 337 374 ISSN 0867-4523

CENA 6,50 ZŁ (W TYM 8% VAT)

ROZMOWA

Minister MARIUSZ BŁASZCZAK

o reformie systemu kierowania i dowodzenia siłami zbrojnymi

Ramię w ramię

WSZYSTKO O OBECNOŚCI WOJSK SOJUSZNICZYCH W POLSCE

Żołnierze pięciu państw są jak palce jednej dłoni, a ta musi być gotowa do zaciśnięcia się w pięść i uderzenia.

ISSN 08674523 07
9 770867 452809

PACZKA DLA BOHATERA
A.D. 2010

WALCZYLI DLA NAS
ZAWALCZMY DLA NICH

PPŁK. ZBIGNIEW GALPERYN
PS. "ANTEK"
BATALION "CHROBRY I" AK
POWSTANIEC WARSZAWSKI

JEDEN Z PONAD 1500
PODOPIECZNYCH
PACZKI DLA BOHATERA

WALCZYMY O PAMIĘĆ

DLA BOHATERÓW
NARODU POLSKIEGO

WIĘCEJ O NAS
PaczkaDlaBohatera

WSPOMÓŻ NASZĄ DZIAŁALNOŚĆ
44 1140 2004 0000 3202 7690 1396

Z SZEREGU WYSTĄP

IZABELA BORAŃSKA-CHMIELEWSKA

AMERYKAŃSCY ŻOŁNIERZE STACJONUJĄ W POLSCE W RAMACH WZMOCNIONEJ WYSUNIĘTEJ OBECNOŚCI NATO ORAZ AMERYKAŃSKIEJ INICJATYWY EUROPEAN REASSURANCE INITIATIVE.

To dla nich niecodzienna służba. Jak podkreślają w rozmowach z nami – są ciekawi Polski, a różnice, np. w sposobie szkolenia i podejścia do służbowych zadań, traktują jako naukę i inspirację. Na poligonach w Żaganiu, Świętoszowie, Bolesławcu czy Orzyszu zawiązują się polsko-amerykańskie przyjaźnie. Polskie wojsko troskliwie opiekuje się sojusznikami, dzięki czemu czują się oni w naszym kraju jak w domu. Wielu podejmuje trud opanowania języka polskiego. Poznają również naszą historię i z przyjemnością zwiedzają różne zakątki Polski. W lipcowym numerze pokazujemy Państwu, jak wygląda służba sojuszników w naszym kraju. Towarzyszymy im również podczas ósmej już edycji ćwiczeń „Saber Strike '18". Przyglądamy się, jak żołnierze z 20 państw pokonują przeszkody, obserwujemy desant i przerzut sprzętu oraz integrację pododdziałów.

W rozmowie z dziennikarzami „Polski Zbrojnej" Mariusz Błaszczak, minister obrony narodowej, odpowiada na pytania dotyczące założeń reformy systemu dowodzenia, a także ocenia szanse pogłębienia współpracy Polski i USA. „Ubieganie się o stałe bazy armii USA w naszym kraju jest ważne dla bezpieczeństwa zarówno Polski, jak i międzynarodowego", zaznacza minister.

Aby lepiej zrozumieć politykę zagraniczną prowadzoną przez Donalda Trumpa, warto także przeczytać wywiad z dr. Grzegorzem Kostrzewą-Zorbasem, ekspertem w sprawach międzynarodowych, który wyjaśnia, czy musimy się dziś obawiać zmiany kursu NATO. Ponadto prezentuje pomysły na okiełznanie północnokoreańskiego reżimu. ■

Zapraszamy Państwa do lektury.

PZ VII 2018 / nr 7 (867)

MACIEJ CHILCZUK, MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER, TADEUSZ WRÓBEL

8 Modelowanie systemu dowodzenia

Rozmowa z Mariuszem Błaszczakiem

TEMAT NUMERU

MAGDALENA MIERNICKA
16 Ramię w ramię
Brygadowa Grupa Bojowa NATO

KRZYSZTOF WILEWSKI
24 Wielki sprawdzian
Rozmowa z Krzysztofem Motackim

BOGUSŁAW POLITOWSKI
26 Fort dwóch narodów

MICHAŁ ZIELIŃSKI
29 Jak nas widzą?

KRZYSZTOF WILEWSKI
32 Czwarty element

EWA KORSAK, MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
34 Skrzydła jedności

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
38 Filar wschodniej flanki
Rozmowa z Michałem Baranowskim

PIOTR RASZEWSKI
42 Drugie życie lotniska
Wojsko wróciło do Nowego Miasta nad Pilicą

MAGDALENA MIERNICKA
47 Dwudziestu za jednego

ŁUKASZ ZALESIŃSKI
52 Morska lekcja partnerstwa

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
56 Za płotem poligonu

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
59 Oczy dookoła głowy

BOGUSŁAW POLITOWSKI
62 Wpatrzeni w niebo

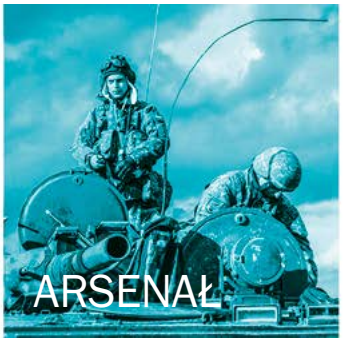

TADEUSZ WRÓBEL
70 Metoda małych kroków
Modernizacja po słowacku

ANDRZEJ PAWŁOWSKI
78 Niezniszczalny pancerz

RAFAŁ CIASTOŃ
81 Od jastrzębia do concorde'a

TOMASZ OTŁOWSKI
82 Szalony plan Ghaniego!
Próby zawarcia pokoju z talibami

MICHAŁ ZIELIŃSKI
88 As ze znaczonej talii kart

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
92 Kurs na niewiadomą
Rozmowa z Grzegorzem Kostrzewą-Zorbasem

MICHAŁ ZIELIŃSKI
98 Gorzki smak zwycięstwa

ROBERT SENDEK
102 Nadciąga rosyjska burza

PRZEMYSŁAW MILLER
105 Atomowy Titanic

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
108 Demony przeszłości

TOMASZ OTŁOWSKI
109 Miasto polem bitwy

TADEUSZ WRÓBEL
111 Jeden teatr

ANNA DĄBROWSKA
112 Pamięć jak ziarnka piasku
Idea budowy kopca Obrońców Lwowa

MACIEJ NOWAK-KREYER
118 Odkrywanie Ameryki

PIOTR KORCZYŃSKI
121 Ja się tylko za Polskę biję

TADEUSZ WRÓBEL
124 Zwrotne średniaki

KRZYSZTOF KUBIAK
127 Głęboka dywersja

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
128 Bez ograniczeń
Polscy weterani na Invictus Games

PAULINA GLIŃSKA
133 Alpejskie wyzwanie

ROBERT SENDEK
136 Irokez na wojnie

PIOTR KORCZYŃSKI
140 Frontowe szczęście
Rozmowa z Włodzimierzem Cieszkowskim

ANNA DĄBROWSKA
144 Odnaleziony po latach

ANDRZEJ FĄFARA
154 Wojna stu godzin

Zdjęcie na okładce:
Wojciech Strozyk/REPORTER

Znajdziesz nas tutaj:

WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

DYREKTOR WOJSKOWEGO INSTYTUTU WYDAWNICZEGO
Maciej Podczaski,
sekretariat@zbrojni.pl;
tel.: 261 845 365, 261 845 685, faks: 261 845 503;
Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

REDAKTOR NACZELNY POLSKI ZBROJNEJ
Izabela Borańska-Chmielewska,
tel.: 261 840 222; ibc@zbrojni.pl

SEKRETARZ REDAKCJI, Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO
Aneta Wiśniewska, tel.: 261 845 213
Zastępcy sekretarza redakcji
Katarzyna Pietraszek, tel.: 261 840 227;
Joanna Rochowicz, tel.: 261 845 230;
polska-zbrojna@zbrojni.pl

TEKSTY
Anna Dąbrowska, Paulina Glińska, Piotr Korczyński, Ewa Korsak, Magdalena Kowalska-Sendek, Magdalena Miernicka, Bogusław Politowski, Małgorzata Schwarzgruber, Robert Sendek, Jacek Szustakowski, Krzysztof Wilewski, Tadeusz Wróbel
WSPÓŁPRACA: Maciej Chilczuk, Rafał Ciastoń, Andrzej Fąfara, Krzysztof Kubiak, Maciej Nowak-Kreyer, Przemysław Miller, Tomasz Otłowski, Andrzej Pawłowski, Piotr Raszewski, Łukasz Zalesiński, Michał Zieliński

ZDJĘCIA
Michał Niwicz, Jarosław Wiśniewski

GRAFIKA
Marcin Dmowski (kierownik), Paweł Kępka, Monika Siemaszko, tel.: 261 845 170; Andrzej Witkowski (fotoedytor), tel.: 261 845 579

OPRACOWANIE STYLISTYCZNE
Marta Sachajko (kierownik), tel.: 261 845 244;
Renata Gromska, January Szustakowski

MARKETING I PROMOCJA
Piotr Zarzycki (kierownik), Agnieszka Karaczun, Anita Kwaterowska (tłumacz), Radosław Lechowicz, Marta Szulc, Małgorzata Szustkowska, tel. 261 845 387, 261 845 180, faks: 261 845 503; reklama@zbrojni.pl

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE
Poczta Polska Usługi Cyfrowe Sp. z o.o.
ul. Duninowska 9a, 87-823 Włocławek
tel: 542 315 201, 502 012 187
elzbieta.kurlapska@poczta-polska.pl

Numer zamknięto: 22.06.2018 r.

DRUK

ARTDRUK ul. Napoleona 2, 05-230 Kobyłka,
www.artdruk.com

PRENUMERATA
Zamówienia na prenumeratę wydań papierowych „Polski Zbrojnej" można składać poprzez:
– www.polska-zbrojna.pl
– www.prenumerata.ruch.com.pl
– www.garmondpress.pl/prenumerata
– www.kolporter.com.pl/prenumerata
Sprzedaż bieżących wydań elektronicznych, w tym prenumeraty wydań elektronicznych „Polski Zbrojnej", dostępna na: http://e-kiosk.pl, www.egazety.pl

PARTNER
Narodowe Archiwum Cyfrowe.
220 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl

Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów.
Egzemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji wewnętrznej są bezpłatne. Informacje: 261 840 400.
Zasady przekazywania redakcji miesięcznika „Polska Zbrojna" materiałów tekstowych i graficznych opisuje regulamin dostępny na stronie głównej portalu polska-zbrojna.pl.

ADAM ROIK/COMBAT CAMERA DORSZ

Wiropłaty dla armii

Resort obrony nie rezygnuje z programu śmigłowcowego.

Odwołanie zaproszenia do składania ofert w sprawie zakupu śmigłowców dla wojsk specjalnych wynika ze zmiany kolejności realizacji potrzeb sił zbrojnych i nie oznacza całkowitej rezygnacji z zakupu tych maszyn", mówił w Sejmie Wojciech Skurkiewicz, wiceminister obrony. Odniósł się w ten sposób do anulowania przez Inspektorat Uzbrojenia MON zaproszenia do składania ofert ostatecznych w przetargu na dostawę ośmiu śmigłowców bojowego poszukiwania i ratownictwa CSAR-SOF. Przetarg został ogłoszony w ubiegłym roku. Zgłosiły się do niego trzy podmioty: Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego PZL Świdnik SA (zaproponowała maszynę AW101), PZL Sp. z o.o. wraz z firmą Sikorsky Aircraft Corporation (S-70i Black Hawk International) oraz Airbus Helicopters SAS wraz z Heli Invest Sp. z o.o. Services Sp. K.A. (oferujący H225M Caracal). Wiceszef MON-u dodał, że przy realizacji programu trzeba określić, które śmigłowce są potrzebne armii w pierwszej kolejności. Podkreślił też, że maszyny, które służą wojskom specjalnym, są najnowsze w siłach zbrojnych. Zaznaczył też, że najważniejszy jest teraz zakup maszyn do zwalczania okrętów podwodnych. Przetarg na osiem takich maszyn, wyposażonych w sprzęt medyczny pozwalający na prowadzenie akcji poszukiwawczo-ratowniczych, ogłoszono w 2017 roku. W przetargu wystartowały: WSK PZL Świdnik SA, oferując maszynę AW101, oraz Airbus Helicopters SAS wraz z Heli Invest Sp. z o.o. Services Sp. K.A. z H225M Caracal. MON zapowiedziało, że umowa na tego typu śmigłowce ma zostać podpisana jeszcze w tym roku.

Jak podało MON, za kilka miesięcy zostanie wszczęte także postępowanie przetargowe na nowe śmigłowce uderzeniowe w programie „Kruk", a umowa na nie ma być podpisana w przyszłym roku. Wiceminister poinformował, że pierwsze maszyny trafią do Polski po 2022 roku. Docelowo mają być kupione 32 takie śmigłowce. PZ, KW, AD ■

TRADYCJA I NOWOCZESNOŚĆ

Rozstrzygnięto konkurs na ławki upamiętniające 100. rocznicę odzyskania niepodległości.

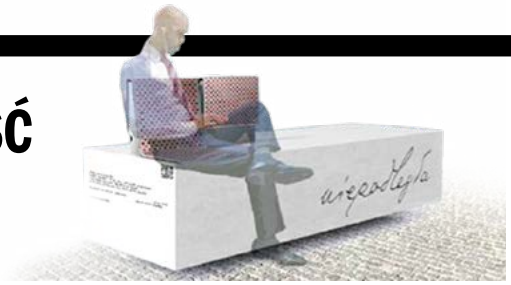

W konkursie resortu obrony wygrał projekt Marty Rosiak z Warszawy – biała, prosta ławka, na której widnieje kopia zapisanego przez marszałka Józefa Piłsudskiego słowa „niepodległa". „Ławka jest delikatna, skromna, a rzeźbą będą ludzie, którzy na niej usiądą. Historia naszej niepodległości jest przecież pisana na bieżąco, przez nowe pokolenia Polek i Polaków", tłumaczy autorka. Zdaniem jury mocną stroną projektu jest nie tylko wygląd i prosty przekaz zawierający odniesienia do 100. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości. Ławka będzie multimedialna, a siedząca na niej osoba będzie mogła wysłuchać m.in. fragmentu „Marsza I Brygady" i depeszy Józefa Piłsudskiego z 16 listopada 1918 roku notyfikują-

STOŁECZNY ZARZĄD INFRASTRUKTURY

zatrudni w pełnym wymiarze czasu pracy inspektorów nadzoru inwestorskiego w branżach ogólnobudowlanej i elektrycznej oraz inspektorów technicznego utrzymania nieruchomości branży lotniskowej i komunikacyjnej, posiadających niezbędne uprawnienia budowlane.

Oferty, CV, kopie uprawnień oraz inne dokumenty potwierdzające kwalifikacje zawodowe prosimy przesyłać na wskazany adres lub drogą elektroniczną – **szi@ron.mil.pl** lub **b.blim@ron.mil.pl**

Kontakt tel: **261 846 777**, **261 846 619**, **261 846 274**

W CV proszę zamieścić klauzulę: Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych zgodnie z ustawą z 29.08.1997 r. o ochronie danych osobowych (DzU 2014 poz. 1182).

00-909 Warszawa, Aleje Jerozolimskie 97

cej powstanie niepodległego państwa polskiego. Znajdą się w niej też rozwiązania ułatwiające dostęp do multimediów. Ławki, które staną w stu miastach, mają również nawiązywać do dziejów „małych ojczyzn". Z założenia koszty budowy ławki nie mogą przekroczyć 30 tys. zł. Samorządy, które będą chciały ustawić ławki u siebie, mogą otrzymać z MON-u dofinansowanie w wysokości do 80% tej kwoty. Dotacje będą przyznawane na podstawie otwartego konkursu ofert. PZ, PG ■

NOWY INSPEKTOR

Decyzją ministra obrony narodowej kadm. Jarosław Ziemiański został nowym inspektorem marynarki wojennej w Dowództwie Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych. Zastąpił na tym stanowisku kadm. Mirosława Mordela. Nowy inspektor był dotychczas jego zastępcą. Kontradmirał służbę rozpoczął od 3 Flotylli Okrętów w Gdyni, gdzie był m.in. dowódcą 32 Dywizjonu Okrętów Rakietowych. Następnie został asystentem szefa Sztabu Generalnego WP do spraw marynarki, a potem zastępcą dowódcy Centrum Operacji Morskich. W 2009 roku stanął na czele 3 Flotylli. Pięć lat później przeszedł do DGRSZ, gdzie wkrótce został zastępcą inspektora marynarki wojennej. Odchodzący ze stanowiska kadm. Mordel na początku służby związał się z Dywizjonem Okrętów Podwodnych w gdyńskiej flotylli. Dowodził m.in. ORP „Dzik" i Dywizjonem Okrętów Podwodnych. Służył też w SGWP, a w latach 2014–2016 dowodził 3 Flotyllą Okrętów. MW. PZ, ŁZ ■

KADM. JAROSŁAW ZIEMIAŃSKI zastąpił na stanowisku inspektora marynarki wojennej kadm. Mirosława Mordela.

Podwyżki dla cywilów

Średnio o 200 zł wzrośnie pensja pracownika wojska.

Minister Mariusz Błaszczak podjął decyzję o przeznaczeniu w 2018 roku kwoty 114,5 mln zł na podwyżki wynagrodzeń pracowników resortu obrony narodowej. Pieniądze mają zostać wypłacone do końca czerwca, z wyrównaniem od 1 stycznia 2018 roku. Wyższe pensje otrzymają przede wszystkim pracownicy zatrudnieni na stanowiskach specjalistycznych kluczowych dla sił zbrojnych oraz te osoby, które do tej pory zarabiały najmniej. W ten sposób zostaną wyrównane dysproporcje płacowe występujące na takich samych stanowiskach pracy. O szczegółowym podziale środków będą decydować pracodawcy w porozumieniu z zakładowymi organizacjami związkowymi. „Zdecydowałem o przyznaniu podwyżek pracownikom Wojska Polskiego, którzy dziś zarabiają mniej niż w innych służbach. Bez nich niemożliwy byłby skuteczny rozwój sił zbrojnych, ich zaangażowanie i postawa zasługują na najwyższe uznanie", napisał na Twitterze minister. W latach 2011–2015 w budżecie resortu nie przewidziano środków na zwiększenie wynagrodzeń dla pracowników. Natomiast dwa lata temu średnia podwyżka dla tej grupy wyniosła 248 zł brutto, a w ubiegłym roku – średnio 202 zł. PZ, PG ■

MODELOWANIE SYSTEMU DOWODZENIA

Z Mariuszem Błaszczakiem

o pracach nad systemem kierowania i dowodzenia siłami zbrojnymi, modernizacji polskiego wojska, wzmacnianiu wschodniej flanki NATO i szacunku dla weteranów rozmawiali Maciej Chilczuk, Małgorzata Schwarzgruber i Tadeusz Wróbel.

JAKUB SZYMCZUK

Prezydent Andrzej Duda zapowiedział przyjęcie w ciągu kilku miesięcy pierwszego etapu reformy systemu dowodzenia. Głównym jej celem jest podniesienie rangi szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, tak aby był on rzeczywiście pierwszym żołnierzem RP. Jakie jeszcze rozwiązania tego etapu są kluczowe z perspektywy efektywności działania systemu dowodzenia?

Obecny system kierowania i dowodzenia siłami zbrojnymi, wprowadzony przez poprzedni obóz władzy w 2014 roku, jest dysfunkcjonalny. Tworzy chaos kompetencyjny. Dlatego bardzo ważne jest to, że w stulecie odzyskania przez Polskę niepodległości oraz w stulecie istnienia Sztabu Generalnego Wojska Polskiego mamy możliwość przywrócić szefowi sztabu należne mu miejsce. Po wielu latach stanie się on osobą szczególnie ważną w systemie dowodzenia i kierowania Siłami Zbrojnymi RP. Zaraz po objęciu przeze mnie stanowiska intensywnie zająłem się wzmacnianiem roli szefa sztabu. Będzie on pierwszym żołnierzem Rzeczypospolitej. Dziś natomiast faktycznie jest usytuowany na równi z innymi dowódcami. To szefowi Sztabu →

Generalnego będą podlegać dowódcy generalny i operacyjny rodzajów sił zbrojnych, a także szef Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych. Zakładane nowelizacje ustaw o urzędzie ministra obrony narodowej oraz o powszechnym obowiązku obrony Rzeczypospolitej Polskiej stanowią pierwszy etap reformy systemu kierowania i dowodzenia siłami zbrojnymi, przygotowanej wspólnie z ośrodkiem prezydenckim. Reforma zakłada również możliwość niezakłóconego podjęcia działań w razie wystąpienia zagrożenia zewnętrznego oraz dostosowanie systemu dowodzenia Sił Zbrojnych RP do struktur przyjętych w NATO na poziomie strategicznym, operacyjnym i taktycznym. Ma usprawnić także funkcjonowanie logistyki. Przeprowadzaniu zmian sprzyja bardzo dobra współpraca z panem prezydentem oraz Biurem Bezpieczeństwa Narodowego. Cały proces chcemy rozłożyć na etapy, aby uniknąć ryzyka ewentualnego zakłócenia funkcjonowania sił zbrojnych. Rewolucje nie służą wojsku.

Czy przyjęcie takiego rozwiązania – szef SGWP na szczycie struktury dowodzenia – oznacza, że automatycznie będzie on także naczelnym dowódcą w czasie wojny?

W wojsku dowódca jest tylko jeden. Zaproponowane podniesienie rangi szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego oznacza wprowadzenie jednoosobowej odpowiedzialności za dowodzenie całością sił zbrojnych do czasu mianowania naczelnego dowódcy sił zbrojnych. Odtworzenie systemu jednoosobowej odpowiedzialności za dowodzenie całością SZRP to powrót do normalności. W brygadzie czy dywizji żołnierze nie mają dwóch czy trzech dowódców. Równolegle prowadzone są prace nad wojennym systemem dowodzenia. Priorytetem będzie zasada, aby model funkcjonujący w czasie „P" nie różnił się znacząco od tego w czasie „W". Dzisiaj trudno mówić o szczegółach kierunków przewidywanych zmian oraz o terminie ich wprowadzenia, ponieważ kolejny etap reformy poprzedzony zostanie rzetelną analizą możliwości zarówno finansowych, jak i osobowych. Proszę jednak pamiętać, że o ile ogólny zarys reformy będzie miał charakter jawny, o tyle zadania poszczególnych elementów systemu kierowania i dowodzenia już takie nie będą.

WOJCIECH KRÓL/CO MON

Dwuetapowe wprowadzanie reformy systemu dowodzenia pozwoli uniknąć ewentualnych zakłóceń w codziennym funkcjonowaniu sił zbrojnych.

Odtworzenie systemu jednoosobowej odpowiedzialności za dowodzenie całością SZRP to powrót do normalności

Czy MON zarzuciło koncepcję, by najpierw opracować w pełni rozwiniętą strukturę na czas „W", a dopiero na jej bazie tworzyć rozwiązania „zwinięte", dostosowane do potrzeb i możliwości wojska w czasie „P"?

Zespół, któremu przewodniczy minister Marek Łapiński, prowadzi równolegle prace w dwóch obszarach: nad wojennym systemem dowodzenia oraz systemem kierowania i dowodzenia siłami zbrojnymi. Jeden wynika z drugiego, dlatego nie można mówić o zarzuceniu koncepcji dostosowania czasu „P" do „W".

W jaki sposób projektowany system dowodzenia będzie spełniał wymóg połączoności działań na współczesnym polu walki?

Operacje połączone stanowią oczywisty wymóg współczesnego pola walki. Dążymy do tego, by nowy system kierowania i dowodzenia siłami zbrojnymi zapewnił optymalne warunki do wspólnego szkolenia i działania żołnierzy wszystkich rodzajów sił zbrojnych z jednoczesnym zachowaniem ich struktury i specyfiki. Z drugiej strony ważne jest, by przyjęte rozwiązania umożliwiały współpracę i efektywne działanie, na przykład w ewentualnych sytuacjach kryzysowych.

Dlaczego prace nad nowym systemem będą miały dwuetapowy charakter?

Niezbędnym warunkiem do przeprowadzenia skutecznej i efektywnej modernizacji wojska jest zerwanie z dotychczasowym chaosem kompetencyjnym. Istotę przygotowywanej reformy stanowi nowe podejście do transformacji systemu kierowania i dowodzenia SZRP. Musi to być ewolucja, a nie rewolucja. Dwuetapowe wprowadzanie reformy systemu dowodzenia pozwoli uniknąć ewentualnych zakłóceń w codziennym funkcjonowaniu sił zbrojnych oraz zapewni sprawne podejmowanie decyzji i prowadzenie działań w razie wystąpienia zagrożenia zewnętrznego. Zakładamy, że pierwszy etap zostanie wdrożony jeszcze w tym roku. Po wejściu w życie nowych rozwiązań planuje się przeprowadzenie ewaluacji. Niezależnie od pierwszego etapu reformy zespół do spraw opracowania nowego systemu kierowania i dowodzenia siłami zbrojnymi na bieżąco będzie analizował uwagi dotyczące jego funkcjonowania. Zostaną one wykorzystane w pracach nad drugim etapem reformy, tzw. dużym SKiD.

Na czym będzie on polegał?

Planujemy zachowanie trzech poziomów dowodzenia, tj. strategicznego – Sztab Generalny WP, operacyjnego – przekształcenie Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych w Dowództwo Połączone, taktycznego – wyodrębnienie z Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych dowództw wojsk lądowych, sił powietrznych, marynarki wojennej, wojsk specjalnych oraz przeniesienie na poziom taktyczny Dowództwa Wojsk Obrony Terytorialnej.

W jaki sposób przy opracowywaniu założeń reformy systemu dowodzenia zostaną wykorzystane wnioski ze Strategicznego Przeglądu Obronnego i ćwiczeń „Zima '17"?

Ministerstwo Obrony Narodowej, przygotowując reformę, postawiło na realistyczne sprawdzenie elementów systemu obronnego państwa i zerwało w ten sposób z wieloletnim zaniedbaniem i błędami poprzedniego kierownictwa. W ramach Strategicznego Przeglądu Obronnego m.in. dokonano diagnozy sprawności i skuteczności funkcjonowania tego systemu w nowych uwarunkowaniach, wynikających ze zmian w środowisku bezpieczeństwa Polski. Wnioski wykazały kilka zasadniczych dysfunkcji, a ich likwidacja jest możliwa jedynie przez gruntowną przebudowę. To bardzo skomplikowany proces. Do tej pory nie prowadzono podobnych prac z takim rozmachem. Wykonano liczne ekspertyzy, analizy, symulacje komputerowe, przeprowadzono ćwiczenia dowódczo-sztabowe i tradycyjne gry wojenne, w tym „Zima '17". Na tej podstawie, z udziałem ekspertów z Biura Bezpieczeństwa Narodowego, wypracowano wstępne rekomendacje dotyczące zmian. Kolejnym etapem było poddanie weryfikacji założeń nowego systemu dowodzenia i kierowania Siłami Zbrojnymi RP, wypracowanego w ramach Strategicznego Przeglądu Obronnego oraz wniosków z przeprowadzonych ćwiczeń obronnych. Podczas tworzenia obecnego systemu dowodzenia najpierw przygotowano jego założenia pokojowe, a potem „doprojektowano" wojenne. My postąpiliśmy odwrotnie – najpierw przeprowadziliśmy ćwiczenia, analizy, symulacje i gry. Chcemy być pewni, że nasza propozycja systemu kierowania i dowodzenia obroną państwa na czas wojny i kryzysu zadziała, a w dalszej kolejności dostosujemy do niego rozwiązania pokojowe, zgodne z porządkiem prawnym.

W MON-ie trwają prace nad stworzeniem Agencji Uzbrojenia. Dużo mówi się także o reformie wojskowej logistyki. Jak te dwa procesy będą ujęte w nowej strukturze dowodzenia?

W marcu 2018 roku powołałem pełnomocnika MON do spraw utworzenia Agencji Uzbrojenia. Powstanie zatem instytucja odpowiedzialna za realizację całego procesu pozyskiwania sprzętu wojskowego – od definiowania wymagań i prowadzenia analiz, przez realizację procedur przetargowych i podpisywanie umów, aż do wsparcia eksploatacji. Podobne podmioty funkcjonują w wielu zachodnich państwach, na przykład we Francji i Szwecji. Skoncentrowanie systemu pozyskiwania sprzętu w jednym miejscu przyniesie przyspieszenie i zwiększenie efektywności modernizacji polskiej armii. W Ministerstwie Obrony Narodowej trwa przygotowywanie podstaw formalnoprawnych i organizacyjnych, niezbędnych do utworzenia Agencji Uzbrojenia. O szczegółach usytuowania jej w nowej strukturze dowodzenia będziemy mogli mówić po zakończeniu etapu uzgodnień międzyresortowych projektu ustawy o zmianie ustawy o urzędzie

→

LESZEK CHEMPEREK/CO MON

Minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak w czasie wizyty w Stanach Zjednoczonych

WIZYTÓWKA

MARIUSZ BŁASZCZAK

W latach 2015–2018 był ministrem spraw wewnętrznych i administracji w rządach Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego. Od 9 stycznia 2018 roku jest ministrem obrony narodowej. W latach 2005–2007 pełnił funkcję szefa Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. ■

Chciałbym zaznaczyć, że jesteśmy gotowi do silnego wsparcia dyslokacji dodatkowych sił USA, w tym zapewnienia niezbędnej infrastruktury

ministra obrony narodowej oraz o powszechnym obowiązku obrony Rzeczypospolitej Polskiej.

Czy Amerykanie są gotowi zwiększyć swą obecność wojskową w Europie? Jakie są szanse, że nowe siły zostaną rozlokowane w stałych bazach na wschodniej flance NATO, w tym w Polsce?

Rozważane są różne warianty pogłębienia współpracy Polski i USA. Jestem przekonany, że obecność amerykańskich sił zbrojnych na wschodniej flance NATO pozytywnie wpłynie na nasz potencjał obrony i odstraszania. Będziemy o nią konsekwentnie zabiegać. Na ten temat rozmawiałem w Waszyngtonie z sekretarzem obrony oraz z doradcą do spraw bezpieczeństwa prezydenta USA. Rząd Stanów Zjednoczonych systematycznie zwiększa swoją obecność wojskową w Europie ze względu na pogarszający się poziom bezpieczeństwa w regionie. Dotyczy to różnych form aktywności wojsk lądowych i sił powietrznych, czego przykładem są m.in.: rotacyjna trwała obecność Pancernej Brygadowej Grupy Bojowej, komponentów brygady lotnictwa sił lądowych i wsparcia logistycznego czy stacjonującego w Łasku pododdziału lotniczego. Władze USA prowadzą analizy dotyczące zasadności oraz formy dalszego zwiększenia zaangażowania wojskowego w Europie. Wyrazem tego są choćby zapisy przyjętego niedawno przez Kongres USA National Defense Authorization Act na rok budżetowy 2019, które wskazują na potrzebę podsumowania analiz dotyczących zwiększenia obecności wojsk lądowych USA w Polsce nie później niż do 1 marca 2019 roku. Kwestia sił zbrojnych USA w naszym kraju jest stałym elementem dialogu polityczno-wojskowego z administracją amerykańską.

Chciałbym zaznaczyć, że jesteśmy gotowi do silnego wsparcia dyslokacji dodatkowych sił USA, w tym zapewnienia niezbędnej infrastruktury. Jak już wielokrotnie wskazywałem, ubieganie się o stałe bazy armii USA w na-

szym kraju jest ważne dla bezpieczeństwa zarówno Polski, jak i międzynarodowego. Ja oraz mój zespół stale podnosimy w konsultacjach, również z sojusznikami z NATO, potrzebę dalszego zwiększenia sojuszniczej obecności wojskowej w Polsce, by podnieść poziom odstraszania i obrony dla całej wschodniej flanki NATO. Są realne szanse na zwiększenie tej obecności, ale na tym etapie nie możemy ujawnić szczegółów dotyczących prowadzonych rozmów.

Które programy modernizacji technicznej, oprócz „Wisły", uznaje Pan Minister za priorytetowe?

Zapewniam, że modernizacja sił zbrojnych jest moim priorytetem. W maju rząd uchwalił „Szczegółowe kierunki przebudowy i modernizacji technicznej Sił Zbrojnych RP na lata 2017–2026". To jest bardzo istotny krok. Mój zespół doprowadził do przyjęcia przez Radę Ministrów dokumentów stanowiących podstawę do tego, aby można było rozpocząć proces wyposażania Wojska Polskiego w nowoczesny sprzęt. 28 marca 2018 roku podpisałem umowy na baterie Patriot i przystąpiliśmy do negocjacji drugiej fazy tego programu. Planujemy też zakup okrętów podwodnych. Nie jest tajemnicą, że trzy państwa są zainteresowane przedłożeniem swoich ofert. Prowadzone są rozmowy z ministrami obrony narodowej Francji, Niemiec i Szwecji. Naszym priorytetem jest również zakup śmigłowców wielozadaniowych. Zapewniam, że z żadnego programu nie rezygnujemy, z tego na zakup śmigłowców dla wojsk specjalnych również. Pragnę podkreślić, że w MON-ie stworzyliśmy podstawy finansowe i prawne do tego, żeby rozwijał się proces wymiany sprzętu. Zależy nam na bezpieczeństwie Polski i zrobimy wszystko, by było ono realne. Stąd nasze mocne usytuowanie w NATO, a także wzrost liczebny wojsk. To synergia wielu działań. Przeprowadzamy inwestycje, budujemy oraz unowocześniamy bazy i poligony, korzystamy z funduszy europejskich, takich jak PESCO, oraz programu „Action Plan on Military Mobility". Ponadto jako jeden ze swoich celów postawiłem sobie stworzenie nowej dywizji wojsk operacyjnych, usytuowanej na wschód od Wisły.

Jaka kwota zostanie zatem przeznaczona na modernizację techniczną Wojska Polskiego do 2026 roku?

Nie chciałbym deklarować żadnych konkretnych sum ani terminów. Kwota przeznaczona na modernizację techniczną Wojska Polskiego uzależniona jest od wielu czynników makro- i mikroekonomicznych, globalnej sytuacji finansowej oraz kondycji finansów państwa. Teraz sytuacja budżetowa jest bardzo dobra. Zgodnie z ustawą Rady Ministrów wydatki na obronność wzrosną do 2,5% PKB w 2032 roku.

We wrześniu odbędzie się doroczny Międzynarodowy Salon Przemysłu Obronnego w Kielcach. Jak ocenia Pan obecnie polską zbrojeniówkę?

Strategia na rzecz odpowiedzialnego rozwoju wskazuje przemysł obronny jako jedno z kół zamachowych rozwoju polskiej gospodarki, dlatego staramy się jak najefektywniej wykorzystać istniejący potencjał produkcyjny i naukowo-badawczy oraz tak planować wydatki na obronność w długoletniej perspektywie, by poprawić stan polskiego przemysłu obronnego, przez lata zaniedbywanego. Zależy nam na tym, aby sprzęt dla Wojska Polskiego był produkowany w Polsce. Oczywiście nie zawsze jest to możliwe. Nasze firmy prezentują jednak wysoką jakość, czego miarą jest m.in. konkurencyjność ich produktów na rynkach zagranicznych. Dlatego istotne jest rozszerzanie oferty dla sił zbrojnych innych państw i rozwijanie eksportu uzbrojenia wyprodukowanego w Polsce, co odnotowujemy dopiero w ciągu ostatnich dwóch lat. Polskie przedsiębiorstwa zbrojeniowe, takie jak Huta Stalowa Wola, dostarczają polskiej armii świetne produkty. Szczycimy się nimi też za granicą.

Pod koniec 2017 roku Komitet Stały Rady Ministrów zaakceptował nowelizowane przepisy ustawy o weteranach. Jakie zmiany one przyniosą?

Wsłuchujemy się uważnie w głosy weteranów. Wyciągamy też wnioski z dotychczasowego funkcjonowania ustawy. Katalog zmian systematycznie poszerza się o nowe rozwiązania, wprowadzane także na wniosek samych weteranów. Przecież oni najlepiej wiedzą, czego potrzebują. Projektowana ustawa zapewnia większą spójność między istniejącymi przepisami regulującymi uprawnienia weteranów i weteranów poszkodowanych, a także eliminuje wątpliwości interpretacyjne. Dla najbardziej poszkodowanych żołnierzy i funkcjonariuszy z pewnością istotne okaże się uprawnienie do udziału w bezpłatnych turnusach readaptacyjno-kondycyjnych. Teraz projekt ustawy o zmianie ustawy o weteranach działań poza granicami państwa oraz niektórych innych ustaw czeka na rozpatrzenie przez Radę Ministrów. Nie chciałbym wskazywać konkretnej daty skierowania jej do Sejmu, ale jestem optymistą, jeśli chodzi o proces legislacyjny.

Czy zmieni się definicja misji pokojowej i stabilizacyjnej, co pozwoliłoby na otrzymanie statusu weterana przez około 300 osób, uczestników operacji humanitarnych w Etiopii i Pakistanie, głównie pilotów i saperów?

Los weteranów nie jest nam obojętny, co pokazuje również projekt nowelizacji ustawy. Jest jeszcze wiele do zrobienia, nad czym będziemy pracować w kolejnych latach. Na obecnym etapie projekt wspomnianej ustawy

nie przewiduje jednak zmian dotyczących definicji misji pokojowej i stabilizacyjnej.

Spośród 760 weteranów poszkodowanych 109 ma orzeczony uszczerbek na zdrowiu co najmniej 30%. Czy osoby, u których jest on mniejszy, stracą część uprawnień?

Ministerstwo Obrony Narodowej w art. 36 ustawy o weteranach działań poza granicami państwa wprowadziło dodatek dla weterana poszkodowanego. Jego wysokość jest uzależniona od ustalonego procentu uszczerbku na zdrowiu doznanego wskutek wypadku pozostającego w związku z działaniami poza granicami państwa lub choroby nabytej podczas wykonywania zadań lub obowiązków służbowych w ramach działań poza granicami państwa, z tytułu których przyznano świadczenia odszkodowawcze. Wychodząc naprzeciw oczekiwaniom środowiska weteranów oraz uwzględniając możliwości ich sfinansowania, przyjęto zasadę: im większy uszczerbek, tym wyższy dodatek dla weterana poszkodowanego. W projekcie ustawy przewiduje się podniesienie jego wysokości przy uszczerbku przekraczającym 30%. Warto przypomnieć, że każda osoba mająca status weterana poszkodowanego na jednakowych zasadach korzysta ze świadczeń opieki medycznej dotyczących leczenia ran i kontuzji odniesionych w trakcie działań poza granicami państwa. Chciałbym uspokoić także osoby posiadające status weterana poszkodowanego z orzeczonym niższym uszczerbkiem – nie stracą one uprawnień dotyczących możliwości rehabilitacji.

Czy ustawa zniweluje nierówne traktowanie weteranów poszkodowanych? Teraz na przykład weteran poszkodowany pozostający w służbie, który nie pobierał renty, nie dostaje dodatku.

Dodatek dla weterana poszkodowanego miał wspomóc osoby pobierające emeryturę lub rentę, osiągające niższe dochody niż przed zwolnieniem ze służby wojskowej. Projekt ustawy nie przewiduje zmian w kwestii uprawnień dla weteranów poszkodowanych, którzy nie pobierają renty, ale nie wykluczamy ich w przyszłości.

Grupa polskich weteranów poszkodowanych za kilka miesięcy po raz pierwszy weźmie udział w zawodach sportowo-rehabilitacyjnych Invictus Games w Australii. Są zdeterminowani, dla nich to walka nie tylko z rywalami o medale, lecz także z własną niepełnosprawnością o lepszą jakość życia. Czy dostęp weteranów do rehabilitacji jest, Pana zdaniem, wystarczający?

Wprowadzanie zmian w systemie dowodzenia chcemy rozłożyć na etapy, aby uniknąć ryzyka zakłócenia funkcjonowania sił zbrojnych

Bardzo się cieszę, że w tegorocznych zawodach Invictus Games po raz pierwszy w historii udział weźmie polska reprezentacja. To symboliczne i niezwykle ważne wydarzenie, pokazujące siłę polskich żołnierzy. Ministerstwo Obrony Narodowej podjęło działania, których celem było indywidualne przygotowanie do udziału w zawodach zakwalifikowanych weteranów. Jak ważny jest dostęp do rehabilitacji, pokazuje projektowana zmiana w ustawie o weteranach działań poza granicami państwa, której celem jest zapewnienie poszkodowanym pomocy w przystosowaniu się do życia i pracy. Projekt zmian do ustawy zakłada również przyznanie dodatkowych uprawnień w kwestii szeroko pojętej rehabilitacji. Jesteśmy zgodni co do tego, że najważniejszy jest powrót do zdrowia psychicznego, fizycznego i aktywności społecznej najbardziej poszkodowanych weteranów. Chcemy, żeby byli oni widoczni w społeczeństwie i aktywni zawodowo. Żeby na co dzień wszyscy odczuwali, że są traktowani godnie i sprawiedliwie. Przy tej okazji pragnę im również podziękować za żołnierską postawę, za wykazaną odwagę i poświęcenie.

Ruszył program MON-u „Wdzięczni bohaterom". Czego możemy się od nich nauczyć i co powinniśmy dać im od siebie?

Musimy pamiętać, że bohaterowie żyją obok nas. Ci, którzy walczyli o Polskę, marzyli o lepszej przyszłości. Przez ten program chcemy im podziękować za to, że nigdy nie zwątpili, za odwagę i wiarę w Polskę niepodległą. Ta pamięć o bohaterskich czynach jest najważniejsza, ale zwykła ludzka pomoc też jest im potrzebna. Dlatego skierowaliśmy nasz projekt do żołnierzy II wojny światowej, polskiego podziemia niepodległościowego, a w szczególności do powstańców warszawskich, których z roku na rok jest coraz mniej. Zwróciliśmy się także do tych, którzy będą w stanie wesprzeć bohaterów w życiu codziennym, np. w zakupach czy w transporcie na uroczystości, na groby współtowarzyszy broni. Chcemy, aby młodzież mogła mieć kontakt z bohaterami z krwi i kości, w ten sposób czerpać wiedzę o tym, co wydarzyło się w 1944 roku. Ten program ma połączyć pokolenia. Pragniemy zbudować most między tymi, którzy powoli odchodzą a tymi, którzy przekażą dalej pamięć o bohaterskich czynach, bo im zawdzięczamy wolną i niepodległą Polskę. ■

WWW.POLSKA-ZBROJNA.PL

PRZEGLĄD SIŁ ZBROJNYCH

ŹRÓDŁO WIEDZY O UZBROJENIU, TAKTYCE POLA WALKI I SZKOLENIACH

ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400

WOJSKO POLSKIE

Wasza siła – Nasze bezpieczeństwo

Polecam!

Krzysztof Wilewski, redaktor wydawniczy

TEMAT NUMERU

/ **SOJUSZNICY**

MAGDALENA MIERNICKA

RAMIĘ W RAMIĘ

Obecność żołnierzy sojuszu w Polsce jest dowodem na natowską spójność i determinację. To jasny sygnał dla jakiegokolwiek potencjalnego agresora.

MICHAŁ NIWICZ

Polska, Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Rumunia i Chorwacja – żołnierze wojsk tych państw muszą współpracować jak palce jednej dłoni, a ta musi być w każdej chwili gotowa do zaciśnięcia się w pięść i uderzenia", tak o współdziałaniu żołnierzy sojuszniczych armii mówi gen. bryg. Jarosław Gromadziński, dowódca 15 Brygady Zmechanizowanej. Właśnie ta jednostka współpracuje z Batalionową Grupą Bojową NATO, która od ponad roku stacjonuje w Polsce.

Wszystko zaś zaczęło się od szczytu NATO, który w lipcu 2016 roku odbył się w Warszawie. Wówczas sojusznicy zadecydowali, że w Polsce i państwach bałtyckich, w ramach tzw. wzmocnionej wysuniętej obecności (enhanced Forward Presence – eFP) rotacyjnie będą stacjonować wojska sojusznicze. Na mocy tych postanowień już w kwietniu 2017 roku w Polsce swoją misję rozpoczęła pierwsza zmiana Batalionowej Grupy Bojowej NATO. Jej trzon stanowili żołnierze 2 Szwadronu 2 Pułku Kawalerii US Army, którzy na co dzień stacjonują w Vilseck w Niemczech. Historia tej jednostki sięga XIX wieku i od tego czasu jej żołnierze brali udział we wszystkich najważniejszych wojnach prowadzonych przez Stany Zjednoczone. Kawalerzyści przywieźli do Polski niemal 100 kołowych transporterów opancerzonych Stryker w kilku wersjach – wśród nich były pojazdy wyposażone w karabin maszynowy M2 Browning kalibru 12,7 mm, automatyczny granatnik Mk 19, moździerz kalibru 120 mm Soltam K6, a także wozy dowodzenia, inżynieryjne, łączności czy ewakuacji medycznej. Do Polski przyjechali także Brytyjczycy z pułku kawalerzystów Light Dragoons z kilkudziesięcioma pojazdami rozpoznawczymi Jackal, uzbrojonymi w karabiny maszynowe L1A1 o kalibrze 12,7 mm oraz granatniki GMG 40 mm. Z kolei Rumuni z 205 Batalionu Artylerii Przeciwlotniczej „Blue Scorpions" przywieźli ze sobą baterię systemu obrony przeciwlotniczej Oerlikon.

Gen. bryg. Jarosław Gromadziński: „Sprawdzenie gotowości bojowej powinno dotyczyć całej brygady, bo w razie zagrożenia wszyscy będziemy zaangażowani do działania".

W sumie przyjechało prawie 1350 żołnierzy sojuszniczych wojsk. „Rozmieszczenie ich w Polsce jest dowodem na natowską spójność i determinację. To jasny sygnał dla jakiegokolwiek potencjalnego agresora. Fakt, że sojusznicy z różnych krajów pracują w ramach wzmocnionej wysuniętej obecności, jest dowodem na zaangażowanie sojuszu wynikające z art. 5 traktatu waszyngtońskiego, zgodnie z którym agresja wobec jednego z sojuszników jest traktowana jak atak na nich wszystkich", mówił gen. Curtis Scaparrotti, naczelny dowódca sił NATO w Europie, podczas uroczystości inaugurującej działalność natowskiej grupy.

Bazą Batalionowej Grupy Bojowej NATO stał się Ośrodek Szkolenia Poligonowego Wojsk Lądowych w Bemowie Piskim, a do współpracy z pododdziałami skierowano wówczas 1 Batalion Zmechanizowany 15 Brygady Zmechanizowanej. Żołnierze nie mieli jednak zbyt wiele czasu na aklimatyzację. Już w maju wyruszyli na poligon, by wziąć udział w ćwiczeniach „Puma '17", a zaledwie miesiąc później w międzynarodowych manewrach „Saber Strike '17" i „Iron Wolf '17", które odbyły się na Litwie. Ostatnim punktem sześciomiesięcznej misji Batalionowej Grupy Bojowej był udział w największych ubiegłorocznych manewrach – „Dragon '17". A już w październiku do Polski przyjechali kolejni żołnierze. Tym razem szeregi wojsk amerykańskich, brytyjskich i rumuńskich zasilili artylerzyści, logistycy i żandarmi chorwackich sił zbrojnych, którzy przywieźli samobieżne wyrzutnie rakiet M92 Volcano. Tak jak poprzednio, najliczniejszą grupę stanowili kawalerzyści z Vilseck, ale do Polski przyjechali także żołnierze US Army z Teksasu czy Karoliny Północnej. Chociaż każda z rotacji trwa pół

English version: polska-zbrojna.pl

MICHAŁ ZIELIŃSKI

KLUCZOWĄ ZDOLNOŚCIĄ ŻOŁNIERZY SOJUSZNICZYCH ARMII JEST UMIEJĘTNOŚĆ WSPÓŁPRACY

roku, wojskowi, którzy trafili do naszego kraju ze Stanów Zjednoczonych, pozostają tu przez dziewięć miesięcy.

Teraz w Polsce misję pełni trzecia zmiana eFP, którą tworzy prawie 1220 żołnierzy. Na nich, podobnie jak na poprzedników, także czekał napięty program – przez cały czas wojska niemal nie schodzą z poligonu. „Podczas pierwszej rotacji koncentrowaliśmy się na integracji, kiedy zaś jesienią witaliśmy drugą zmianę, wiedzieliśmy już, że skupimy się na ujednolicaniu procedur. Dlatego zmieniliśmy nieco program szkolenia. Wprowadziliśmy m.in. zajęcia zintegrowane dla poszczególnych pododdziałów, tak aby polscy artylerzyści szkolili się z kolegami z armii sojuszniczych, podobnie żołnierze obrony przeciwlotniczej, saperzy czy piechota. Głównym celem takiego działania było ujednolicenie procedur, które pozwoli utrzymać efekt synergii, nawet kiedy poszczególne pododdziały będą się rotować", dodaje gen. Gromadziński.

NACISK NA INTEROPERACYJNOŚĆ

Kluczową zdolnością żołnierzy sojuszniczych armii jest umiejętność współpracy. A to, czy wszystkie wojska funkcjonują jak jeden organizm, sprawdzane jest m.in. podczas ćwiczeń „Puma". Odbyły się one w tym roku już dwukrotnie. Podczas pierwszej edycji, w lutym, na poligonie w Bemowie Piskim współdziałało 2 tys. żołnierzy sojuszniczych armii, wyposażonych w ponad 500 jednostek sprzętu. Wówczas do akcji wkroczyły bojowe wozy piechoty, czołgi PT-91 Twardy, amerykańskie strykery, brytyjskie jackale, a także rumuńska bateria zautomatyzowanego systemu obrony przeciwlotniczej Oerlikon GDF-003 i chorwackie samobieżne wyrzutnie rakiet M92 Volcano.

Główny nacisk podczas ćwiczeń położono na działania taktyczne. „Koncentrowaliśmy się na obronie terytorium, także wtedy, gdy jego część została już zajęta. Liczyliśmy się bowiem z tym, że przeciwnik w momencie ataku może mieć przewagę. Tu istotne było wykorzystanie znajomości terenu. Wycofywaliśmy się w taki sposób, aby wróg zatrzymał się na dogodnej dla nas rubieży. Chodziło o to, abyśmy mogli skutecznie przeprowadzić kontratak, rozdzielić pododdziały wroga, a finalnie odzyskać utracony teren", wyjaśnia dowódca 15 Brygady. Podczas tego rodzaju działań każdy z pododdziałów dostał ściśle określone zadanie – Brytyjczycy zajmowali się rozpoznaniem, chorwacka artyleria prowadziła ogień. Z kolei o osłonę przeciwlotniczą zadbali Rumuni i Polacy – nasze rodzime armaty ZU-23-2K i zestawy rakietowe GROM były zabezpieczeniem dla polskich pododdziałów, rumuńskie oerlikony osłaniały zaś pododdziały Batalionowej Grupy Bojowej NATO. Sojusznicy działali jednak także w strukturach międzynarodowych, m.in. podczas podejścia do rubieży, ataku czy kontrataku. „Wówczas współdziałaliśmy z żołnierzami US Army. Bywało, że my dowodziliśmy amerykańskim pododdziałem, a kompania polska działała zgodnie z rozkazami wojsk USA", mówi mjr Piotr Półbratek, zastępca dowódcy 1 Batalionu Zmechanizowanego 15 BZ.

To jednak nie wszystko. Duży nacisk podczas ćwiczeń położono także na zadania ogniowe oraz przeciwdziałanie zagrożeniom hybrydowym. Wojska prowadziły marsze i patrole w nieznanym terenie, odpierały ataki grup dywersyjnych, musiały także działać w terenie skażonym. Jak sobie poradzili? „To kolejne zadania, które wykonujemy z batalionową grupą. Oczywiście pojawiły się nowe elementy, ale nie mają one większego wpływu na nasze współdziałanie", opowiada por. Dariusz Ratyński, dowódca 2 kompanii zmechanizowanej 15 BZ. Wtóruje mu kpt. Gary D. Loten-Beckford, oficer prasowy Batalionowej

→

Grupy Bojowej NATO. „Ćwiczymy wspólnie już jakiś czas, więc na tym etapie nie pojawiły się trudności. Największym wyzwaniem było nauczenie się procedur i systemów stosowanych przez sojuszników, ale to już za nami. Teraz po prostu jesteśmy jednym zespołem”, podkreśla.

Nie inaczej było podczas „Pumy”, która kilka tygodni temu odbyła się w ramach międzynarodowych manewrów „Saber Strike ’18” (więcej na temat tych ćwiczeń na str. 47–51). Głównymi ćwiczącymi były trzecia zmiana Batalionowej Grupy Bojowej NATO, a także 2 Batalion Zmechanizowany 15 Brygady, który w kwietniu przejął rolę pododdziału partnerskiego eFP. Wówczas działania sojuszników wspierały m.in. polskie i amerykańskie lotnictwo, batalion himarsów US Army, a także batalion zmotoryzowany z 12 Brygady Zmechanizowanej. Jednym z zadań tego ostatniego było przejęcie rejonu odpowiedzialności, gdzie operowała wcześniej armia Stanów Zjednoczonych.

Największym wyzwaniem było prowadzenie ognia połączonego. „Niełatwe było spięcie wszystkich systemów. Przy tak dużej różnorodności broni przez dwa tygodnie przećwiczyliśmy procedury i dziś nie przysparza nam ono problemów”, podkreśla gen. Gromadziński.

ALARM I PRZERZUT WOJSK

Stałym elementem programu szkolenia każdej rotacji eFP są także ćwiczenia „Bull Run”. Ich celem jest sprawdzenie, jak szybko wojska mogą opuścić koszary, a następnie zająć pozycje w miejscach, w których działałyby w razie realnego zagrożenia. Po raz pierwszy odbyły się one w lipcu 2017 roku. Wówczas jednostkę w Bemowie Piskim opuściły niemal wszystkie pojazdy Batalionowej Grupy Bojowej NATO. „Załogi pojazdów mają poznać miasta, drogi, wszystkie rejony, które mogą mieć znaczenie strategiczne. Dzięki temu w razie zagrożenia będziemy mogli sprawnie się poruszać, a także szybko rozpocząć działania obronne”, mówił wówczas ppłk Steven Gventer, który dowodził pierwszą zmianą Batalionowej Grupy Bojowej NATO. Wojska poruszały się po drogach w specjalnie sformowanych kolumnach w kierunku Doliny Rospudy. Miały zatem do pokonania kilkadziesiąt kilometrów. Punkty operacyjne znajdowały się m.in. w Raczkach, Bakałarzewie, Filipowie, a także… na targowisku w Olecku. „Zawsze trenujemy tak, jakbyśmy działali naprawdę. Wszystkie pojazdy ustawiliśmy w okręgu, a na samym środku umieściliśmy wyrzutnię Oerlikon. Oczywiście wyznaczyliśmy też strefę bezpieczeństwa, aby w wypadku użycia broni nie uszkodzić budynków, które znajdują się w pobliżu”, relacjonował wówczas kpt. Andrei Nistor z armii rumuńskiej.

Nieco trudniejszym zadaniom podczas styczniowego „Bull Runa” musiała sprostać druga zmiana eFP. Mimo siarczystego mrozu wojska nie tylko zajęły wcześniej wyznaczone pozycje, ale także musiały spędzić w terenie noc. W lesie swoje stanowisko ulokował m.in. pododdział logistyczny armii Stanów Zjednoczonych. Na miejscu żołnierze zamaskowali pojazdy Humvee, lawety i cysterny. Przez cały czas pozostawali w gotowości, aby w razie potrzeby udzielić wsparcia kolegom. Jak mówili, trudności sprawiła im nie realizacja scenariusza, lecz klimat. „Pochodzę z Teksasu i jestem przyzwyczajony do czterdziestostopniowych upałów. Panujące tu warunki są dla mnie ekstremalne, ale powoli się przyzwyczajam”, opowiadał podczas ćwiczeń por. Ostaldo Jimenez z US Army.

Kolejne nowości przyniosła następna edycja ćwiczeń, która odbyła się w marcu. Wówczas równolegle odbył się trening sztabowy „Pisa ’18” „Gdy w Polsce stacjonowała pierwsza zmiana BGB, w „Bull Run” zostały zaangażowane batalion natowski oraz 1 Batalion Zme-

MIESZKAŃCY REGIONU PRZYZWYCZAILI SIĘ JUŻ DO WIDOKU ŻOŁNIERZY W MUNDURACH SOJUSZNICZYCH ARMII

MICHAŁ ZIELIŃSKI

Teraz w Polsce misję pełni trzecia zmiana enhanced Forward Presence – eFP, którą tworzy prawie 1220 żołnierzy.

TRZECIA ZMIANA BATALIONOWEJ GRUPY BOJOWEJ NATO:

USA
795 żołnierzy
75 kołowych transporterów opancerzonych Stryker
6 haubic 155 mm M777

Wielka Brytania
130 żołnierzy
15 pojazdów rozpoznawczych Jackal
9 pojazdów rozpoznawczych Coyote
6 pojazdów rozpoznawczych Panther

Rumunia
120 żołnierzy
6 armat przeciwlotniczych Oerlikon GDF-003

Chorwacja
69 żołnierzy
4 samobieżne wyrzutnie rakiet M92 Volcano

chanizowany, a sztab brygady kierował ćwiczeniami. Uznaliśmy jednak, że sprawdzenie gotowości bojowej powinno dotyczyć całej brygady, bo w razie zagrożenia wszyscy będziemy zaangażowani do działania", zaznacza gen. Gromadziński.

O sprawne przemieszczanie wojsk dba Centrum Operacji Taktycznych 15 BZ. To właśnie żołnierze będący członkami tego zespołu muszą najpierw zaplanować przemieszczenie wojsk NATO, a później tak nim pokierować, aby cały proces odbył się bezkolizyjnie. Z kolei zadaniem żołnierzy na stanowiskach dowódczych w batalionach jest stały monitoring ruchu kolumn.

Mieszkańcy regionu także przyzwyczaili się już do widoku żołnierzy w mundurach sojuszniczych armii. I trudno się dziwić, bo chociaż ich grafik jest bardzo napięty, biorą udział w uroczystościach, takich jak święta Wojska Polskiego czy wojsk lądowych. Często można też spotkać ich na ulicach miast, szczególnie w weekendy, kiedy jest mniej zajęć poligonowych. Wówczas przed bramą jednostki w kolejce ustawia się rząd taksówek. Na wielu z nich widnieją napisy „Orzysz, Ełk – promocja" albo „English speaking driver".

Nie da się ukryć, że pobyt sojuszników jest dla mieszkańców istotny. W rejonie Orzysza i okolicznych miejscowościach pojawiło się na przykład więcej lokali gastronomicznych, a menu, oprócz tego, że ma już angielską wersję językową, wzbogaciło się o burgery czy nuggetsy, stereotypowo uznawane za przysmak Amerykanów. Oni jednak chętnie próbują polskich potraw. „Najbardziej polubiłem pierogi", zdradza kpt. Loten-Beckford.

BRATERSTWO BRONI

Żołnierze mają też zasługi dla lokalnej społeczności – w zeszłym roku, to właśnie służący w szeregach Batalionowej Grupy Bojowej NATO Brytyjczycy pomogli mieszkańcom jednego z domów ugasić pożar. „Wykonywaliśmy zadania rozpoznawcze na poligonie, kiedy zobaczyliśmy w oddali kłęby dymu. Od razu pojechaliśmy sprawdzić, co się dzieje. Okazało się, że płonie jeden z domów, a jego mieszkańcy w popłochu usiłują go ratować. Od razu przystąpiliśmy do działania. Na szczęście po chwili na miejsce przyjechała straż pożarna", relacjonował wówczas mjr Noel Claydon-Swales, dowódca kompanii A pułku Light Dragoons.

A jak u nas czują się sojusznicy? „Polacy przywitali nas w niewiarygodny sposób. To bardzo otwarci ludzie", mówił ppłk Gventer zaraz po przyjeździe do Polski. „Kiedy dowiedziałem się, że jadę na misję do Europy, byłem przekonany, że chodzi o Niemcy. Skierowano mnie jednak do Polski, a ja tak naprawdę nie wiedziałem, czego się spodziewać. Największym zaskoczeniem był polski język. Nie wiedziałem, że jest tak trudny!", dodaje oficer prasowy Batalionowej Grupy Bojowej NATO. „Zaraz po przyjeździe zobaczyłem przy drodze tablicę z nazwą miejscowości – Szczuczyn. Nie byłem w stanie nawet jej wymówić, więc kiedy wróciliśmy do jednostki, znalazłem tę miejscowość na mapie i poprosiłem tłumacza, aby mi ją przeliterował. Musiał powtórzyć kilka razy, zanim udało mi się ją wymówić", żartuje.

Ale i na to znalazł się sposób. Żołnierze, chociaż przebywają w Polsce tylko przez kilka miesięcy, postanowili nauczyć się naszego języka. Zajęcia dwa razy w tygodniu prowadzi Kasia Kardasiewicz, tłumaczka Batalionowej Grupy Bojowej NATO. „Żołnierze chętnie uczą się nie tylko nowych zwrotów, lecz także chłoną wszelkie informacje o Polsce, bo tych na zajęciach nie brakuje", opowiada. „Co ciekawe, przychodzą na nie reprezentanci wszystkich państw współdziałających w eFP. Najtrudniejsza jest chyba wymowa, ale o ile Chorwaci i Rumuni nie mają z nią aż tak dużych problemów, o tyle dla Brytyjczyków i Amerykanów niektóre słowa są bardzo trudne", dodaje tłumaczka. Potwierdza to kpt. Charlotte Wilson z armii brytyjskiej. „Najwięcej problemów sprawia mi wymówienie sz, cz, rz, ale nasza nauczycielka przygotowała dla nas specjalne ćwiczenia, dzięki którym jest to łatwiejsze", mówi. A dlaczego wojskowi zadają sobie tyle trudu, żeby nauczyć się polskiego? „Myślę, że kiedy przebywasz w jakimś kraju, bardzo ważne jest, aby móc nawiązać przyjacielskie relacje z jego mieszkańcami. Chciałam się nauczyć podstawowych zwrotów, takich jak »dzień dobry«, »proszę«, »dziękuję«, które ułatwią mi komunikację w sklepie czy restauracji", mówi kpt. Wilson. „Wiadomo, że podczas krótkiego pobytu nie da się opanować tak trudnego języka perfekcyjnie, ale na pewno można przyswoić podstawy. Jeden z żołnierzy, który przyjechał z Wielkiej Brytanii, ma na przykład żonę Polkę. Podobno zapisał się na kurs, żeby móc do niej pisać listy w jej ojczystym języku", śmieje się kpt. Loten-Beckford.

W ramach tzw. wzmocnionej wysuniętej obecności (enhanced Forward Presence – eFP) batalionowe grupy bojowe stacjonują także w państwach bałtyckich. W Estonii tworzą ją żołnierze z Wielkiej Brytanii, Danii i Islandii, **na Litwie** – z Niemiec, Belgii, Chorwacji, Francji, Islandii, Holandii i Norwegii, a **na Łotwie** – z Kanady, Albanii, Włoch, Słowenii, Słowacji, Hiszpanii oraz Polski. ■

Ale to nie wszystko. Wojskowi często na własną rękę starają się zwiedzać okolicę. „Tutaj jest wiele pięknych jezior. Bardzo żałuję, że pogoda nie pozwoliła nam na to, aby pływać lub żeglować", mówi kpt. Slaven Horvat z armii chorwackiej, który służył w Polsce podczas drugiej zmiany eFP. „Byłam już w Giżycku, a dokładniej w Twierdzy Boyen. Bardzo chciałabym także odwiedzić Gdańsk. Mam nadzieję, że w sierpniu, kiedy będziemy mieli długi weekend, mi się to uda", zaznacza kpt. Charlotte Wilson.

Żołnierze chętnie zwiedzają nasz kraj. Część z nich była już Krakowie czy Warszawie. Jest to możliwe dzięki specjalnie dla nich zorganizowanym wycieczkom. Jak zaznacza rzecznik BGB, ich plan był zawsze tak skonstruowany, aby nie kolidował z programem szkolenia. „Żołnierze bardzo chętnie podróżują po Polsce, bo dzięki temu mogą nie tylko zobaczyć piękne miejsca, lecz także poznać historię oraz zrozumieć kulturę kraju, w którym służą".

Ale zanim żołnierze będą mogli pomyśleć o kolejnych wycieczkach, muszą sprostać wyzwaniom na poligonie. „Niedawno zakończyliśmy ćwiczenia »Puma '18«, ale nie zwalniamy tempa. Będziemy kontynuować szkolenie. Skoncentrujemy się przede wszystkim na treningu »life fire«", mówi ppłk Adam Lackey, dowódca trzeciej zmiany Batalionowej Grupy Bojowej NATO. „Poza tym mamy tu nowy pojazd. Właśnie w Polsce po raz pierwszy będziemy z niego strzelać", dodaje.

Misja trzeciej zmiany Batalionowej Grupy Bojowej zakończy się na przełomie września i października. Wówczas do Polski przyjadą kolejni żołnierze, m.in. Gwardii Narodowej US Army. ■

Targi Kielce
exhibition & congress centre

ufi
Member

MSPO

Patronat Honorowy Prezydenta
Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy
w roku 100-lecia Odzyskania
Niepodległości 1918-2018

XXVI Międzynarodowy Salon Przemysłu Obronnego

4-7.09.2018

KIELCE

Partner strategiczny

PGZ
POLSKA GRUPA ZBROJENIOWA

www.mspo.pl

WIELKI SPRAWDZIAN

Z Krzysztofem Motackim

o trudach tworzenia wielonarodowej dywizji rozmawia Krzysztof Wilewski.

Odetchnął Pan z ulgą po ćwiczeniach „Saber Strike”?

Bez wątpienia były to dla nas najważniejsze ćwiczenia od momentu rozpoczęcia formowania dowództwa dywizji. Tegoroczny „Saber Strike” był już ósmą edycją manewrów organizowanych przez Dowództwo Wojsk Lądowych USA w Europie. W tym roku, po raz pierwszy, brali w nim udział żołnierze Dowództwa Wielonarodowej Dywizji Północny Wschód.

Czym się zajmowaliście?

„Saber Strike” obejmował zarówno ćwiczenia dowódczo-sztabowe [Command Post Exercise – CPX], w których byliśmy głównym ćwiczącym, jak i z wojskami [Field Training Exercise – FTX]. Podczas CPX żołnierze dowództwa dywizji ćwiczyli na polowym stanowisku dowodzenia zorganizowanym przez Pułk Wsparcia Dowodzenia Dowództwa Wielonarodowej Dywizji Północny Wschód. Nasze zadania obejmowały prowadzenie działań obronnych oraz odparcie przeciwnika zagrażającego integralności sojuszniczego państwa.

Kim dowodziliście podczas tego sprawdzianu?

W skład dywizji w czasie ćwiczeń wchodziły trzy brygady. Były to: 7 Brygada Zmechanizowana z Czech, litewska Brygada Piechoty Zmechanizowanej „Żelazny Wilk” oraz polska 15 Giżycka Brygada Zmechanizowana. W ich składzie występowały również batalionowe grupy bojowe, które w ramach wzmocnionej wysuniętej obecności [enhanced Forward Presence – eFP] stacjonują w krajach bałtyckich i w Polsce. W strukturach dywizji znajdowały się też m.in. pułki artylerii, przeciwlotniczy i saperów. Ćwiczące jednostki reprezentowali oficerowie dowództw, którzy pracowali w zespole podgrywającym podwładnych ćwiczącego szczebla [Low Command – LOCON], stanowiącym element kierownictwa ćwiczeń.

Jakie są efekty sprawdzianu? Co po „Saber Strike” jest do poprawki?

Wykonaliśmy wszystkie postawione przed nami zadania, ale mimo pozytywnej oceny przełożonych nie zamierzamy spocząć na laurach. Cały czas trwają przygotowania do certyfikacji i zamierzamy pracować jeszcze ciężej, by osiągnąć pełną gotowość. Mamy też sporo wniosków po ćwiczeniach. Musimy usprawnić system łączności. Proszę za-

ARCH. MND NE

uważyć, na jak dużym obszarze odbywały się ćwiczenia i gdzie znajdowały się główne dowództwa – HICON [High Command] w Rydze, LOCON w Tartu, a my w Elblągu. Duże odległości i różne systemy – to spore wyzwania. Bogate doświadczenie zdobyliśmy też w innej dziedzinie. Mam na myśli szeroko rozumiane wsparcie ogniowe. Ćwiczyliśmy użycie artylerii, w tym rakietowej w postaci MLRS i HIMARS, a także lotnictwa wojsk lądowych i sił powietrznych. Teraz możemy udoskonalić nasze procedury.

„Saber Strike" to były najważniejsze, ale niejedyne wasze ćwiczenia w ostatnim czasie.

W ramach przygotowań do certyfikacji przeprowadziliśmy kilka dywizyjnych treningów sztabowych. Nasi żołnierze brali również udział w ćwiczeniach krajowych i międzynarodowych, np. w „Allied Spirit VIII" w Hohenfels.

Co było najtrudniejsze w tworzeniu wielonarodowej dywizji?

Ostatni rok to był czas wytężonej pracy nad dostosowaniem struktur, przyjmowaniem personelu, przygotowywaniem infrastruktury, systemów komunikacji, standardowych procedur operacyjnych. Proszę zauważyć, że w NATO, oprócz stacjonującej w Rumunii Wielonarodowej Dywizji Południowy Wschód, nie ma innych wielonarodowych dowództw dywizji. Zdarzało się zatem, że podczas przygotowań do osiągnięcia pełnej gotowości musieliśmy opracowywać autorskie rozwiązania wielu problemów. Jednocześnie nie możemy zapominać o tych, którzy zabezpieczają działania dowództwa dywizji. 1 lutego na bazie 16 Batalionu Dowodzenia powstał Pułk Wsparcia Dowodzenia Dowództwa Wielonarodowej Dywizji Północny Wschód.

Dowództwo naszej dywizji nie jest wielonarodowe tylko z nazwy. Kolejne państwa członkowskie NATO wyrażają zainteresowanie służbą swoich żołnierzy w Elblągu

Jak wygląda jej wielonarodowy aspekt?

Dowództwo naszej dywizji nie jest wielonarodowe tylko z nazwy. Do pracy tutaj akces zgłosiły Czechy, Estonia, Hiszpania, Kanada, Litwa, Łotwa, Niemcy, Rumunia, Turcja, Słowacja, Stany Zjednoczone, Węgry oraz Wielka Brytania. Żołnierze tych państw sukcesywnie przybywają. Spodziewam się również, że w najbliższym czasie dołączą do nas Włosi. Kolejne państwa członkowskie NATO wyrażają zainteresowanie służbą swoich żołnierzy w Elblągu.

Jesteście gotowi do certyfikacji?

Przygotowanie do niej to długotrwały proces. Każdego dnia doskonalimy swoje umiejętności zarówno w codziennej służbie, jak i na różnego rodzaju ćwiczeniach i kursach. Zgrywamy się w poszczególnych komórkach dowództwa, cały czas poszerzamy również nasze umiejętności językowe. Jestem przekonany, że w trakcie certyfikacji zaprezentujemy się z jak najlepszej strony. Żołnierze Dowództwa Wielonarodowej Dywizji Północny Wschód to profesjonaliści.

Na czym będzie ona polegała?

Certyfikacja już się rozpoczęła i składa się z kilku faz. Nie mogliśmy sobie pozwolić na odpoczynek po „Saber Strike", bo już 18 czerwca rozpoczęliśmy planowanie działań bojowych do „Anakondy '18". Proces planowania oceniany jest przez oficerów NATO i będzie miał wpływ na naszą ocenę końcową. Na początku października odbędzie się pierwsza faza, kiedy zostanie sprawdzone nasze przygotowanie i wyposażenie. W trakcie „Anakondy" będzie druga faza, czyli ocena zdolności z praktycznego dowodzenia wielonarodową dywizją w czasie prowadzenia działań bojowych o wysokiej intensywności. ■

Gen. bryg. KRZYSZTOF MOTACKI jest dowódcą Wielonarodowej Dywizji Północny Wschód.

BOGUSŁAW POLITOWSKI

Fort dwóch narodów

Amerykańscy żołnierze w Polsce nie tylko zwiększają nasz potencjał obronny. Są także doskonałymi partnerami w szkoleniu i kolegami po służbie.

Przez przejście graniczne w Olszynie 12 stycznia 2017 roku o godzinie 9.30 wjechała z Niemiec do Polski kolumna pojazdów amerykańskiej Pancernej Brygadowej Grupy Bojowej (Armored Brigade Combat Team – ABCT). Żołnierzy zza oceanu przywitał ówczesny dowódca 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej gen. dyw. Jarosław Mika. Tym samym rozpoczęła się operacja pod kryptonimem „Atlantic Resolve", mająca na celu wzmocnienie wschodniej flanki NATO. 3 Pancerna Brygadowa Grupa Bojowa została rozlokowana w okolicach Żagania. Jej pododdziały zakwaterowano w Żaganiu, Świętoszowie, Skwierzynie, Bolesławcu oraz na terenie obozowiska Karliki żagańskiego poligonu.

Pod koniec maja 2018 roku służbę w Polsce rozpoczęła już trzecia zmiana amerykańskich żołnierzy. Obowiązki przejęła 1 Brygada Kawalerii „Iron Horse Brigade" z Teksasu, którą dowodzi płk Wilson „Trey" R. Rutherford.

Od początku operacji wzmocnienia wschodniej flanki NATO jeden z batalionów sojuszników stacjonuje na terenie koszar 10 Brygady Kawalerii Pancernej w Świętoszowie. W dawnej poradzieckiej bazie jako pierwszy zameldował się w styczniu 2017 roku 4-10 Batalion Kawalerii Pancernej. Następnie zmienił go 5-4 Batalion Kawalerii Pancernej i później 2-70 Batalion Czołgów. Od początku czerwca w świętoszowskiej jednostce stacjonuje 1-7 Ciężki Batalion Rozpoznawczy 1 Brygady Kawalerii. Jego siłę stanowi około 600 żołnierzy, dysponujących ponad 200 jednostkami sprzętu. Najważniejszym uzbrojeniem są czołgi Abrams oraz gąsienicowe bojowe wozy piechoty Bradley. Pododdziałem dowodzi doświadczony oficer, uczestnik wielu misji zagranicznych, absolwent słynnej akademii wojskowej West Point, ppłk Kevin Bradley.

„Naszym zadaniem na polu walki jest lokalizacja przeciwnika oraz ocena jego sił. Prowadzimy rozpoznanie bojem, pozwalające dowództwu brygady i pozostałym pododdziałom dokonać przegrupowania, aby całymi siłami mogły wejść do walki", wyjaśnia podpułkownik.

BOJOWE WSPÓŁDZIAŁANIE

W 2017 roku już po kilkunastu dniach od przyjazdu pododdziały amerykańskie rozpoczęły intensywne szkolenie na poligonach, często razem z Polakami. Ćwiczeń było tak wiele, że niektórzy nasi dowódcy zaczęli narzekać na dezorganizację zajęć jednostek, które nie mogły dostać się na poligonowe obiekty. Sytuacja szybko się jednak unormowała. Amerykanie stacjonujący w rejonie Żagania zaczęli jeździć na szkolenia także na teren innych poligonów w Polsce oraz do krajów Europy Wschodniej.

Dowódca 10 Brygady Kawalerii Pancernej gen. bryg. Dariusz Parylak od początku nie narzekał. Zadbał o to, aby jak najlepiej wykorzystać pobyt sojuszników w swoich koszarach. Zainicjował projekt partnerskiej współpracy, i to nie tylko szkoleniowej. W porozumieniu z sojuszniczym dowództwem, stacjonującym w jego jednostce pododdziałom amerykańskim przydzielił na czas pobytu w Polsce jako partnerów pododdziały swojej brygady. Od tej pory czołgiści z polskich kompanii na leopardach planowali i prowadzili zajęcia wspólnie z czołgistami USA, dysponującymi abramsami. Podobnie było z wojskami zmechanizowanymi, pododdziałami sztabowymi i logistykami. „Uzyskaliśmy w ten sposób lepszy efekt szkolenia. Żołnierze uczyli się współpracy, a chęć pokazania się przed sojusznikami z jak najlepszej strony mobilizowała do większego zaangażowania", wyjaśnia generał.

English version: polska-zbrojna.pl

ARCH. 10 BKPanc

KOMENTARZ

KEVIN BRADLEY

Moim marzeniem jest, aby polscy i amerykańscy żołnierze nie spotykali się ze sobą tylko na poziomie dowódców i podczas wspólnego szkolenia. Wzajemne relacje powinno się nawiązywać nie tylko w sztabach i na odprawach, lecz także na najniższym poziomie, między szeregowymi żołnierzami, również po służbie. Moi żołnierze są na to gotowi. Proszą, aby uczyć ich polskich słów i zwrotów, bo chcą umieć porozumiewać się z Polakami. Takie podejście do partnerstwa bardzo mnie cieszy. ■

Ppłk KEVIN BRADLEY jest dowódcą 1-7 Batalionu Rozpoznawczego 1 Brygady Kawalerii.

Pewnym utrudnieniem było jedynie to, że czasami pododdziały obu stron znajdowały się na różnych etapach szkolenia. Gdy nasi żołnierze na przykład ćwiczyli zgrywanie na poziomie kompanii, Amerykanie zgrywali plutony. Ale z czasem okazało się, że nie stanowi to problemu. Jeżeli nie dało się łączyć zdolności równorzędnych pododdziałów będących na jednakowym etapie szkolenia, to je uzupełniano. I tak w działania amerykańskich zmechanizowanych włączał się polski pododdział saperów, a ponadto zabezpieczały ich pododdziały wojsk chemicznych. Oprócz tego dostawali też osłonę przeciwlotniczą z 10 Brygady Kawalerii Pancernej.

Partnerstwo w świętoszowskiej brygadzie to nie tylko wspólne ćwiczenia. Pododdziały współzawodniczą też w zawodach sportowych. Polacy i Amerykanie poznają nawzajem swoje kultury – biorą udział w różnego rodzaju imprezach i wycieczkach, odbywają się projekcje polskich filmów tłumaczonych na angielski. Niektóre pokazy, jak np. produkcji o powstaniu warszawskim czy Katyniu, poprzedzają prelekcje historyczne.

ODMIENNE WARUNKI SŁUŻBY

Przed wylotem do Polski dowódca amerykańskiego szwadronu rozpoznawczego odwiedził dowództwo 2-70 Batalionu Czołgów, który w Świętoszowie stacjonował do maja. Chciał się dowiedzieć, w jakich warunkach przyjdzie batalionowi pełnić misję na terenie Polski. Okazało się, że różnią się one od tych w Stanach Zjednoczonych. Przede wszystkim chodziło o klimat i teren stacjonowania. W Teksasie na przykład temperatura w okolicy Fort Hood wynosi w czerwcu około 40ºC. W Świętoszowie w najbardziej upalne dni sięgała maksymalnie 30. Poligony w Teksasie są znacznie mniej zadrzewione, położone na płaskim terenie, a pasy taktyczne i rejony ćwiczebnych działań większe i oddalone od ruchliwych dróg. Ppłk Bradley widzi jednak korzyści wynikające z tych różnic. Uważa, że pobyt w Polsce będzie polem do popisu dla jego sztabowców planujących zajęcia taktyczne. W działaniach muszą uwzględniać ukształtowanie terenu, a przed podejmowaniem decyzji organizować rekonesanse w terenie.

Za pewien kłopot pułkownik uważa wprowadzanie stopni zagrożenia pożarowego uniemożliwiających prowadzenie strzelań, a przy najwyższym – zakazujące nawet wszelkiego ruchu pojazdów na poligonie. „U nas przepisy są mniej restrykcyjne. Na poligonach funkcjonują specjalne grupy wojskowe i cywilne wkraczające do akcji na wypadek pożaru. Nie ma czegoś takiego jak przerwanie ćwiczeń. Poligony są znacznie oddalone od ludzkich siedzib. Nie ma też drzew, więc zagrożenie pożarem jest dużo mniejsze”, wyjaśnił dowódca amerykańskiego batalionu.

Koszary 10 Brygady Kawalerii Pancernej dla żołnierzy amerykańskiego szwadronu mają być domem przez kilka kolejnych miesięcy. O ile dowództwo będzie tutaj stacjonowało bez przerwy, o tyle pododdziały nie ograniczą się do ćwiczeń na terenie sąsiadującego z koszarami poligonu żagańskiego, ale będą wyruszały na różne ćwiczenia także poza granice Polski: na Litwę, do Słowacji czy Niemiec.

Ponad rok temu, w związku z przyjazdem amerykańskich żołnierzy do Świętoszowa, koszary nie były jakoś specjalnie przygotowywane. Sojusznicy zostali zakwaterowani w dwóch wyremontowanych budynkach, które i tak miały zostać odnowione. Sprzęt przechowują w wydzielonym miejscu – w parku sprzętu technicznego jednostki. 10 Brygada Kawalerii Pancernej miała halę sportową oraz →

Amerykanie bez problemu dopasowali się do rytmu dnia panującego w jednostce.

WOZY PIECHOTY BRADLEY

to oprócz czołgów Abrams najważniejsze uzbrojenie 1-7 Batalionu

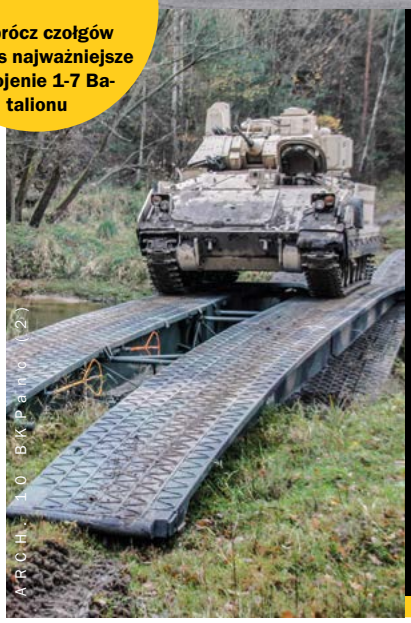

ARCH. 10 BKPanc (2)

KOMENTARZ

DARIUSZ PARYLAK

Zbudowaliśmy z Amerykanami dobry model partnerstwa. Razem mieszkamy, razem się szkolimy, razem odpoczywamy, więc wszyscy w koszarach mają równe prawa i obowiązki. Kilka rzeczy dostosowaliśmy do ich potrzeb i nawyków. Mogą na przykład dłużej pracować w parku sprzętu technicznego, bo nie mają swojego pełnego zaplecza warsztatowego. W innych aspektach życia wojskowego goście dostosowali się do nas. Chętnie uczestniczą we wszystkich imprezach organizowanych w garnizonie. Mam wrażenie, że czują się jak jeden z pododdziałów brygady. ■

Gen. bryg. DARIUSZ PARYLAK jest dowódcą 10 Brygady Kawalerii Pancernej.

KOSZARY 10 BRYGADY KAWALERII PANCERNEJ DLA ŻOŁNIERZY AMERYKAŃSKIEGO SZWADRONU MAJĄ BYĆ DOMEM PRZEZ KILKA NAJBLIŻSZYCH MIESIĘCY

odpowiednią infrastrukturę do ćwiczeń siłowych, sojusznicy zrezygnowali zatem z ustawienia własnej siłowni w namiocie. Goście chętnie porozumieli się z dowództwem brygady w sprawie dostosowania się do porządku dnia panującego w jednostce. Gdy Polacy o godzinie 7.00 rozpoczynają dzień marszobiegiem, oni także prowadzą zaprawę. Zajęcia szkoleniowe miejscowych żołnierzy rozpoczynają się o godzinie 8.00, więc Amerykanie dostosowali się do tego rytmu. Koszary stały się dwunarodowym fortem, gdzie wojskowi z obu armii zgodnie funkcjonują.

„Obserwuję, że odkąd mamy tu na co dzień Amerykanów, w brygadzie poprawiła się jakość pracy wielu komórek organizacyjnych. Wzrosła terminowość załatwiania spraw i kultura w kontaktach między ludźmi”, mówi ppłk Renart Skrzypczak, szef sztabu jednostki. Przedstawiciele dowództwa brygady sądzą, że wynika to ze zmiany mentalności niektórych polskich urzędników wojskowych, którzy starają się przed gośćmi pokazać z jak najlepszej strony. Ta sama zasada obowiązuje w stołówce. Polski personel przygotowuje posiłki dla obu grup żołnierzy. Schabowy z kapustą stał się jednym z dań, które przybysze zza oceanu lubią najbardziej.

Amerykanie są często tematem rozmów prowadzonych przez polskich żołnierzy, na przykład w palarni jednostki. Dominuje przekonanie, że to fajne chłopaki. W kantynie, przy pizzy czy pierogach, nie unikają kontaktów, chętnie po służbie dają się zaprosić na piwo i nie gwiazdorzą tylko dlatego, że służą w najpotężniejszej armii świata. W trakcie takich rozmów można usłyszeć wiele anegdot. Jedna opowiada o tym, jak tuż po przyjeździe kierowcom US Army trudno było przyzwyczaić się do jazdy po wąskich drogach. „Kiedyś jeden Amerykanin zatrzymał nagle swój pojazd na polskiej drodze i wszedł w las w poszukiwaniu drugiego pasa ruchu. Nie wierzył, że tak wąska asfaltówka może być jezdnią dwukierunkową”, opowiada jeden z kierowców polskiej kompanii dowodzenia. ■

JAK NAS WIDZĄ?

Z żołnierzami 2 Pułku Kawalerii służącymi w Batalionowej Grupie Bojowej NATO

o sprawdzaniu wytrwałości, charakteru oraz zawieraniu nowych przyjaźni rozmawia Michał Zieliński.

Niektórzy żołnierze z poprzednich zmian opowiadali, że słyszeli o naszym kraju różne historie, niekoniecznie pokrywające się z rzeczywistością. A jak Wy wyobrażaliście sobie Polskę przed przyjazdem?

Por. William Scott, 1 Skrzydło 2 Pułku Kawalerii: O rotacjach w Polsce słyszałem od lutego 2017 roku, czyli od momentu, w którym dostałem przydział do 2 Pułku Kawalerii. Na początku nie wiedziałem, czego się spodziewać, ale miałem świadomość, że charakter tej służby będzie niecodzienny. Nie jest to misja polegająca na utrzymaniu pokoju bądź stabilizacji danego kraju, lecz pokazująca sojuszniczą jedność. Nie słyszałem natomiast żadnych dziwnych historii o Polsce. Jedna z najlepszych rad, jaką dali mi przyjaciele, brzmiała: „weź ze sobą strój na plażę". W czasie wolnych weekendów pływanie w okolicznych jeziorach i stawach jest świetnym sposobem na odstresowanie.

Sierż. James Hackworth, 1 Skrzydło 2 Pułku Kawalerii: Kiedy po raz pierwszy usłyszałem, że jedziemy do Polski, wyobrażałem sobie, że służba tutaj będzie podobna do tej w Korei. Spodziewałem się ciszy nocnej, ograniczeń w opuszczaniu bazy i treningu prowadzonego na najwyższych obrotach, tak żeby w dość krótkim czasie upchnąć jak najwięcej ćwiczeń. Nie słyszałem za to żadnych śmiesznych lub niecodziennych historii związanych z samą Polską.

Jakie było Wasze pierwsze wrażenie po dotarciu do bazy?

Por. William Scott: Byłem bardzo zaskoczony. Poligon w Bemowie Piskim jest położony głęboko w lesie. Gęsto rosnące drzewa otaczały mnie niemal z każdej strony, dlatego nie widziałem bazy, aż do momentu, w którym podjechaliśmy pod główną bramę.

Sierż. James Hackworth: Do bazy dotarliśmy około drugiej nad ranem. Zobaczyłem wysokie ogrodzenie oraz zasieki wokół wszystkich budynków. Wcale nie byłem pewien, czy trafiliśmy we właściwe miejsce. Zaskoczyło mnie to, jak głęboko w lesie znajdują się nasze nowe kwatery.

Na czym polega służba w Polsce? Przypuszczam, że różni się od tego, co robicie w Niemczech.

Sierż. James Hackworth: Można powiedzieć, że mamy dokładnie odwrotne zadania. Zamiast przyjmować międzynarodowe siły na organizowany przez nas trening, przyjechaliśmy do Polski, żeby ćwiczyć razem z nimi. To dla mnie niecodzienne doświadczenie.

Por. William Scott: W Polsce służę jako Joint Visitor Bureau Officer-In Charge oraz koordynator lingwistów zakontraktowanych przy Batalionowej Grupie Bojowej NATO. Pierwsza funkcja polega na współpracy z podoficerami, z którymi koordynuję trasy, wyznaczam zakwaterowanie i kieruję całą logistyką dotyczącą odwiedzających nas gości, zarówno wizytujących bazę, jak i podczas ich podróży po Polsce. Zarządzenie pracą lingwistów wymaga współpracy z różnymi elementami grupy bojowej. Tak aby anglojęzyczni obywatele Polski mogli usprawniać prowadzone szkolenie.

W Niemczech natomiast jestem oficerem wywiadu przy skrzydle kawalerii. Moją rolą jest wspieranie ćwiczeń odbywających się na poziomie mojego oddziału.

English version: polska-zbrojna.pl

Dostarczam informacje na temat możliwości sił przeciwnika w świecie rzeczywistym, opracowuję mapy i nadzoruję bezpieczeństwo magazynów, w których składowana jest broń. Różnice między dwiema funkcjami są zatem zauważalne na pierwszy rzut oka.

Jak przebiega współpraca z polskimi żołnierzami?

Por. William Scott: Aby zapewnić koordynację między grupą bojową a 15 Giżycką Brygadą Zmechanizowaną, współpracuję bezpośrednio z czterema polskimi oficerami łącznikowymi. Wypracowanie wzajemnego zrozumienia, także z perspektywy odmienności kulturowej oraz różnic językowych, było wspaniałym doświadczeniem.

Sierż. James Hackworth: Moja praca wymaga prawie codziennych kontaktów z polskimi żołnierzami. Bariera językowa czasami bywa trudna, ale mamy lingwistów, którzy pomagają nam ją pokonać.

Pójdźmy dalej tym tropem. Na pewno zauważyliście też różnice między amerykańską a polską armią.

Sierż. James Hackworth: Harmonogram prac każdej armii jest inny. Jeżeli zostaniemy wezwani do wykonania zadania o północy, nasze polskie odpowiedniki mogą w tym czasie po prostu nie pracować. Obie strony natomiast dużo ćwiczą, ale nasze treningi mają charakter bardziej ciągły, podczas gdy w polskim wojsku wydają się skoncentrowane na określonych momentach, np. ćwiczeniach. W obu wypadkach dostajemy w kość, co przynosi efekty. Dobrze jest widzieć te różnice i wyciągać z nich wnioski.

Por. William Scott: Jedna z największych różnic, którą zauważyłem między polską i amerykańską armią, dotyczy relacji personalnych. Niemal każdą sprawę, w którą zaangażowani są dowódcy, omawia się tutaj w cztery oczy, przy kawie. U nas takie kwestie rozwiązuje się na zsynchronizowanych spotkaniach, na których obecny jest cały sztab. Ciekawym doświadczeniem była nauka łączenia takiego small-talk z pracą. Dodatkowo w polskim wojsku większą wagę przywiązuje się do rozwiązań formalnych, podczas gdy armia amerykańska mierzy się ze zdarzeniami typowymi dla pola walki, które występują u nas rutynowo. Mniej protestujemy na przykład, kiedy są anulowane lub przenoszone spotkania. Polacy natomiast rzadko odchodzą od swoich dziennych lub tygodniowych rozkładów zajęć. Przewagą amerykańskiego sposobu postępowania jest większa elastyczność w działaniu. Polski ma za to wyższy poziom przewidywalności.

Co najbardziej utkwiło Wam w pamięci podczas służby w Polsce?

Por. William Scott: Przebiegłem półmaraton z innymi żołnierzami z grupy bojowej. Trasa, rywalizacja i ogólna atmosfera były bardzo przyjemne. Rozśmieszyło mnie natomiast, że zwycięzcy półmaratonu otrzymali… węgorza. Bo impreza odbyła się w mieście Węgorzewo. Tego widoku długo nie zapomnę.

Sierż. James Hackworth: Spotkałem się z przyjaciółką, z którą gram online. Kiedy dowiedziałem się, że mieszka w Ełku, postanowiłem do niej podjechać. Poznałem jej rodzinę.

Czas spędzony w Polsce będzie miał wpływ na Wasze życie zawodowe oraz osobiste?

Sierż. James Hackworth: Tutaj jestem w stanie rozwijać umiejętności bezpośrednio związane z moją pracą i jednocześnie mogę uczyć się nowych rzeczy. Zarazem musiałem przerwać na ten czas zajęcia w kilku szkołach oraz odłożyć planowane podróże, ale i tak jest to wyjątkowe doświadczenie.

Por. William Scott: Służba w Polsce jest moim pierwszym prawdziwym wojskowym doświadczeniem, więc nie mogę jej porównać do innych rutynowych operacji. Jednak pomimo długich godzin pracy i narzuconego tempa była to świetna okazja, aby nawiązać bliskie relacje z innymi kawalerzystami z 1 Skrzydła. Nieustannie razem spędzamy czas, dlatego ta rotacja doprowadziła do niespodziewanych przyjaźni. Daje mi to energię do

Sierż. James Hackworth: *Bariera językowa czasami bywa trudna, ale mamy lingwistów, którzy pomagają nam ją pokonać*

wewnętrznej motywacji. Tak więc połączyłem moje życie zawodowe z osobistym, zawierając nowe przyjaźnie i ucząc się od jak największej liczby osób.

Z czym będziecie kojarzyć służbę w Polsce?

Sierż. James Hackworth: Po wyjeździe stąd chcę być kojarzony ze zmianami, które wprowadziłem w bazie. Każdego dnia pracuję nad usprawnieniami procesów logistycznych i operacyjnych, tak abyśmy mogli lepiej funkcjonować jako wielonarodowe siły posługujące się kilkoma językami. Mam nadzieję, że wprowadzone przeze mnie rozwiązania ułatwiają pracę żołnierzom w ich codziennym działaniu.

Por. William Scott: Będę kojarzył Polskę z moim pierwszym doświadczeniem zdobytym w armii, z treningami na siłowni w piątkowe wieczory odbywanymi wspólnie z przyjaciółmi oraz z bliską współpracą z wieloma międzynarodowymi partnerami. Także z pragnieniem powrotu. ■

HUBERT D. DELANY III/US ARMY (2)

KRZYSZTOF WILEWSKI

CZWARTY ELEMENT

Budowa polskiej instalacji zgodnie z programem amerykańskiej tarczy rakietowej w Europie jeszcze trwa. Pozostałe komponenty osiągnęły gotowość operacyjną.

SCOTT W. ROGERS/US NAVY

Kiedy w 2007 roku amerykański prezydent George Bush zadeklarował, że Stany Zjednoczone chcą oprzeć obronę rakietową swojego terytorium na systemie kilkunastu baz US Army umieszczonych w Europie, szczególnie w jej środkowej i wschodniej części, zarówno rządy państw byłego bloku wschodniego, jak i wojskowi eksperci nie kryli zadowolenia. Amerykańska tarcza miała bowiem nie tylko neutralizować rakiety balistyczne dalekiego i średniego zasięgu lecące w stronę USA np. z Rosji, Iranu czy Korei Północnej, lecz także chronić przed potencjalnym atomowym uderzeniem na kraje Europy.

OSZCZĘDNOŚCIOWY RESET

Plan Busha juniora, dla którego budowa wielowarstwowego systemu obrony antyrakietowej była sztandarowym programem obronnym, miał jedną wadę. Był kolosalnie drogi. Utworzenie kilkunastu baz, wyposażonych w najnowocześniejsze w tamtym czasie radary oraz pociski antyrakietowe, miało kosztować setki miliardów dolarów. A to nie wszystko, bo konieczne były jeszcze okręty US Navy z systemem Aegis BMD, a także dodatkowe bataliony systemów Patriot w kluczowych państwach NATO.

Kolejny prezydent – Barack Obama – w jednym ze swoich pierwszych wystąpień dotyczących spraw obronnych zapowiedział, że przeprowadzi przegląd dotychczas realizowanych programów zbrojeniowych. 17 września 2009 roku ogłosił natomiast, że Stany Zjednoczone zamiast stacjonarnego systemu antyrakietowego zbudują tarczę mobilną z wykorzystaniem instalacji typu Aegis BMD na okrętach rakietowych US Navy i jedynie kilka baz lądowych. Program otrzymał nazwę „European Phased Adaptive Approach" (EPAA).

DECYDUJĄCE FAZY

Amerykanie ostatecznie zdecydowali, że powstaną tylko trzy bazy lądowe. Jako pierwszą lokalizację wskazali Turcję. W miejscowości Kurecik miała powstać jednak wyłącznie stacja radarowa. O dwa pozostałe miejsca, wyposażone nie tylko w urządzenia radiolokacyjne – radary: AN/SPY-1(D) i Mk99, lecz także wyrzutnie pocisków antyrakietowych, starały się kraje z Europy Środkowej i Wschodniej. Ostatecznie wybór padł na polskie Redzikowo i rumuński Devesel.

Program EPAA został podzielony na cztery etapy. Najpierw powstała baza w Turcji i tamtejszy radar wczesnego ostrzegania osiągnął gotowość operacyjną pod koniec 2011 roku. W ramach drugiej fazy stworzono morski element tarczy, czyli składający się z czterech niszczycieli klasy Arleigh Burke zespół CTF-64, który został podporządkowany 6 Flocie US Navy. Stacjonujący w hiszpańskiej bazie Rota komponent składa się teraz z okrętów: USS „Donald Cook", USS „Ross", USS „Porter" i USS „Carney". Trzeci etap podzielono na dwie części, które obejmowały budowę baz w Rumunii oraz w Polsce. Ta pierwsza powstała w grudniu 2015 roku, a gotowość operacyjną osiągnęła 12 maja 2016 roku. Budowa polskiej bazy rozpoczęła się symbolicznie dzień później, 13 maja 2016 roku.

W uroczystości wbicia łopaty w ziemię, co miało symbolizować rozpoczęcie budowy, wzięli udział prezydent RP, ministrowie obrony narodowej i spraw zagra-

MDA

Pocisk SM-3 wystrzeliwany z amerykańskiego niszczyciela klasy Arleigh Burke

Etapy budowy amerykańskiej tarczy antyrakietowej w Europie:

- **budowa bazy z radarem wczesnego ostrzegania w Turcji – w Kurecik**
- **utworzenie morskiego elementu rakietowego – zespołu CTF-64, składającego się z czterech niszczycieli klasy Arleigh Burke należących do US Navy. Zespół funkcjonujący w ramach 6 Floty stacjonuje w hiszpańskiej bazie Rota**
- **budowa baz w Polsce i Rumunii**
- **opracowanie nowych rakiet SM-3 IIA oraz modyfikacja oprogramowania do kierowania ogniem systemu Aegis BMD**

nicznych, a także zastępca sekretarza obrony USA i asystent sekretarza generalnego NATO. Zwierzchnik Sił Zbrojnych RP przekonywał, jak wiele znaczy to wydarzenie dla naszego kraju: „To ważny dzień dlatego, że o ile my staliśmy się członkiem paktu północnoatlantyckiego już przed laty, o tyle długo czekaliśmy, aby w sensie stałym, stabilnym, także i sojusz wszedł do Polski", mówił prezydent Andrzej Duda. „To nie będą pociski wymierzone w kogokolwiek. One zostaną ukierunkowane na bezpieczeństwo. Mają chronić niebo nad Europą przed jakimkolwiek atakiem rakietowym", dodał, podkreślając defensywny charakter instalacji.

Za budowę wycenianej na około 400 mln dolarów bazy były odpowiedzialne: Korpus Inżynieryjny Wojsk Lądowych Stanów Zjednoczonych (United States Army Corps of Engineers – USACE) i Agencja Obrony Przeciwrakietowej (Missile Defense Agency – MDA), Dowództwo Sił Stanów Zjednoczonych w Europie (United States European Command – EUCOM) oraz Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych (US Navy). Zgodnie z deklaracjami z maja 2016 miały się one uporać z tym zadaniem do końca 2018 roku. Niestety nie udało się to.

„Odnotowujemy opóźnienia techniczne w budowie bazy, które strona amerykańska sygnalizowała już w połowie stycznia 2018 roku", poinformował posłów pod koniec marca minister spraw zagranicznych Jacek Czaputowicz, przedstawiając na forum parlamentu założenia polityki zagranicznej rządu.

W majowym raporcie „Missile Defense. The Warfighter and Decision Makers Would Benefit from Better Communication about the System's Capabilities and Limitations", Government Accountability Office, czyli instytucja kontrolna Kongresu Stanów Zjednoczonych, oceniła, że opóźnienie w budowie bazy w Redzikowie może wynieść nawet dwa lata.

PROBLEMY Z ORĘŻEM

Eksperci oceniają, że problemem może być nie tyle niewywiązywanie się z umów przez wykonawców prac budowlanych, jak sugerują przedstawiciele Pentagonu, ile niezakończony cykl badań i testów nad bronią, która ma być orężem lądowej części tarczy. Chodzi tu o pociski RIM-161 Standard Missile 3 Block IIA (SM-3 IIA) – przeznaczone do zwalczania pocisków balistycznych zasięgu: krótkiego (SRBM), średniego (MRBM), pośredniego (IRBM) oraz międzykontynentalnych (ICBM). Następca SM-3 IA i SM-3 IB powstaje w wyniku programu realizowanego przez USA wspólnie z Japonią. Niestety od roku inżynierowie borykają się z problemami ze skutecznością broni.

Wprawdzie test rakiety z lutego 2017 roku na poligonie na Pacyfiku przebiegł pomyślnie, jednak próby z czerwca 2017 roku i lutego 2018 roku zakończyły się niepowodzeniem. Amerykanie do kolejnej szykują się na lato 2018 roku i zapowiadają, że znaleźli źródło problemów. Jak poinformował kilka tygodni temu gen. Sam Greaves, szef Agencji Obrony Przeciwrakietowej (MDA), podczas czerwcowej próby zawinił operator – marynarz, który wydał błędną komendę do samoczynnej detonacji rakiety przed zniszczeniem celu. Pociski SM-3 IIA będą mieć około 2,5 tys. km zasięgu oraz osiągać prędkość około 18 tys. km/h. ■

SKRZYDŁA JEDNOŚCI

EWA KORSAK, MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

W formule Aviation Detachment odbyły się już setki polsko--amerykańskich lotów i skomplikowanych misji powietrznych.

Aviation Detachment to komponent amerykańskich sił powietrznych, który funkcjonuje w Polsce od 2012 roku. Jego ideą od samego początku miały być regularne ćwiczenia i szkolenia z udziałem lotników z armii NATO. Pierwsi Amerykanie pojawili się w listopadzie 2012 roku w 32 Bazie Lotnictwa Taktycznego w Łasku. Pododdział tworzyło dziesięciu żołnierzy: pilotów, techników oraz logistyków i łącznościowców z 52 Grupy Operacyjnej, należącej do zgrupowania Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych w Europie. Oceniano, że jest to drugie tak ważne wydarzenie po przystąpieniu Polski do NATO. „Jesteśmy tu po to, by przygotować ćwiczenia dla polskich i amerykańskich lotników", mówił „Polsce Zbrojnej" w 2012 roku mjr pil. Matthew Spears, dowódca pododdziału. Zakładano, że piloci F-16 będą szkolić się na przykład w nocnych misjach, a C-130 – w desantowaniu żołnierzy i ładunków. Takie szkolenia trwały od dziesięciu dni do miesiąca.

PIOTR ŁYSAKOWSKI

Brało w nich udział nawet 250 żołnierzy oraz eskadry F-16 lub klucze transportowych herculesów.

STOPNIOWE DOCIERANIE

Część stała Aviation Detachment stacjonowała w Polsce już niemal rok, kiedy w Powidzu pojawił się pierwszy pododdział rotacyjny. W 2013 roku w 33 Bazie Lotnictwa Transportowego wylądowali lotnicy z 86 Skrzydła Lotnictwa Transportowego. Nie od samego początku wspólne działanie było proste. Polskie i amerykańskie wersje herculesów różniły się między sobą, więc niemożliwa była współpraca w powietrzu między załogami w takim stopniu, jak początkowo zakładano. Zamiast wspólnych ćwiczeń Amerykanie początkowo wykonywali swoje zadania postawione przed wylotem z macierzystej bazy.

Wszystko zaczęło się jednak układać, kiedy na szkolenie dotarli lotnicy herculesem w wersji zbliżonej do polskiej oraz amerykańscy instruktorzy. „Dzięki gościom mogliśmy potrenować loty w ugrupowaniach złożonych z większej liczby samolotów. Sami nie bylibyśmy w stanie tego zrobić, ponieważ mamy tylko pięć maszyn. A nigdy nie jest tak, że w powietrze mogą się wzbić wszystkie jednocześnie", podkreślał mjr Tomasz Przecherski, szef sekcji planowania operacji powietrznych 33 Bazy, a zarazem nawigator w załodze herculesa.

W Polskich bazach lądowały też F-16. Myśliwce brały udział m.in. w ćwiczeniach „Anakonda '14", a w 2015 roku w „Baltops", „Saber Strike" i „Eagle Talon". Amerykanie szkolili się z Polakami, latając w naszej przestrzeni powietrznej o różnych porach dniach. Trenowali też walkę, tankowanie w powietrzu oraz planowanie. W ciągu kilkunastu godzin wykonywali nawet dziesięć misji lotniczych.

W 2015 roku do Polski przyleciały również samoloty szturmowe A-10 Thunderbolt II z 354 Dywizjonu Myśliwskiego. Maszyny tego typu sprawdziły się m.in. w Iraku, gdzie zwalczały pojazdy pancerne. Załogi A-10 szkoliły się w powietrzu z lotnikami polskich i amerykańskich →

NIE TYLKO LOTNICY

W 2014 roku do Polski przyjechało ponad 200 żołnierzy amerykańskiej kawalerii pancernej. Pancerniacy z 1 Brygadowej Grupy Bojowej z 1 Dywizji Kawalerii Pancernej z Teksasu. Ich obecność związana była z rozpoczętą przed czterema laty operacją „Atlantic Resolve", która miała wzmocnić europejskich sojuszników wobec trudnej sytuacji na Ukrainie. Amerykańscy pancerniacy, jako tak zwany Heavy Detachment, ćwiczyli w Polsce sami oraz z pododdziałami 7 Brygady Obrony Wybrzeża. Żołnierze z Teksasu zastąpili przebywających w naszym kraju spadochroniarzy ze 173 Brygady Powietrznodesantowej USA, która na co dzień stacjonuje we Włoszech. Tzw. Airborne Detachment, liczący około 150 żołnierzy, szkolił się w Drawsku Pomorskim z polskimi spadochroniarzami z 6 Brygady Powietrznodesantowej.

W 2015 roku jako Heavy Detachment w Polsce ćwiczyli żołnierze z 1 Brygady Pancernej 3 Dywizji Piechoty Wojsk Lądowych Stanów Zjednoczonych. Amerykanie szkolili się z 10 Brygadą Kawalerii Pancernej ze Świętoszowa.

Od 2014 do 2017 roku w Polsce ćwiczyli także żołnierze kanadyjscy (m.in. ze składu Królewskiego 22 Pułku Piechoty, żołnierze z 1 Batalionu Lekkiego Pułku Księżniczki Patrycji z Quebecu oraz narodowych sił rezerwowych). Trening prowadzili z 6 Brygadą Powietrznodesantową, ale głównie ze szturmanami 25 Brygady Kawalerii Powietrznej. Żołnierze ćwiczyli taktykę, mieli zajęcia ogniowe, w tym specjalistyczne szkolenie dla strzelców wyborowych, oraz wykonywali desantowanie ze śmigłowców. ■

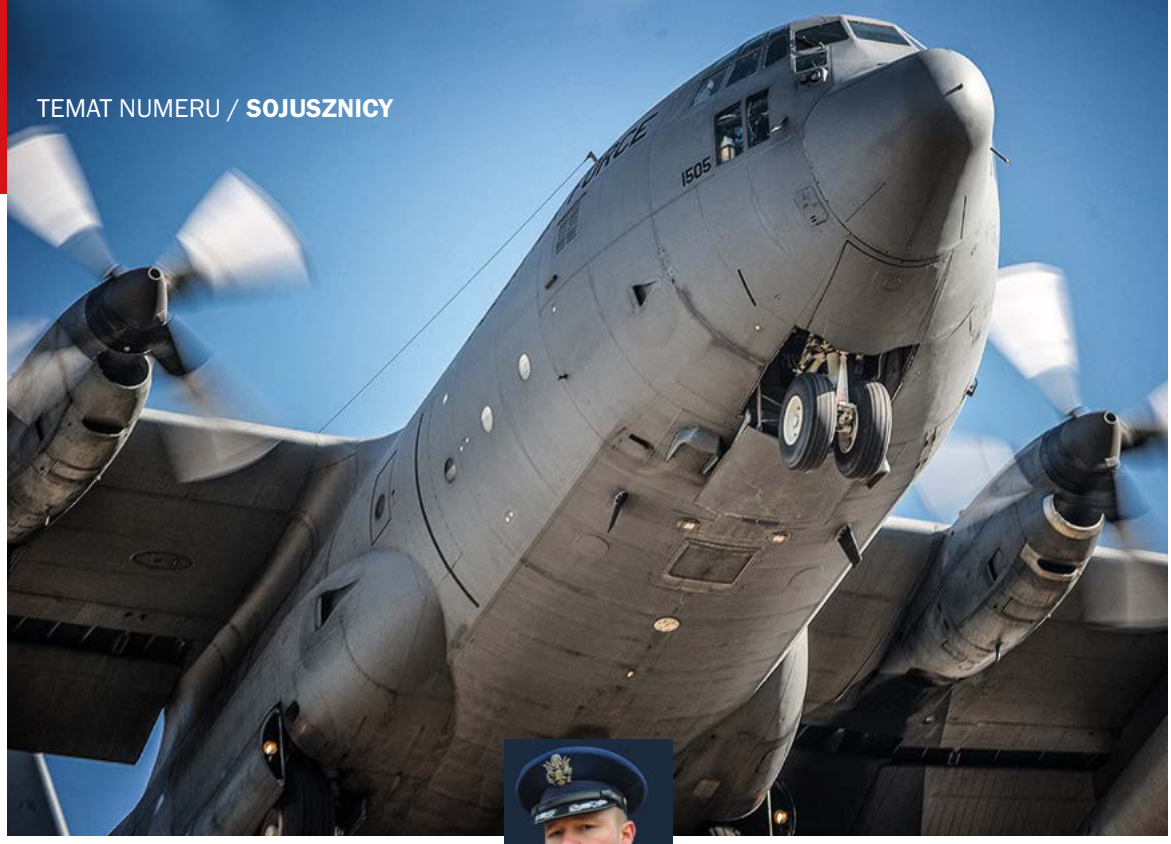

PIOTR ŁYSAKOWSKI

„Jesteśmy tu po to, by przygotować ćwiczenia dla polskich i amerykańskich lotników", mówił „Polsce Zbrojnej" w 2012 roku mjr pil. Matthew Spears, dowódca pododdziału.

herculesów, ubezpieczały też transportowce i wykonywały szkoleniowe operacje lotnicze z samolotami F-16, MiG-29 oraz Su-22.

WIELKIE DESANTOWANIE

W październiku 2017 roku w Powidzu wylądowali Amerykanie, którzy na co dzień służą w 934 Skrzydle Transportowym w Minneapolis w Stanach Zjednoczonych oraz w 86 Skrzydle Transportowym w niemieckim Ramstein. Przylecieli do Polski czterema transportowcami C-130 Hercules w wersji „J" i „H". Oprócz pilotów przybyli tu również nawigatorzy, technicy pokładowi, technicy załadunku, tzw. loadmasterzy, oraz logistycy, łącznościowcy, medycy i specjaliści, którzy zajmują się zabezpieczeniem zrzutów osobowych i towarowych. Szkolili się ze specjalistami 33 Bazy Lotnictwa Transportowego w Powidzu. Loty (każdy samolot spędził w powietrzu około 60 godzin) odbywały się nad terytorium całej Polski. Piloci współpracowali także z 6 Brygadą Powietrznodesantową, której żołnierze desantowali się z pokładu herculesów, spadochroniarze przygotowywali też zrzuty ładunków towarowych.

Ostatnie dotychczas szkolenie z załogami z bazy w Powidzu odbyło się w pierwszym kwartale 2018 roku. Tym razem na niemal miesiąc do Polski przylecieli żołnierze ze 169 Eskadry Lotnictwa Transportowego. „Przez trzy tygodnie polscy i amerykańscy lotnicy wykonywali wspólne zadania. Ćwiczono zrzuty personelu i ładunku, loty w formacjach i z wykorzystaniem sprzętu noktowizyjnego oraz lądowanie na nawierzchni nieutwardzonej", wyjaśnia Luiza Wawrzyniak-Kozera, rzecznik prasowy 33 Bazy Lotnictwa Transportowego. Piloci po raz pierwszy przećwiczyli również zrzuty z małej wysokości, tzw. LCLA (Low Cost, Low Altitude). Zwieńczeniem wspólnego szkolenia były zawody. Lotnicy musieli zmierzyć się w kilku konkurencjach, m.in. precyzyjnym lądowaniu. Lądujący piloci muszą zmieścić się boksie o długości 150 m. Im bliżej środka boksu koła podwozia zetkną się z podłożem, tym lepiej. Nie lada wyzwaniem jest także konkurencja na celność zrzutu. Wówczas 700-kilogramowy kontener trzeba desantować tak, aby wylądował jak najbliżej wyznaczonego na ziemi punktu. Samolot wykonujący to zadanie leci zwykle 150 m nad ziemią z prędkością blisko 250 km/h. (Więcej na ten temat w numerze majowym „Polski Zbrojnej").

DŁUGA DROGA

W ciągu sześciu lat istnienia Aviation Detachment w Polsce niektórzy z amerykańskich lotników odwiedzili nasz kraj już kilkakrotnie. Jakie są ich wrażenia? „Przeszliśmy wspólnie naprawdę długą drogę", podkreśla mjr Randy Fasing, pierwszy pilot herculesa. „Dla mnie w ciągu tych trzech tygodni [ostatniego szkolenia] najważniejsze były loty w polsko-amerykańskich ugrupowaniach oraz zadania realizowane przez mieszane załogi, kiedy to Polak i Amerykanin siedzieli ramię w ramię na fotelach pilotów w tej samej maszynie", wspomina mjr Fasing. Kolejna zmiana amerykańskich lotników przyleci do Polski w październiku. Ponownie szkolenie przejdą załogi samolotów transportowych. ■

Współpraca: ŁUKASZ ZALESIŃSKI

WOJSKOWY INSTYTUT TECHNICZNY UZBROJENIA

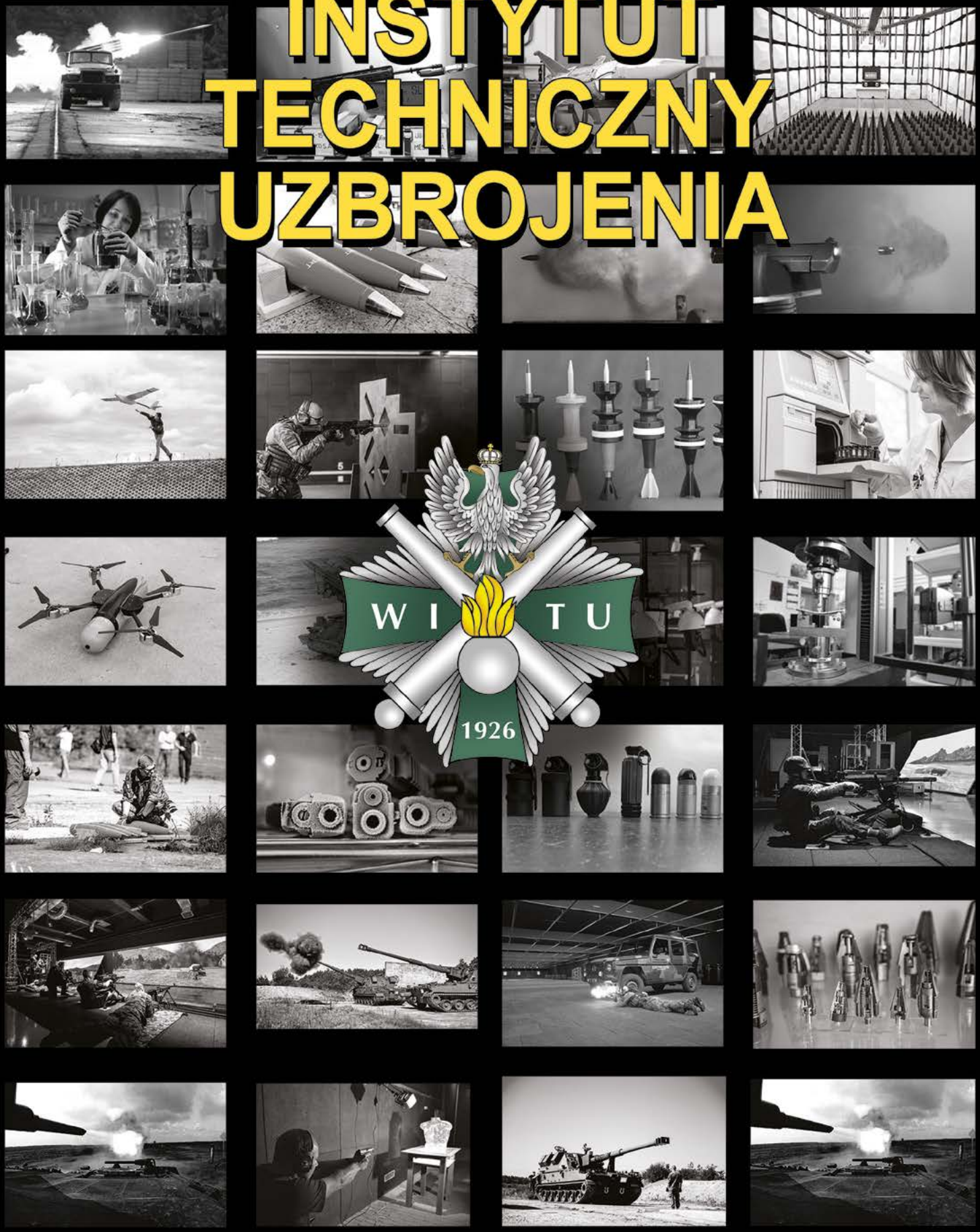

www.witu.mil.pl

witu@witu.mil.pl

FILAR WSCHODNIEJ FLANKI

Z Michałem Baranowskim

o obecności Amerykanów w Polsce oraz istocie jedności wśród sojuszników rozmawia Małgorzata Schwarzgruber.

MARCIN KRÓLAK

Jak stała obecność wojskowa USA w naszym kraju, o którą zabiegamy, zmieniłaby status bezpieczeństwa Polski i całej wschodniej flanki NATO?

W odróżnieniu od Włoch, Niemiec, Portugalii czy Turcji, w krajach wschodniej flanki w zasadzie nie ma większych stałych instalacji sojuszu i USA. Rozmieszczenie stałych baz amerykańskich byłoby więc szansą na wyrównanie statusu bezpieczeństwa i trwałe zabezpieczenie interesów krajów w tym regionie. Byłby to kolejny mocny, także polityczny, krok pokazujący, że NATO zapuszcza u nas korzenie oraz znika podział na starych i nowych członków sojuszu. Zwiększenie obecności amerykańskiej do poziomu dywizji, z obecnego poziomu rotującej brygady pancernej, miałoby również ważny wymiar wojskowy. Największym wyzwaniem w razie konfliktu na wschodniej flance byłoby przerzucenie znaczących wojsk sojuszu do Polski i krajów bałtyckich. Stała obecność takich sił najpotężniejszego członka NATO w dużym stopniu rozwiązałaby ten problem, zmieniając tym samym kalkulacje strategiczne potencjalnego adwersarza.

Jak ocenia Pan szanse na rozmieszczenie w Polsce pancernej dywizji?

Nasza propozycja została pozytywnie odebrana w administracji amerykańskiej oraz w części Kongresu. Toczy się dyskusja między Departamentem Stanu, Pentagonem i Białym Domem. Kilku ważnych polityków amerykańskich ocenia, że to dobry pomysł. Pentagon został oficjalnie poproszony przez senacką komisję do spraw obrony o ocenę tej propozycji. Pytanie tylko, skąd wziąć kilkanaście tysięcy żołnierzy. Stany Zjednoczone nie dysponują teraz takimi siłami, które łatwo można by przerzucić do Polski. Mówił o tym niedawno w Warszawie gen. Ben Hodges. Najlepszym rozwiązaniem byłoby stworzenie nowych oddziałów US Army, a to oczywiście będzie wymagało sporo czasu i pieniędzy. Debata na ten temat w Waszyngtonie, a także w Brukseli, tak naprawdę dopiero się rozpoczyna, ponieważ koniec końców tę propozycję będzie musiał zaakceptować i sfinansować Kongres.

W jaki sposób fakt, że przeznaczamy 2% PKB na obronność, wpływa na naszą pozycję w zabiegach o utworzenie bazy w Polsce?

Polska nie tylko wydaje 2% PKB na obronę, ale także 20% wydatków na siły zbrojne przeznacza na modernizację, tym samym spełnia dwa główne natowskie kryteria, jeżeli chodzi o wydatki. Bardzo niewiele krajów może się tym pochwalić. Takie postępowanie sprawia, że Polska od dawna ma opinię solidnego sojusznika, poważnie traktującego kwestie solidarności i współodpowiedzialności w sojuszu. I Trump to docenia. Czasami nawet porównuje do nas inne kraje, które nie spełniają tych kryteriów. Amerykanie pamiętają również polskie zaangażowanie w Afganistanie oraz Iraku. Wydaje się, że Trump lubi Polskę, ale postanowienie o utworzeniu tutaj bazy nie może być wyłącznie jego decyzją. Pentagon będzie musiał znaleźć wystarczające dodatkowe siły, a Kongres – zaakceptować to rozwiązanie. Podejmując taką decyzję, kongresmeni będą brali pod uwagę wszystkie aspekty relacji polsko-amerykańskich, również te trudne, jak ustawa o Instytucie Pamięci Narodowej czy kwestie praworządności.

WIZYTÓWKA

MICHAŁ BARANOWSKI

Jest dyrektorem warszawskiego oddziału transatlantyckiego ośrodka analitycznego German Marshall Fund of the United States (GMF). Zajmuje się relacjami transatlantyckimi, polityką bezpieczeństwa oraz NATO.

Jakie znaczenie dla bezpieczeństwa Polski ma flanka wschodnia, na której NATO od ostatniego szczytu wzmocniło swą obecność?

Kluczowe. Polska jest strategicznie najważniejszym krajem wschodniej flanki NATO, dlatego sojusz i Amerykanie są tu najliczniej reprezentowani. W odróżnieniu od krajów bałtyckich, Polska ma znaczące własne siły wojskowe oraz głębię strategiczną, jest naturalnym filarem wschodniej flanki NATO. Nasze bezpieczeństwo jest nierozerwalnie związane z bezpieczeństwem innych sojuszników, szczególnie krajów bałtyckich na północy i Rumunii na południu. Jakiekolwiek działania wobec Bałtów bezpośrednio odbiłyby się na nas – dlatego kluczowa jest obecność natowska nie tylko u nas, lecz także na całej wschodniej flance.

Jesteśmy też eksporterem bezpieczeństwa – polscy żołnierze obecni są m.in. w republikach bałtyckich i Rumunii. Jak Pan postrzega to nasze zaangażowanie w inicjatywy podejmowane z dala od polskich granic?

W ramach sojuszniczej solidarności Polska mówi o podejściu 360 stopni, czyli o gotowości do obrony na każdym kierunku, nie tylko wschodnim i południowym, lecz także północnym. Oznacza to, że powinna być zaangażowana wszędzie tam, gdzie NATO. Dlatego tak ważna zawsze była nasza obecność w Afganistanie, a teraz w misji szkoleniowej w Iraku. Poza południem, to właśnie północna flanka NATO staje się coraz ważniejsza. Teren północnego Atlantyku między Grenlandią, Islandią a Wielką Brytanią jest kluczowym

English version: polska-zbrojna.pl

miejscem, także dla bezpieczeństwa Polski. Obserwujemy tam dużą aktywność rosyjskich łodzi podwodnych. W razie zagrożenia byłaby to trasa przerzutu wojsk amerykańskich do Europy. Polska w tym momencie nie ma znaczących zdolności, żeby tam się zaangażować, ale warto o tym pamiętać.

Jak ocenia Pan realizację ustaleń warszawskiego szczytu NATO?

Pozytywnie. To były ambitne decyzje. Wszystkie cztery grupy batalionowe są w pełni operacyjne, mamy wspólne ćwiczenia i rotacyjną wojskową obecność amerykańską. Przede wszystkim NATO zmieniło podejście do zagrożeń ze strony Rosji i zaczęło wprowadzać w życie politykę odstraszania. To duży sukces.

Czego spodziewa się Pan po szczycie w Brukseli?

Na tym spotkaniu nie zapadną przełomowe decyzje, raczej pogłębione zostaną wcześniejsze. Omawianych będzie kilka głównych tematów: odstraszanie i obrona, wsparcie i mobilność wojsk, rozszerzanie strefy stabilności poza sojusz, współpraca z Unią Europejską, powołanie nowych dowództw oraz sprawiedliwy podział wydatków obronnych. Kluczowymi kwestiami są gotowość i mobilność wojsk. Aby rotacyjna wysunięta obecność była skuteczna, musimy mieć możliwość szybkiego reagowania oraz przerzucania wojsk. Stąd inicjatywa gotowości bojowej „4x30", która oznacza, że do 2020 roku siły sojusznicze będą dysponowały 30 batalionami zmechanizowanymi, 30 dywizjonami lotniczymi i 30 okrętami gotowymi do podjęcia działań w ciągu 30 dni.

Co jest najważniejsze z naszego punktu widzenia?

Jedność transatlantycka. To ona jest źródłem politycznej i wojskowej współpracy. Bez niej nie będzie silnego sojuszu i trudno byłoby o zapewnienie bezpieczeństwa na wschodniej flance NATO. Mówił o tym prezydent Andrzej Duda na czerwcowym szczycie tzw. bukareszteńskiej dziewiątki. Ta jedność wyraża się także np. w utrzymywaniu sankcji wobec Rosji przez Unię Europejską i USA. To nasza najlepsza broń.

Polska ma znaczące własne siły wojskowe oraz głębię strategiczną. Jest zatem najważniejszym krajem wschodniej flanki ***NATO****, dlatego sojusz i Amerykanie są tu najliczniej reprezentowani*

Na razie jednak nie najlepiej jest z tą jednością. Sojuszników różni m.in. podejście do porozumienia nuklearnego z Iranem czy wymiany handlowej.

Faktycznie mamy kryzys w relacjach sojuszniczych, bo partnerzy bardzo poróżnili się po szczycie G7. Ten kryzys może nawet przełożyć się na relacje podczas zbliżającego się szczytu NATO.

Czy Donald Trump nie spodziewał się, że kraje europejskie i Kanada zareagują na cła nałożone przez USA?

Donald Trump chce pokazać, że jego administracja będzie prowadziła zupełnie nową politykę handlową. Traktuje wiele spraw osobiście, dlatego w ostatniej chwili wycofał amerykańskie poparcie dla deklaracji końcowej spotkania G7. Mimo że rozmawiamy o szczycie NATO, spraw wojskowych nie da się oddzielić na przykład od gospodarczych.

Czy te nieporozumienia mogą wpłynąć na decyzje, które zapadną na szczycie?

Stawka jest wysoka. NATO nie jest już tylko sojuszem wojskowym, ale wojskowo-politycznym. Przy stole G7 siedzieli ci sami przywódcy, którzy spotkają się na szczycie NATO. Nie

możemy zakładać, że relacje polsko-amerykańskie pozostaną pod kloszem, gdy szaleje burza handlowa. Nie twierdzę, że ta atmosfera szybko przełoży się na wydarzenia na terenie naszego kraju, ale sojusz nie może dobrze funkcjonować, gdy relacje między partnerami są tak bardzo napięte.

Co jest ważniejsze: rozwój narodowych zdolności wojskowych poszczególnych członków sojuszu czy budowa wspólnych kompetencji?

NATO nie ma własnego wojska, dlatego ważny jest rozwój narodowych zdolności armii oraz możliwości współdziałania sojuszników. Ma to szczególne znaczenie na wschodniej flance, gdzie grupy batalionowe NATO są wielonarodowe i stanowią swoiste laboratorium współpracy sojuszniczej. Priorytetem zaś stała się obrona własnego terytorium, a nie np. operacje w Afganistanie.

Prezydent Trump powtarza, że gwarancje bezpieczeństwa NATO nie mogą stanowić wymówki dla opóźniania rozbudowy własnego potencjału i modernizacji sił zbrojnych. Przykładem mogą być Niemcy, które wydają na obronę 1,2–1,3% PKB, a politycy nad Szprewą tłumaczą, że w nastawionym pacyfistycznie kraju trudno podjąć decyzję o podwojeniu wydatków na obronę.

Dziś niemiecki budżet wojskowy jest nieco wyższy niż dawniej. Niemcy zaś odgrywają tak ważną rolę w Europie, że muszą także wziąć na siebie odpowiedzialność za wspólne bezpieczeństwo. Jednak ani klasa polityczna, ani społeczeństwo nie widzą takiej potrzeby, bo nie zauważają zagrożeń.

Niemcy nie obawiają się np. niebezpieczeństwa ze wschodu. NATO je natomiast dostrzega i stosuje rozwiązanie dwutorowe – odstraszanie i obronę połączone z politycznym dialogiem. Jak sojusz powinien ułożyć stosunki z Rosją?

Nadal rozmawiamy, ale nic się nie zmienia. Niewielu sojuszników oczekuje konkretnych rezultatów po rozmowach z Rosjanami, ale nie chcą ich przerywać, aby nie stracić kanałów komunikacyjnych. Drugim powodem jest chęć utrzymania jedności politycznej w sojuszu w tej sprawie. Ogromna większość wysiłków skupia się natomiast na odstraszaniu oraz wzmocnieniu odporności na ataki niekonwencjonalne. Jesteśmy świadkami toczącej się od dłuższego czasu wojny informacyjnej, łącznie z ingerencją Rosji w wybory – serce zachodnich demokracji. Doszło także do pierwszego w historii NATO ataku chemicznego na terytorium sojuszu – myślę o próbie zabójstwa Siergieja Skripala w Wielkiej Brytanii. Pomimo kontynuacji dialogu z Rosją, nie musimy obawiać się powrotu do relacji „business as usual".

Jakie zagrożenia mogą wynikać z agresywnej polityki Moskwy wobec państw UE i NATO?

W Polsce możemy się spodziewać prób rosyjskiej ingerencji w wybory samorządowe, a potem parlamentarne. W USA nie udało się przeciwdziałać temu zjawisku. Dużo sprawniej na podobny rosyjski atak zareagowali Francuzi. Widać, że Rosjanie angażują się także w psucie relacji polsko-ukraińskich, więc powinniśmy spodziewać się prowokacji na tym polu. Najgorszym scenariuszem byłoby zaostrzenie konfliktu w Azji. Gdyby Donald Trump i Kim Dzong Un zerwali porozumienie, byłoby to dobre otwarcie dla Rosji na Europę. Stany Zjednoczone musiałyby się bowiem skupić na Korei. Ani NATO, ani USA nie są przygotowane na równoczesne zaangażowanie się w tym samym czasie w dwa duże konflikty.

Na szczycie w Warszawie NATO i UE podpisały deklarację o rozwinięciu współpracy. Jak ona przebiega?

Do ważniejszych aspektów tej współpracy należy tzw. wojskowe Schengen. Jeden z projektów PESCO dotyczy mobilności. Chodzi o regulacje w sprawie szybkiego transportu wojsk przez terytorium europejskie oraz rozwijanie odpowiedniej infrastruktury. Wyzwaniem są także zagrożenia hybrydowe oraz ataki informatyczne. Na tym polu również dojdzie do współdziałania, choć NATO i UE to instytucje o zupełnie innej kulturze pracy, więc nie jest to łatwe.

W odpowiedzi na nowe zagrożenia powstają nowe dowództwa sojuszu: USA będą odpowiedzialne za ochronę morskich linii komunikacyjnych na północnym Atlantyku, a Niemcy zajmą się logistyką na terenie Europy. Czy jedno z dowództw lądowych niższego szczebla może znaleźć się w Polsce?

Uważam, że mamy szansę na dowództwo, które koordynowałoby natowską obecność w krajach bałtyckich. Polska jest postrzegana jako kluczowy kraj wschodniej flanki, który poważnie traktuje obronę. Była nawet dyskusja nad umieszczeniem u nas dowództwa logistycznego, ale przeważyła opinia, że terytorium Niemiec od lat jest w tej dziedzinie strategicznym zapleczem dla NATO. Decyzje na temat dowództw niższego szczebla zapadną już po szczycie NATO w Brukseli. Świetnym miejscem do koordynacji całej północno-wschodniej flanki byłby Szczecin. Nic jednak nie jest jeszcze przesądzone. ■

W połowie maja na wyremontowanej płycie lotniska w Nowym Mieście nad Pilicą pierwsze po wielu latach szkolenie rozpoczęli podchorążowie z WSOSP.

PIOTR RASZEWSKI

DRUGIE ŻYCIE LOTNISKA

Wojsko wróciło tu po 18 latach nieobecności. Najpierw pojawili się podchorążowie z Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych, ale niebawem szkolenia rozpoczną również terytorialsi.

PIOTR RASZEWSKI

Na blisko 500-hektarowym terenie życie zamarło na przełomie minionego i obecnego wieku. Wtedy został rozformowany 47 Szkolny Pułk Śmigłowców, który stacjonował w Nowym Mieście od 1977 roku. Historia jednostki jest jednak znacznie dłuższa, bo wcześniej lotnisko, wraz z przyległą infrastrukturą, użytkował 61 Lotniczy Pułk Szkolno-Bojowy, a sam obiekt został zbudowany w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych ubiegłego stulecia. To tu przez lata szkolili się podchorążowie i kadeci Wyższej Oficerskiej Szkoły Lotniczej, przemianowanej w 1994 roku na Wyższą Szkołę Oficerską Sił Powietrznych w Dęblinie. „47 Szkolny Pułk Śmigłowców to była najlepsza szkoła śmigłowcowa w Europie. Wyszli z niej piloci, którzy dziś latają głównie w 1 Bazie Lotnictwa Transportowego. Część pracuje obecnie także w naszej uczelni jako instruktorzy", mówi gen. bryg. pil. dr Piotr Krawczyk, rektor-komendant Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych w Dęblinie. „Historia tego miejsca jest nieodłącznie związana z naszą uczelnią, więc bardzo się cieszę, że możemy tu wrócić", dodaje gen. Krawczyk.

Gen. bryg. pil. Piotr Krawczyk: „Powrót do Nowego Miasta to nie tylko kwestia sentymentu, lecz także pragmatycznej potrzeby pozyskania lądowiska do szkolenia".

SENTYMENTY I PRAGMATYKA

Decyzja o reaktywacji jednostki zapadła w końcu 2016 roku. Plany od początku zakładały, że część lotniskowa obiektu trafi ponownie w ręce lotników z Dęblina. Szkoła postanowiła, że do Nowego Miasta nad Pilicą przeniesie znaczną część zajęć prowadzonych przez Akademickie Centrum Szkolenia Lotniczego. Jednostka ta szkoli studentów, którzy chcą zostać żołnierzami zawodowymi w specjalnościach pilot samolotu odrzutowego, transportowego lub śmigłowca.

„Centrum osiąga nalot na poziomie 14,5 tys. godzin rocznie. Nie bylibyśmy w stanie wykonać go w jednym miejscu, na lotnisku w Dęblinie. Zwłaszcza że nie jest ono macierzystą bazą szkoły i korzystamy z niego tylko gościnnie. Dlatego powrót do Nowego Miasta to nie tylko kwestia sentymentu, lecz także pragmatycznej potrzeby pozyskania lądowiska do szkolenia", wyjaśnia gen. Piotr Krawczyk. „Nasz ośrodek ciągle się rozwija. Przybywa sprzętu, studentów. Rośnie zapotrzebowanie ze strony lotnictwa państwowego, ale i cywilnego, co wymusza na nas konieczność zwiększenia swoich możliwości. Dzięki temu, że jesteśmy tu sami, będziemy mogli prowadzić szkolenie lotnicze w dużo szerszym zakresie niż tam, gdzie musimy latać wspólnie z wojskiem", zaznacza z kolei Stanisław Lizak, szef instruktorów szkolenia praktycznego Akademickiego Centrum Szkolenia Lotniczego w WSOSP w Dęblinie.

SWOBODA LATANIA

Kilka miesięcy po decyzji ministra na lotnisku rozpoczął się remont pasa startowego, a w marcu 2018 roku dęblińska uczelnia przystąpiła do przenoszenia infrastruktury niezbędnej do uruchomienia pierwszych szkoleń. Stanęły tam kontenery, w których urządzono stanowisko dowodzenia, wieżę kontroli lotów i zaplecze socjalne. „Część z nich została przeniesiona z lotniska w Sochaczewie, z którego dotychczas również korzystaliśmy. Zbudowaliśmy własną wieżę kontroli lotów, bo stara infrastruktura pod tym względem nie nadaje się do wykorzystania. Można więc powiedzieć, że mamy tu warunki polowe, ale na razie w zupełności nam to wystarczy", przyznaje Stanisław Lizak.

Rektor-komendant dęblińskiej Szkoły Orląt zaznacza jednak, że z czasem powinno się to poprawić. „Obecna infrastruktura nie jest

PIOTR RASZEWSKI (2)

DIAMOND DA 20

Te samoloty jako pierwsze pojawiły się na wyremontowanej płycie lotniska.

NA RAZIE AKADEMICKIE CENTRUM SZKOLENIA LOTNICZEGO KORZYSTA Z MIASTECZKA KONTENEROWEGO. W PLANACH JEST ODBUDOWA INFRASTRUKTURY LOTNISKOWEJ, M.IN. WIEŻY KONTROLI LOTÓW I HANGARU

przystosowana do przebywania tu na stałe. Mamy miasteczko kontenerowe, ale mieszkamy w Grójcu. To miejsce ma się jednak rozwijać, więc liczę na to, że warunki bytowania również się poprawią. Początkowo powstał też plan, by wyremontować hangar i wieżę, ale stan techniczny tych obiektów na to nie pozwala", mówi gen. bryg. pil. Piotr Krawczyk.

PODCHORĄŻOWIE SIĘ SZKOLĄ

Na razie lotnisko w Nowym Mieście uzyskało status lądowiska. To w zupełności wystarcza, by Akademickie Centrum Szkolenia Lotniczego mogło prowadzić szkolenia w pełnym wymiarze. Co ważne, usytuowane jest w takim miejscu, że nie ma tu ograniczeń wysokościowych, jakie są chociażby w Sochaczewie. „Tam przestrzeń kontrolowana rozciągała się już od wysokości 2 tys. stóp nad lotniskiem, co zawężało nasze możliwości tylko do wykonywania kręgów. Aby odbyć lot do strefy, musieliśmy oddalić się od lotniska o kilka kilometrów, czyli tam, gdzie można było wznieść się wyżej. To z kolei wiązało się z różnymi zagrożeniami, m.in. awaryjnego lądowania w terenie przygodnym", wskazuje Stanisław Lizak i dodaje: „Tutaj mamy przestrzeń ograniczoną do 4,5 tys. stóp, dzięki czemu z każdego punktu można dolecieć do lotniska, nawet gdyby silnik odmówił posłuszeństwa".

Jako pierwsi szkolenie w Nowym Mieście przeszli podchorążowie, którzy wybrali specjalność bezzałogowe statki powietrzne. Przygotowywali się tu do zdobycia licencji turystycznej PPL(A). Do dyspozycji mieli cztery szkolne samoloty dwuosobowe Diamond DA 20, a kilkutygodniowe zajęcia podzielono na trzy etapy. „Podczas pierwszego żołnierze uczyli się wykonywania lotów po kręgu do strefy. W kolejnym odbywali loty z wykorzystaniem wyłącznie przyrządów, a w ostatnim – loty po trasach nawigacyjnych. Całość zakończyła się egzaminem państwowym, który umożliwiał zdobycie licencji", wyjaśnia pilot instruktor Marta Kuzyka.

Dzięki pełnej dostępności lotniska instruktorzy mogli ułożyć plan zajęć tak, by jak najlepiej wykorzystać tamtejszą infrastrukturę. „Chociaż przecieraliśmy ten szlak, wszystko było przygotowane bardzo dobrze. Nikt nam tutaj nie przeszkadzał, mogliśmy skupić się tylko na pracy. W Dęblinie mamy aeroklub cywilny, cywilne statki powietrzne i oczywiście wojskowe. Często te loty ze sobą kolidowały. Bywało, że mogliśmy latać np. tylko w weekendy. Tutaj natomiast robiliśmy to przez wiele godzin i wtedy, kiedy sami sobie to zaplanowaliśmy", dzieli się wrażeniami Filip Miszczuk, student II roku dęblińskiej uczelni.

Tuż po wyjeździe pierwszej grupy studentów w Nowym Mieście rozpoczęło się szkolenie selekcyjne dla →

PIOTR RASZEWSKI

Piknik wojskowy w Nowym Mieście nad Pilicą. Stoją od lewej: gen. bryg. pil. dr Piotr Krawczyk – rektor-komendant WSOSP w Dęblinie, gen. bryg. Wiesław Kukuła – dowódca WOT-u, Mariusz Błaszczak – minister obrony narodowej i Stanisław Karczewski – marszałek Senatu RP.

W NOWYM MIEŚCIE NAD PILICĄ, OPRÓCZ ZAMIEJSCOWEGO OŚRODKA SZKOLENIA WSOSP, POWSTANIE OŚRODEK SZKOLENIA WOT, A TEREN JEDNOSTKI BĘDZIE SIEDZIBĄ 61 BATALIONU LEKKIEJ PIECHOTY 6 MBOT

kandydatów do Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych, a w planach ACSL-u są kolejne przedsięwzięcia szkoleniowe aż do późnej jesieni. „Chcemy tu przenieść połowę szkolenia w ramach Akademickiego Centrum Szkolenia Lotniczego. Zamierzamy przeprowadzić zajęcia w wymiarze ponad 7,6 tys. godzin. Zakładamy, że w Nowym Mieście przeszkolimy ponad 200 studentów i 160 kandydatów do naszej uczelni”, wylicza rektor. „Chcemy tu organizować głównie szkolenia podstawowe, podczas których wykonuje się wiele startów i lądowań, m.in. selekcyjne dla kandydatów do WSOSP. Nie wykluczone jednak, że przeprowadzimy również szkolenia wyższego rzędu, na samolotach wielosilnikowych do licencji zawodowych”, precyzuje Stanisław Lizak.

MIEJSCE DLA TERYTORIALSÓW

Z infrastruktury w Nowym Mieście wkrótce będą korzystali również żołnierze wojsk obrony terytorialnej. Jednostka stanie się siedzibą 61 Batalionu Lekkiej Piechoty. Powstanie tu również Ośrodek Szkolenia WOT, który będzie częścią Centrum Szkolenia WOT. „Będziemy tu ćwiczyć głównie współdziałanie terytorialsów z jednostkami powietrznodesantowymi i wojskami specjalnymi. Kursy pozwolą naszym żołnierzom zdobyć niezbędne kwalifikacje do przygotowywania i oznaczania lądowisk oraz zrzutowisk. Będziemy też trenować naprowadzanie desantów i zrzutu zaopatrzenia”, wyjaśnia gen. bryg. Wiesław Kukuła, dowódca WOT-u, i dodaje: „Zamierzamy uczyć naszych żołnierzy integracji działań ze środkami lotniczymi już od najniższego poziomu – drużyny, plutonu i kompanii. To miejsce będzie również kuźnią kadr dla operatorów dronów uderzeniowych krótkiego zasięgu, czyli warmate, i rozpoznawczych, które wkrótce dostaniemy”, wylicza generał.

Docelowo na 500-hektarowym terenie powstanie infrastruktura, która umożliwi przygotowanie żołnierzy do walki w terenie zurbanizowanym. W planach jest również budowa krytej strzelnicy, torów przeszkód, hali sportowej i budynków koszarowych. „Inwestycja zostanie zrealizowana w trzech etapach. W tej jednostce będzie służyć około 300 żołnierzy zawodowych i pracowników resortu obrony narodowej. Zakładamy, że w ciągu roku będziemy w stanie przeszkolić tu ponad 6 tys. żołnierzy”, wylicza dowódca WOT-u. „Myślę, że będzie to jeden z najnowocześniejszych ośrodków w Europie”. ■

MAGDALENA MIERNICKA

Dwudziestu za jednego

To jedne z największych ćwiczeń organizowanych w Polsce i państwach bałtyckich przez US Army Europe. Podczas tegorocznej, już ósmej, edycji „Saber Strike" na Litwie, Łotwie, w Estonii, a także w Polsce współdziałało 18 tys. żołnierzy z 20 państw. 12 tys. wojskowych, w tym 5 tys. przedstawicieli Sił Zbrojnych RP, szkoliło się w Polsce. Główny nacisk podczas rozpoczętych 3 czerwca ćwiczeń położono na budowanie interoperacyjności sojuszniczych armii, a także na ich mobilność. Dlatego na terenach, gdzie odbywały się manewry, można było zaobserwować zwiększony ruch na drogach.

WALDEMAR MŁYNARCZYK/COMBAT CAMERA DORSZ

Przeprawy wodne, desant, przerzut wojsk czy obrona terytorium – to tylko część zadań, którym musieli sprostać żołnierze podczas ćwiczeń „Saber Strike '18".

WOJSKO NA DRODZE

Jako jedni z pierwszych na poligon wyruszyli wojskowi z 2 Pułku Kawalerii US Army, którzy na co dzień stacjonują w niemieckim Vilseck. Przez kilkanaście dni ponad 900 pojazdów US Army jechało przez Czechy i Polskę, aby dotrzeć na Litwę, gdzie rozgrywała się główna część manewrów. „W ten sposób chcieliśmy sprawdzić, jak szybko jesteśmy w stanie przerzucić wojsko na dużą odległość. Podczas całej operacji wspierali nas sojusznicy. Kiedy jechaliśmy na przykład przez Polskę, każdą naszą kolumnę eskortowała Żandarmeria Wojskowa", mówi kpt. Jeku Arce, oficer prasowy pułku. „Budowaliśmy też inne zdolności, na przykład te związane z logistyką. Jesteśmy piechotą, więc musimy wiedzieć, jak sobie radzić w każdej sytuacji".

Podobny scenariusz przerabiali żołnierze z 12 Dywizji Zmechanizowanej. Ich najważniejszym zadaniem był przerzut wojsk w rejon Doliny Rospudy. Cała operacja miała się odbyć w czasie kryzysu. „Dla żołnierzy to najtrudniejsze pod względem procedur zadanie, bo przepisy, zarówno w czasie pokoju, jak i wojny, jasno określają na przykład zasady poruszania się po drogach, formowania kolumn, użycia broni czy przewozu materiałów niebezpiecznych, takich jak amunicja czy paliwo. W wypadku działań kryzysowych te wytyczne nie są aż tak precyzyjne", mówi ppłk Piotr Puchała, dowódca 1 Batalionu Piechoty Zmotoryzowanej Legionów 12 Brygady Zmechanizowanej.

Operacja przeprowadzana w ramach ćwiczeń „Kuguar '18" rozpoczęła się 6 czerwca. Wówczas pododdziały 12 Brygady Zmechanizowanej wyjechały z jednostki w Szczecinie i udały się na poligon w Drawsku Pomorskim. Tam do żołnierzy dołączyły bateria przeciwlotnicza Osa 8 Pułku Przeciwlotniczego z Koszalina oraz kilka pododdziałów z 12 Brygady ze Stargardu Szczecińskiego. Trzy dni później wojskowe konwoje ruszyły w kierunku Bemowa Piskiego. W sumie na polskie drogi wyjechało 300 wojskowych pojazdów, m.in. kołowych transporterów opancerzonych Rosomak oraz samobieżnych moździerzy Rak. Wszystkie poruszały się →

GŁÓWNYM ĆWICZĄCYM PODCZAS MANEWRÓW „SABER STRIKE ’18” BYŁA 12 SZCZECIŃSKA DYWIZJA ZMECHANIZOWANA

w kolumnach – każda liczyła 20 pojazdów. Trasa, którą musiało pokonać wojsko, cały czas była monitorowana przez wojskowe komendy transportu, a w newralgicznych miejscach, takich jak duże ronda czy skrzyżowania, przejazd zabezpieczały pododdziały wojskowej regulacji ruchu.

POKONAĆ WISŁĘ

W czasie przemierzania liczącej ponad 600 km trasy wojsko zatrzymało się m.in. w Morągu, gdzie żołnierze spotkali się z mieszkańcami miasta i odwiedzili uczniów jednej ze szkół, a także w Chełmnie, gdzie musieli pokonać przeszkodę wodną, czyli Wisłę. Aby kilkudziesięciotonowe pojazdy mogły dostać się na drugi brzeg rzeki, konieczne było zorganizowanie przeprawy. O to zadbali żołnierze z 2 i 5 Pułku Inżynieryjnego, a także z 2 Pułku Saperów, którzy zbudowali trzy promy. Jednak aby można było przeprawić wojsko, najpierw do akcji wkroczyli żołnierze z 25 Brygady Kawalerii Powietrznej. Kilka dni przed operacją dwa plutony

MICHAŁ NIWICZ (2)

W Dolinie Rospudy pojawiły się m.in. amerykańskie strykery i brytyjskie jackale.

PODCZAS TEGOROCZNEJ EDYCJI MANEWRÓW NA LITWIE, ŁOTWIE, W ESTONII, A TAKŻE W POLSCE WSPÓŁDZIAŁAŁO 18 TYS. ŻOŁNIERZY Z 20 PAŃSTW: CHORWACJI, CZECH, DANII, ESTONII, FINLANDII, FRANCJI, HISZPANII, HOLANDII, IZRAELA, KANADY, LITWY, ŁOTWY, MACEDONII, NIEMIEC, NORWEGII, POLSKI, RUMUNII, STANÓW ZJEDNOCZONYCH, WIELKIEJ BRYTANII I WŁOCH.

kawalerzystów desantowały się ze śmigłowców Mi-8, Mi-17 i Black Hawk należących do US Army. Ich zadaniem było sprawdzenie terenów oraz zabezpieczenie przyczółków po obu stronach rzeki.

Po drodze nie obyło się też bez przykrych niespodzianek. Kiedy wojskowe kolumny dojeżdżały już do celu, przejazd jednej z nich został zatrzymany przez wypadek samochodowy. Do zdarzenia doszło w okolicach miejscowości Ruciane-Nida. „Jeden z samochodów zatrzymał się, aby przepuścić kolumnę, ale pojazd jadący za nim nie wyhamował i uderzył w stojące auto", opowiada ppłk Puchała. „Kolumna natychmiast się zatrzymała. Całe szczęście, że w jej szeregu znajdował się wóz ewakuacji medycznej i to właśnie jadący nim ratownicy jako pierwsi udzielili pomocy poszkodowanym. Wśród poważnie rannych było dziecko, które zostało przetransportowane do szpitala śmigłowcem", dodaje.

Wypadek spowodował duże utrudnienia, ale żołnierzom udało się dotrzeć do celu na czas. 12 czerwca zameldowali się w garnizonie, a już następnego dnia dostali kolejne zadanie – zluzować amerykański pododdział Batalionowej Grupy Bojowej NATO. W rejon Doliny Rospudy została skierowana kompania zmotoryzowana wyposażona w 14 rosomaków. Po przejechaniu ponad 60 km żołnierze 12 Brygady przejęli rejon odpowiedzialności, w którym stacjonowało 120 wojskowych i ich 19 strykerów. „Podczas manewrów koncentrujemy się na budowaniu interoperacyjności między działaniami polskiego wojska i Batalionowej Grupy Bojowej NATO. Widzimy, że z każdym dniem to współdziałanie układa się coraz lepiej. Przerzut

wojsk i przekazanie dowodzenia również odbyły się bardzo sprawnie", podkreśla kpr. Nicholas Vandrburgh z US Army.

Na poligon w Bemowie Piskim wyjechały moździerze Rak, a wojska współdziałały z lotnictwem. Po wykonaniu zadań żołnierze ruszyli w drogę powrotną. Tym razem większość konwoju wróciła do macierzystej jednostki koleją.

PUMA W ORZYSZU

Operacja luzowania amerykańskich pododdziałów nie była jedynym elementem „Saber Strike '18" w rejonie Orzysza i Doliny Rospudy. W ramach manewrów odbyły się tam bowiem ćwiczenia „Puma '18". Ich celem było zintegrowanie działania Wojska Polskiego oraz armii: amerykańskiej, brytyjskiej, rumuńskiej i chorwackiej, które stacjonują w Bemowie Piskim, jako Batalionowej Grupy Bojowej NATO.

Pierwszy tydzień wspólnego szkolenia zdominowały zajęcia zintegrowane. Wszyscy ćwiczyli te same elementy, takie jak pokonywanie przeszkody wodnej, postępowanie w wypadku skażenia chemicznego czy neutralizacji improwizowanych ładunków wybuchowych. Jak mówi gen. bryg. Jarosław Gromadziński, dowódca 15 Brygady Zmechanizowanej, celem było zapoznanie wszystkich sojuszników z procedurami, a także integracja pododdziałów. „Żołnierze Batalionowej Grupy Bojowej NATO nie mają na przykład zdolności, aby zorganizować przeprawę przez przeszkodę wodną, my natomiast dysponujemy amfibiami PTS i mostami BLG, więc wspieraliśmy ich w tym zadaniu", wyjaśnia. „Przetransportowaliśmy 30 żołnierzy, dwa pojazdy ciężarowe oraz samobieżną wyrzutnię rakiet M92 Volcano. Nasz wulkan po raz pierwszy pokonywał taką przeszkodę, w dodatku na amfibii. Wszystko poszło sprawnie, choć to zadanie nie wymagało od nas tak dużego zaangażowania, jak od załogi pojazdu", dodaje por. Zoran Golubovic, dowódca chorwackiego plutonu.

Po pięciu dniach intensywnego treningu wojska przystąpiły do działań taktycznych. Ten etap ćwiczeń rozpoczął alarm. Zadaniem żołnierzy było jak najszybsze opuszczenie koszar i przemieszczenie się w rejon odpowiedzialności. „To nie było łatwe – podczas planowania tego zadania musieliśmy uwzględnić wiele czynników, także to, że będą je wykonywać żołnierze wielu nacji, musieliśmy więc mieć pewność, że każdy wie, co i jak ma zrobić", mówi ppłk Adam Lackey z US Army, dowódca BGB.

Żołnierze musieli sobie poradzić z wieloma nieplanowanymi incydentami.

W Dolinie Rospudy pojawiły się amerykańskie strykery, brytyjskie jackale, samobieżne wyrzutnie rakiet M92 Volcano z Chorwacji czy działa przeciwlotnicze Oerlikon armii rumuńskiej. Ich działania wspierali żołnierze 15 Dywizji Zmechanizowanej. Zadaniem wojsk było zabezpieczenie marszu strategicznego sił, które udają się na Litwę, Łotwę i Estonię. To jednak nie wszystko. Żołnierze musieli stawić czoła nieplanowanym incydentom – udzielić wsparcia rannym w wypadku samochodowym, uspokoić wrogą manifestację, ne-

Najtrudniejsze było spięcie wszystkich systemów rażenia, tak aby nie dopuścić do tzw. friendly fire, czyli ostrzelania własnych sił.

MICHAŁ NIWICZ (3)

Wszystkie działania koncentrowały się na budowaniu interoperacyjności między żołnierzami sojuszniczych armii.

GEN. DYW. P. TIMOTHY MCGUIRE: JESTEŚMY ZGRANYM ZESPOŁEM I W RAZIE ZAGROŻENIA MOŻEMY RAZEM STAWIĆ MU CZOŁA

gocjować z lokalnymi władzami, poradzić sobie z pojawiającymi się w mediach fake newsami, a nawet… odebrać poród. Czy sprostali tym zadaniom? „Operacja zakończyła się sukcesem, każdy żołnierz ma w tym swój udział. Upewniłem się, że jesteśmy gotowi, aby walczyć ramię w ramię”, ocenił ppłk Lackey.

SIŁA OGNIA

Podczas ćwiczeń duży nacisk położono także na budowanie systemu ognia połączonego oraz zarządzanie przestrzenią powietrzną. „To bardzo skomplikowany proces, gdyż wymaga zintegrowania rozpoznania i wszystkich środków rażenia w systemie dowodzenia. A tych podczas »Pumy« mamy wiele – są tu moździerze kalibru 60 i 120 mm, haubice Goździk i amerykańskie M777, wyrzutnie typu Wulkan z Chorwacji, wspierają nas także Rumuni i ich działa przeciwlotnicze Oerlikon, batalion himarsów US Army oraz polskie i amerykańskie lotnictwo. Mamy też raki, które bardzo dobrze wpisują się w system ognia połączonego, ponieważ są cyfrowe. System Topaz świetnie się sprawdził, bo bardzo ułatwia kierowanie ogniem”, wyjaśnia gen. Gromadziński. Dodaje także, że najtrudniejsze było spięcie wszystkich systemów rażenia, tak aby nie dopuścić do tzw. friendly fire, czyli ostrzelania własnych sił, a także, aby żaden statek powietrzny nie wszedł w trajektorię lotu pocisku. „Przy tak dużej różnorodności broni przez dwa tygodnie przećwiczyliśmy wszystkie procedury i dziś ogień połączony już nie przysparza nam problemów. Czujemy się pewnie w tym środowisku i to jest sukces tego szkolenia”, podkreśla dowódca.

Wojska udowodniły to podczas ostatniego epizodu ćwiczeń, który 15 czerwca odbył się w Ośrodku Szkolenia Poligonowego Wojsk Lądowych w Bemowie Piskim. Wówczas zaangażowano prawie 3 tys. żołnierzy oraz tysiąc jednostek sprzętu. Szkolenie obserwował m.in. gen. broni Jarosław Mika, dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych. „Wszystkie działania wymagały ogromnego zaangażowania wojsk, a kluczem do sukcesu była współpraca”, powiedział. Podobną opinię wyraził gen. dyw. P. Timothy McGuire, zastępca dowódcy US Army Europe. „Wszystkie działania koncentrowały się na budowaniu interoperacyjności między żołnierzami sojuszniczych armii. Udowodniliśmy, że jesteśmy zgranym zespołem i w razie zagrożenia będziemy mogli razem stawić mu czoła”, podkreślił. ■

MORSKA LEKCJA

Polski okręt stał się bazą najpierw dla rumuńskiej, potem amerykańskiej piechoty morskiej, które pewnego czerwcowego poranka wspólnie desantowały się na poligonową plażę w pobliżu Ustki.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

Wczesnym rankiem do plaży w pobliżu Ustki podszedł ORP „Kraków". Opuszczono rampę okrętu, a na pokładzie odezwały się silniki transporterów pływających PTS-M. Po chwili pierwszy z nich zjechał do morza. Tak rozpoczął się jeden z kluczowych momentów ćwiczeń „Baltops '18" – pod wieloma względami największych w historii.

KOMANDOSI Z BABADAG

Czterdzieści trzy okręty, około 60 samolotów i śmigłowców, blisko 5 tys. żołnierzy z 20 krajów NATO, Szwecji oraz Finlandii. A wśród nich polscy marynarze. Dla części z nich udział w ćwiczeniach faktycznie rozpoczął się, zanim jeszcze zostały one oficjalnie zainaugurowane. ORP „Kraków", po opuszczeniu macierzystego portu w Świnoujściu, nie skierował się wcale do Kłajpedy, gdzie 1 czerwca miała ruszyć faza portowa manewrów. Jego pierwszym celem stała się Gdynia. Tam na okręt czekali już żołnierze rumuńskiej piechoty morskiej. Wcześniej zostali oni wraz ze sprzętem przerzuceni samolotem z bazy w Babadag na wojskowe lotnisko w gdyńskiej dzielnicy Babie Doły, a stamtąd pojechali do miejscowego portu wojennego. ORP „Kraków" zabrał ich na pokład i odstawił na Litwę.

Dla polskich okrętów transportowo-minowych przerzut sojuszniczych wojsk to nie nowość. Wystarczy wspomnieć żołnierzy z 610 Batalionu Łączności w niemieckim Prenzlau, którzy na ćwiczenia „Saber Strike" w Estonii dostali się na pokładzie ORP „Lublin". W tym roku jednak operacja wpisała się w szeroko zakrojony test. Dotyczył on nie tylko „Baltopsu", ale przede wszystkim zorganizowanej w tym samym czasie kolejnej edycji wspomnianych już ćwiczeń „Saber Strike". Dowódcy NATO chcieli sprawdzić, jak szybko i skutecznie są w stanie przerzucić wojsko na wschodnią flankę sojuszu. „W Kłajpedzie Rumuni zeszli z naszego pokładu i zaokrętowali się na amerykańskiej jednostce desantowej USS „Oak Hill". Z kolei z niego na

nasz pokład przeszło 41 amerykańskich marines", tłumaczy kpt. mar. Paweł Żal, dowódca ORP „Kraków".

Bezpośrednio na Litwę z portów w Świnoujściu i Gdyni wyruszyły cztery polskie trałowce: OORP „Dąbie", „Wicko", „Wdzydze" i „Gopło". Już na miejscu okręty, w zależności od przeznaczenia, zostały włączone do międzynarodowych zespołów. „Będziemy współpracować bezpośrednio z jednostkami przeciwminowymi z Niemiec i krajów bałtyckich", zapowiadał kpt. mar. Marcin Mortka, dowódca ORP „Wdzydze". Trałowce i niszczyciele min dostały do przeszukania akweny w południowej części Bałtyku. Ich załogi musiały odnaleźć i wybrać różne rodzaje min ćwiczebnych, by utorować drogę dużym okrętom bojowym. One z kolei miały walczyć z nieprzyjacielem atakującym z powietrza, powierzchni morza i spod wody oraz wykonać kilka operacji desantowych.

PLAŻA DLA ABRAMSÓW

Okolice Ustki, czerwcowy poranek. Z ORP „Kraków" zjechał właśnie do morza pierwszy transporter PTS-M. W ślad za nim jeden po drugim podążyły kolejne trzy. Na co dzień korzystają z nich polscy saperzy z Dziwnowa i Rozewia. Tym razem jednak w pojazdach siedzieli żołnierze ze Stanów Zjednoczonych. Do brzegu nie mieli daleko. Polskie okręty transportowo-minowe typu Lublin potrafią podejść do plaży bardzo blisko i stanąć nawet tam, gdzie głębokość sięga metra, półtora. Wszystko za sprawą płaskiego dna i zbiorników balastowych, umiejscowionych na dziobie. Kiedy po załadunku albo wyładunku sprzętu okręt chce ruszyć, załoga opróżnia zbiorniki, jednostka lekko się unosi i ześlizguje na głębszą wodę. Dodatkowo jest tam ściągana przez kotwicę na długiej linie, którą można rzucić w znacznej odległości od brzegu.

Tymczasem Amerykanie dotarli do brzegu i ruszyli w głąb poligonu. Kilka godzin później, już w obecności kamer telewizyjnych, rozpoczął się desant z pokładu USS „Oak Hill". Ze względu na rozmiary i konstrukcję jednostki przebiegał on zupełnie inaczej. Okręt zacumował kilka kilometrów od brzegu, a z pokładu zjechały opancerzone transportery pływające AVV. Obok amerykańskich marines siedzieli w nich starzy znajomi z ORP „Kraków" – żołnierze rumuńskiej piechoty morskiej. „Kilka miesięcy temu mieliśmy okazję wykonywać wspólnie podobne zadanie. To doskonale wyszkoleni żołnierze", mówił później plut. Dariel Dellinger z 2 Batalionu 6 Pułku Piechoty Morskiej 26 Jednostki Ekspedycyjnej US Marines.

Dla Rumunów operacja pod Ustką miała jednak posmak nowości. Jak przyznawali, była to jedna z pierwszych okazji, by przećwiczyć desant poza Morzem Czarnym. Inną nowinką stała się obecność czterech czołgów M1 Abrams, →

PARTNERSTWA

JUSTIN STUMBERG/US NAVY

BALTOPS ORGANIZOWANY JEST OD 1972 ROKU.

Polska marynarka wojenna uczestniczyła w tych ćwiczeniach już po raz 26. W poprzednich kilku latach faza portowa była organizowana w Gdyni, a potem Szczecinie. Do niedawna w manewrach brała też udział Rosja. Zmieniło się to po tym, jak zaanektowała Krym, a potem sprokurowała konflikt zbrojny na wschodniej Ukrainie. Ćwiczenia tradycyjnie mają finał w niemieckiej Kilonii.

które zostały przerzucone na brzeg z USS „Oak Hill". Dodajmy: po raz pierwszy w historii „Baltopsu". Ta część operacji rozpoczęła się wczesnym popołudniem, już bez udziału obserwatorów. Początkowo w eter poszła informacja, że do desantu czołgów Amerykanie użyli poduszkowców LCAC. Potem jednak okazało się, że pojazdy dotarły na plażę barką desantową LCU.

Tegoroczny desant nie został może zorganizowany z takim rozmachem, jak te z poprzednich lat. Nie było na przykład przeciwnika, który z brzegu ostrzeliwałby okręty i piechotę morską. Ale, jak zapewniali sami żołnierze, nie miało to aż tak dużego znaczenia. „Nasze zadania w niczym nie różnią się od natarcia w warunkach bojowych", podkreślał plut. Dellinger. No i najważniejsze: desant częściowo otwarty dla gości stanowił zaledwie przygrywkę do późniejszych działań.

PILOT W POTRZASKU

Przeciwnik pojawił się bowiem już w kolejnych godzinach. W jego rolę wcielili się żołnierze 2 Brygady Zmechanizowanej ze Złocieńca. „Na poligon w Ustce, oprócz uzbrojenia etatowego, przywieźliśmy bojowe wozy piechoty oraz dodatkowo dwa transportery pływające PTS", informuje por. Karol Jakubowski i dodaje: „Dla nas odpieranie desantu morskiego to nowe doświadczenie".

Zanim jednak żołnierze ze Złocieńca okopali się na plaży, ćwiczyli w głębi poligonu. Wzięli m.in. udział w symulowanej operacji JPR (Joint Personnel Recovery). Według wojskowej terminologii wiążę się ona z „odzyskiwaniem personelu, który został odizolowany w nieprzyjaznym środowisku". Tu scenariusz zakładał, że nad morzem katapultował się rumuński pilot. Szczęśliwie przeżył i dotarł do brzegu, tyle że na terytorium kontrolowanym przez nieprzyjaciela. W tym wypadku – żołnierzy ze Złocieńca. Jego koledzy musieli zorganizować ewakuację.

Przez kolejne dni żołnierze znaleźli też czas na chwilę oddechu. „Rozegraliśmy mecz piłki nożnej z Amerykanami i zorganizowaliśmy turniej na strzelnicy. W pierwszym wypadku zwyciężyliśmy, w drugim przegraliśmy, ale różnice były minimalne", przekonuje por. Jakubowski. Wreszcie 12 czerwca ćwiczebny desant został przeprowadzony raz jeszcze. Od strony morza wylądowali Amerykanie na PTS-M, które wcześniej ponownie zostały zabrane na pokład ORP „Kraków". Dodatkowo na broniących plaży wojskowych ze Złocieńca uderzyły z boku amerykańskie abramsy. Łącznie podczas tegorocznej edycji „Baltopsu" odbyły się trzy ćwiczebne desanty. Pierwszy został przeprowadzony jeszcze na Litwie, już kilka dni po rozpoczę-

PETRAS MALUKAS/EAST NEWS

ŁĄCZNIE PODCZAS TEGOROCZNEJ EDYCJI **BALTOPSU** ODBYŁY SIĘ TRZY ĆWICZEBNE DESANTY

Amerykańskie abramsy w Bałtopsie brały udział po raz pierwszy.

TOMASZ MIELCZAREK/7BOW

Rumuńscy żołnierze mieli okazję przećwiczyć desant poza Morzem Czarnym.

MICHAEL H. LEHMAN/US NAVY

Dowódca STRIKFORNATO wiceadmirał Lisa Franchetti przyznała, że po opuszczeniu przez okręty biorące udział w „Baltopsie" portu w Kłajpedzie, w rejonie pojawiły się jednostki rosyjskie. Rosjanie i siły NATO od dawna bacznie się obserwują, nie tylko na Bałtyku.

ciu ćwiczeń. Obserwowali go miejscowi politycy i natowscy dowódcy. Tymczasem na Bałtyku też wiele się działo. Według brytyjskiego kadm. Guya Robinsona z Dowództwa Morskich Sił Uderzeniowych i Wsparcia NATO (Naval Striking and Support Forces NATO – STRIKFORNATO), które organizuje ćwiczenia, tegoroczne manewry zyskały zupełnie nową dynamikę. Jak tłumaczył on podczas specjalnej konferencji, często bywa tak, że grupy Czerwona i Niebieska, czyli potencjalni przeciwnicy, ćwiczą trochę obok siebie. Tym razem dostały one jednak bardzo wyraźne rozkazy. „Skonfrontowaliśmy je ze sobą, a jednocześnie zostawiliśmy swobodę. Muszą wykorzystać swój spryt i umiejętności", podkreślał kontradmirał.

Podczas tej samej konferencji dowódca STRIKFORNATO wiceadmirał Lisa Franchetti przyznała, że po tym, jak okręty biorące udział w „Baltopsie" opuściły port w Kłajpedzie, w rejonie pojawiły się jednostki rosyjskie. Nie ma w tym jednak nic dziwnego, bo Rosjanie i siły NATO od dawna bacznie się obserwują, nie tylko na Bałtyku. A „Baltops" to przecież największe ćwiczenia morskie w tej części Europy. „Chodzi nam o zwiększenie zdolności naszych marynarek do współdziałania. Ale to także demonstracja naszego zaangażowania w regionie", mówiła cytowana przez PAP wiceadmirał. Podkreślała też znaczenie czysto ludzkich więzi, które rodzą się i wzmacniają przy takich okazjach. „Relacje, partnerstwa, przyjaźnie można później wykorzystać gdzie indziej. Współpracy podczas realnych działań na morzu nie są w stanie zastąpić żadne ćwiczenia oparte na symulacjach komputerowych", zaznaczała wiceadmirał Franchetti. ■

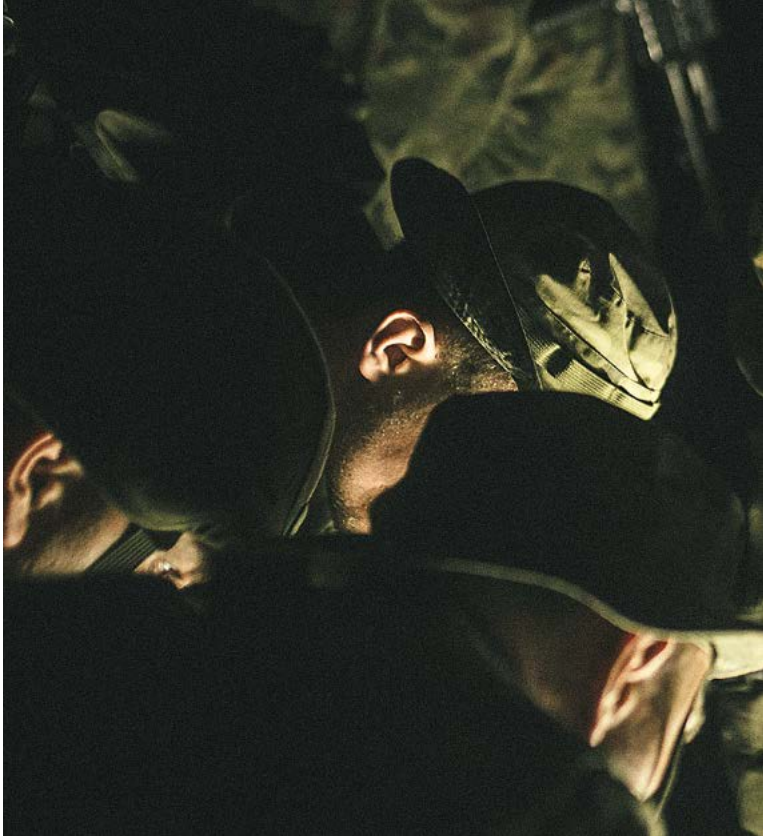

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

ZA PŁOTEM POLIGONU

Żołnierze wojsk obrony terytorialnej chętnie szkolą się poza poligonami. Wśród cywilów uczą się terenoznawstwa, łączności, nawigowania w terenie oraz taktyki.

Nurt Wisły porywa nieprzytomnego człowieka. Żołnierze muszą jak najszybciej mu pomóc. Wsiadają do łodzi ratunkowej, dopływają do poszkodowanego, wyławiają go z wody i udzielają mu pierwszej pomocy. Tak wyglądał jeden z epizodów szkolenia, które w maju pod okiem strażaków przeszli żołnierze terytorialnej służby wojskowej z 32 Batalionu Lekkiej Piechoty z Niska. Jest on w składzie 3 Podkarpackiej Brygady Obrony Terytorialnej, której dowództwo określiło, że raz na kwartał każda kompania musi przejść zajęcia z reagowania kryzysowego. Terytorialsi 3PBOT szkolą się zatem np. z ratownictwa wodnego czy przygotowywania wałów przeciwpowodziowych. Współpracują m.in. z państwową i ochotniczą strażą pożarną oraz policją, medycznymi służbami ratowniczymi, leśnikami i strażą graniczną.

Działanie kryzysowe to nie wszystko. Raz w miesiącu, podczas dwudniowych szkoleń rotacyjnych, terytorialsi odbywają ciekawe treningi. Dzieje się to nie tylko na poligonach, lecz także na terenach cywilnych, czyli w tzw. stałych rejonach odpowiedzialności (SRO). „Nie ogranicza nas płot poligonu. W zależności od zagadnienia, które poznajemy, możemy korzystać z lasu, terenu otwartego czy zabudowanego, zbiorników wodnych. Takie warunki szkolenia znacznie zwiększają realizm i budują motywację żołnierzy", podkreśla por. Oskar Namaczyński-Kapała, dowódca 5 kompanii lekkiej piechoty z 31 Batalionu.

NIE UCIEKAĆ OD LUDZI

„Jako młody oficer służyłem w batalionie piechoty górskiej w Kłodzku. Ze względu na specyfikę jednostki szkoliliśmy się w terenie zewnętrznym, niewojskowym, bo przecież na poligonowych pasach taktycznych nie ma gór. Gdy rozpocząłem służbę w 3 Podkarpackiej Brygadzie Obrony Terytorialnej, zdecydowałem, że wrócimy do zasady szkolenia na zewnątrz, poza wojskowymi terenami", mówi płk Arkadiusz Mikołajczyk, były dowódca 3 Podkarpackiej Brygady OT. „Szkolenie organizowane w ten sposób sprawia, że żołnierze doskonale poznają teren, w którym kiedyś może będą musieli walczyć", podkreśla.

Były dowódca 3 PBOT zwraca uwagę na jeszcze jeden aspekt: „Musimy w końcu pozbyć się złudzenia, że w razie konfliktu zbrojnego cywile opuszczą Polskę. Trzeba zatem umieć działać między ludźmi. Kiedy szkolimy się tylko na poligonie, mamy wrażenie, że teren jest »czysty«, można strzelać, używać artylerii, czołgów. Tymczasem nam przyjdzie walczyć między obywatelami", mówi płk Mikołajczyk. Podkreśla on, że zaletą działania na terenach cywilnych jest także to, że żołnierze, operując w danym środowisku, uczą się chronić obiekty szczególnie ważne, m.in. szkoły, stacje uzdatniania wody, zapory wodne, kościoły.

Kiedy zatem terytorialsi rozpoczynają szkolenie w terenie? Kpt. Tomasz Jajko, dowódca 1 kompanii lekkiej piechoty z rzeszowskiego 31 Batalionu, przyznaje, że wystarczy, by zaliczyli szesnastodniowe szkolenie wstępne. „Kompania, którą dowodzę, ma charakter miejski. A to oznacza, że dla nas stałym rejonem odpowiedzialności jest właśnie Rzeszów. Dlatego raz w miesiącu spotykamy się na zajęciach z topografii, terenoznawstwa. Organizujemy wielokilometrowe marsze po mieście, a gdy jest taka możliwość, to korzystając z pustostanów, trenujemy czarną taktykę", wyjaśnia.

DWOT

Na zajęcia rotacyjne przewidziano 24 godziny. Szkolenie może zatem trwać nieprzerwanie całą dobę.

Ppor. Sebastian Burghardt, oficer wychowawczy 32 Batalionu Lekkiej Piechoty, do niedawna pełniący obowiązki dowódcy 3 kompanii lekkiej piechoty z Niska, przyznaje, że jej żołnierze co miesiąc trenują w powiecie tarnobrzeskim. „Za każdym razem szkolenie rotacyjne organizowaliśmy w innym miejscu. Tak naprawdę ogranicza nas jedynie zakres tematyczny, który musi być zgodny z zatwierdzonym programem. Sposób realizacji zajęć, dobór instruktorów i miejsca – to już wyłącznie sprawa dowódcy kompanii", wyjaśnia oficer. Ppor. Burghardt zwraca uwagę także na to, że weekendowe ćwiczenia są profilowane ze względu na specyfikę pododdziałów. „Kompania tarnobrzeska działa w terenie, gdzie dominują tereny lesiste, mało zabudowane, ale także zalewowe", mówi. Żołnierze z Niska szykują się więc do działalności kryzysowej, np. na czas powodzi. Kilka tygodni temu wzięli udział w szkoleniu, które dla WOT-u poprowadziły ochotnicza i państwowa straż pożarna. „Uczyliśmy się, w jaki sposób bezpiecznie wyciągnąć tonącego z wody. Ćwiczyliśmy także rzut bojką ratowniczą w stronę poszkodowanego. To może wydawać się proste, ale w sytuacji stresu czy zagrożenia nic nie jest już takie oczywiste", mówi szer. Marcin Kalinowski z 32 Batalionu Lekkiej Piechoty.

Ppor. Grzegorz Pudlik: „Poza szkoleniem z działalności kryzysowej uczymy terytorialsów m.in., jak działać w terenie zurbanizowanym".

Żołnierz terytorialnej służby wojskowej razem ze swoją kompanią przeszedł również szkolenie z reagowania kryzysowego i działań przeciwpowodziowych. „Uczyliśmy się, jak szybko i dokładnie napełniać piaskiem worki, a potem ćwiczyliśmy techniki ich układania. Nie wszyscy wiedzieli, co zrobić, by zbudowany w ten sposób wał przeciwpowodziowy był szczelny i wytrzymał napór wody. W 2001 i 2010 roku nasz region mocno doświadczyły powodzie. Dlatego te umiejętności są dla nas szczególnie ważne", opowiada szer. Kalinowski.

ZAJĘCIA Z POMYSŁEM

Ćwiczenia z reagowania kryzysowego terytorialsi z Niska mieli także wcześniej. W marcu na przykład trenowali na zalewie w Gorzycach. „Mieliśmy tam zajęcia z ratownictwa wodnego w warunkach zimowych. Pozoranci z ochotniczej straży pożarnej wcielali się w rolę tonącego i wskakiwali do wykutego w lodzie przerębla. Żołnierze natomiast uczyli się wyciągać z wody osoby nieprzytomne i przeciwdziałać hipotermii", mówi ppor. Sebastian Burghardt.

Podobne zagadnienia ze szkolenia kryzysowego przeszli także terytorialsi z 2 kompanii lekkiej piechoty z Jarosławia. Żołnierze trenowali układanie wałów przeciwpowodziowych, ćwiczyli ratownictwo na skutym lodem Sanie oraz uczyli się, jak usuwać powalone na drogi drzewa. W maju żołnierze WOT-u z Jarosławia przeszli również szkolenie z bieszczadzkim oddziałem straży granicznej. Poznali specyfikę tej służby, podstawy prawne działania oraz zobaczyli, na czym polega patrolowanie zielonego odcinka granicy. „Druga kompania ma charakter miejski, więc poza szkoleniem z działalności kryzysowej uczymy terytorialsów m.in., jak działać w terenie zurbanizowanym. Korzystamy przy tym z obiektów pozostałych po twierdzy Przemyśl", zaznacza ppor. Grzegorz Pudlik, pełniący obowiązki dowódcy 2 kompanii.

Czy działanie w terenie cywilnym, z dala od wojskowych obiektów szkoleniowych, jest trudne do zorganizowania? Dowódcy kompanii lekkiej piechoty zgodnie zaprzeczają. „Nigdy nie spotkałem się z trudnościami. Władze miast, gmin są nam bardzo przychylne. Wiedzą przecież, że terytorialsi szkolący się na →

DWOT

ŻOŁNIERZE MUSZĄ POZNAĆ TEREN, W KTÓRYM KIEDYŚ MOŻE BĘDĄ MUSIELI WALCZYĆ

tym terenie to ich żołnierze, którzy w przyszłości będą nieść pomoc lokalnym mieszkańcom", mówi ppor. Pudlik.

Zgodnie z założeniem zajęcia rotacyjne mają przez 24 godziny. Szkolenie może zatem trwać nieprzerwanie całą dobę lub zostać podzielone na dwie części, każda po 12 godzin z przerwą na odpoczynek. W czasie weekendowych zajęć terytorialsi uczą się taktyki, strzelania oraz zagadnień z wybranych tematów, np. nawigacji, terenoznawstwa, łączności, obrony przed bronią masowego rażenia czy przeciwlotniczej. „Przynajmniej tydzień trwa zorganizowanie zajęć w stałym rejonie odpowiedzialności. Zanim jednak wyjdziemy z wojskiem w teren, musimy mieć zgody właścicieli – jeśli są to grunty prywatne, wójtów, burmistrzów lub prezydentów miast. Powiadamiamy policję, straż pożarną, jeśli ćwiczymy w twierdzy Przemyśl – to także konserwatora zabytków. Musimy mieć również zgodę na użycie środków pozoracji i amunicji ćwiczebnej", wylicza ppor. Pudlik.

Ppor. Burghardt dodaje, że miejsce szkolenia wybiera sam dowódca kompanii, prowadzi rekonesans i ocenia, które – w zależności od tematyki zajęć – będzie najlepsze. „Najczęściej szukam błoni i lasów. Szczególnie odpowiadają mi tereny, gdzie lasy łączą się z terenami otwartymi, bo wtedy najlepiej ćwiczyć zieloną taktykę. Ostatnio szkoliliśmy się w okolicach Jeziora Tarnobrzeskiego. Wśród cywilnych mieszkańców terytorialsi wykonywali kilkunastokilometrowe przemarsze z wyposażeniem. Ćwiczyliśmy łączność i nawigację. Nikt z władz miejskich nie miał uwag do naszego programu szkolenia, a cywile byli do nas bardzo pozytywnie nastawieni", opisuje oficer. „To szkolenie rotacyjne dało mi najwięcej satysfakcji. Okazało się bowiem, że żołnierze, będący na etapie szkolenia indywidualnego, są w stanie działać zespołowo. Mieli określony cel marszu i wyznaczone zadania. Musieli wykorzystywać łączność zgodnie ze sztuką korespondencji radiowej i odpowiednio reagować, np. na ogłaszane alarmy przeciwlotnicze czy chemiczne", dodaje oficer wychowawczy z 32 Batalionu Lekkiej Piechoty.

Płk Arkadiusz Mikołajczyk: „Musimy pozbyć się złudzenia, że w razie konfliktu zbrojnego cywile opuszczą Polskę. Trzeba zatem umieć działać między ludźmi".

Dowódca 5 kompanii z 31 Batalionu por. Oskar Namaczyński-Kapała przyznaje, że dla niego o wiele łatwiejsze jest zorganizowanie zajęć w terenie cywilnym niż wojskowym. Obiekty wojskowe, jak podkreśla, są bardzo oblegane przez różne pododdziały, a przy tym trudniej spełnić niektóre wymogi formalne. Dodaje także, że żołnierze wolą szkolenie poza poligonami. „Trudniej o realniejsze warunki treningu niż w swoim regionie odpowiedzialności. Na poligonie nie ma osób postronnych, więc szkolenia z przenikania, skrytych przejść są mało rzeczywiste. Ale jeśli terytorialsi mają to zrobić między cywilami w niewielkiej wsi lub miasteczku, to już muszą się mocno postarać. I o to właśnie chodzi!", dodaje por. Namaczyński-Kapała. ■

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

OCZY DOOKOŁA GŁOWY

Ich jedynym orężem będą umiejętności zdobyte na kursie w kieleckim centrum.

Zanim obserwatorzy wojskowi wyjadą na misje ONZ, muszą zdobyć umiejętności, które pozwolą im nie tylko wykonać zadanie, lecz także przeżyć na niebezpiecznym terenie. Trzeba ich zatem nauczyć, jak mają się zachować, gdy konwój zostanie ostrzelany lub wybuchnie mina, jak przeprawiać się łodziami, wziąć udział w patrolu powietrznym, a także prowadzić rozmowy z terrorystami. Do podstawowych zaś zadań takich osób należą: nadzór nad przestrzeganiem ustaleń rozejmowych, monitorowanie strefy rozgraniczenia i linii przerwania ognia. Takie umiejętności zdobywa się na międzynarodowym kursie obserwatorów wojskowych. Centrum Przygotowań do Misji Zagranicznych w Kielcach zorganizowało dla nich szkolenie już po raz 26.

CHCEMY JEDZENIA I WODY

„To okrutny komendant. Spalił nasz szpital", mówi o „Zimnym" miejscowa ludność. Według scenariusza ćwiczeń, początkowo był on przyjaźnie nastawiony zarówno do sił rządowych Bothlandii, jak i obserwatorów wojskowych ONZ. Teraz jego ludzie dopuszczają się mordów i grabieży. Przedstawicielka Międzynarodowego Czerwonego Krzyża i ochraniający ją policjant czekają przed spalonym budynkiem na przyjazd obserwatorów ONZ. Podjeżdża honker. „Chcemy porozmawiać o sytuacji w regionie", mówi lider grupy Delta. Pada wiele pytań: czy jest bezpiecznie? Ilu mieszkańców opuściło swoje domy? Czy są uchodźcy? Jakie leki i żywność są potrzebne? Rozmowa z przedstawicielką MCK i policjantem to jedno z wielu zadań, które podczas zajęć praktycznych musieli wykonać uczestnicy międzynarodowego kursu obserwatorów wojskowych. Z uwagą przysłuchuje się jej instruktor kpt. Michał Kij.

„Obserwatorzy doskonale wiedzieli, że nie mogą obiecać, że przywiozą leki czy żywność. Ich zadaniem jest tylko zebranie informacji i przekazanie ich dalej, do dowództwa", mówi Agnieszka Krasowska, instruktor sekcji szkolenia do spraw kulturowych w kieleckim Centrum, która wcieliła się w przedstawicielkę Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. „To Błękitne Hełmy. Muszą zachować neutralność", dodaje chor. Waldemar Łosak, odgrywający rolę policjanta.

Po skończonej rozmowie obserwatorzy wsiadają do honkera. Kilkaset metrów dalej zatrzymuje ich grupa demonstrantów. To miejscowa ludność, wyraźnie niezadowolona z sytuacji w regionie. „Chcemy jedzenia i wody", krzyczą. Otaczają samochód, chcą się dostać do środka. „Wezwijcie pomoc, moje dziecko umiera", prosi kobieta z niemowlęciem na ręku. Dowodzona przez ppor. Annę Czekaj grupa podgrywająca wzburzoną ludność znakomicie wcieliła się w swoją rolę. Jeden z mężczyzn wdziera się do wnętrza wozu. To jednak nie powinno się zdarzyć. „Żaden cywil nie może znaleźć się w środku pojazdu. Wystarczy zamknąć drzwi na klucz", ocenia ćwiczenie kpt. Michał Kij. Wśród wrzasków trudno spokojnie rozmawiać. Wreszcie radiotelegrafiście udaje się nadać meldunek do dowództwa, że jest potrzebna pomoc.

MICHAŁ NIWICZ

WYMIENIAMY SIĘ DOŚWIADCZENIAMI

„Jesteśmy jedyną jednostką w Polsce, która przygotowuje pod względem cywilno-wojskowym żołnierzy do misji poza granicami kraju oraz szkoli obserwatorów wojskowych ONZ. Uczestnicy kursów korzystają z doświadczeń naszych żołnierzy, którzy wielokrotnie pełnili służbę poza granicami kraju", mówi płk Paweł Chabielski, komendant Centrum Przygotowań do Misji Zagranicznych w Kielcach.

Podobne ośrodki szkolenia znajdują się m.in. na Węgrzech, w Austrii, Niemczech i Chinach, ale żaden z nich nie ma w programie na przykład szkolenia z udziału w patrolu powietrznym prowadzonego ze śmigłowców →

W kursie dla obserwatorów wojskowych ONZ w kieleckim Centrum uczestniczyło około stu żołnierzy. 25 Brygada Kawalerii Powietrznej z Tomaszowa Mazowieckiego zapewniła śmigłowiec, a 21 Brygada Strzelców Podhalańskich z Rzeszowa i 6 Brygada Powietrznodesantowa z Krakowa zabezpieczały zajęcia praktyczne.

Rozmowa z przedstawicielką MCK i policjantem to jedno z wielu zadań, które podczas zajęć praktycznych musieli wykonać uczestnicy kursu.

POLSCY OBSERWATORZY WOJSKOWI PEŁNIĄ SŁUŻBĘ POD BŁĘKITNĄ FLAGĄ W KOSOWIE, SUDANIE POŁUDNIOWYM, KONGU I NA SAHARZE ZACHODNIEJ

w strefie zmilitaryzowanej. Mjr Michał Bech, dyrektor kursu i szef sekcji szkolenia taktycznego w Centrum, był uczestnikiem podobnych zajęć w Chinach, a komendant jako instruktor szkolił kandydatów na obserwatorów w Brazylii. „Zbieramy doświadczenia i wymieniamy się nimi. Musimy dostosowywać program kursu do aktualnej sytuacji politycznej na świecie. Mamy przygotować polski i zagraniczny personel do działania w rejonach zagrożeń i konfliktów”, podkreśla mjr Bech. Major celowo używa słowa „personel”, gdyż od dwóch lat uczestnikami kursu są nie tylko żołnierze, lecz także cywile. Zgodnie z wytycznymi Zgromadzenia Ogólnego ONZ przygotowanie personelu do udziału w misjach pokojowych pozostaje domeną krajów członkowskich. „Kurs przeprowadzamy jednak na bazie materiałów szkoleniowych ONZ”, dodaje mjr Bech.

TROCHĘ WALIŁO MI SERCE

Część teoretyczna szkolenia dla obserwatorów w kieleckim Centrum trwa dwa tygodnie. Uczestnicy poznają m.in. procedury obowiązujące podczas wykonywania na misji zadań mandatowych oraz uczą się prawa konfliktów zbrojnych i posługiwania się GPS-em. Dowiadują się, na czym polega współpraca cywilno-wojskowa oraz jak powinni kontaktować się z mediami i innymi partnerami. Językiem obowiązującym w trakcie szkolenia jest angielski.

Po zajęciach teoretycznych kandydaci na obserwatorów spędzają kilka dni w terenie. „Przygotowaliśmy zadania, jakie mogą być im powierzone w rejonie misji. Prowadzimy ćwiczenia w taki sposób, aby nauczyli się działać w obliczu zagrożenia życia i to bez użycia broni. Kursanci muszą mieć świadomość, że ich jedynym orężem jest umiejętność nawiązywania kontaktów z miejscową ludnością oraz prowadzenia mediacji i negocjacji”, podkreśla mjr Bech. Wszyscy uczestnicy zwracają uwagę na wysoki poziom szkolenia i profesjonalizm prowadzących.

MICHAŁ NIWICZ (3)

Miejscowa ludność jest wyraźnie niezadowolona z sytuacji w regionie. „Chcemy jedzenia i wody", krzyczy.

Zajęcia z medycyny pola walki oraz udzielania pierwszej pomocy medycznej odbyły się w Wojskowym Centrum Kształcenia Medycznego w Łodzi, z którym kielecka placówka współpracuje od kilku lat. „Kursanci mieli potem okazję sprawdzić się w praktyce, gdy podczas patrolu udzielali pomocy innym żołnierzom ONZ, poszkodowanym w wyniku detonacji improwizowanego ładunku wybuchowego", mówi mjr Michał Bech.

Równie realistyczne były inne ćwiczenia. „Nasz samochód zatrzymali rebelianci. Wywlekli nas z wozu, zabrali do lasu, związali i zakryli oczy, a potem przesłuchiwali. Trochę waliło mi serce, chociaż wiedziałam, że tutaj nie stanie mi się krzywda", opowiada por. mar. Dagmara Broniatowska z Akademii Marynarki Wojennej. „Instruktorzy powtarzali nam, że najważniejsze jest nasze bezpieczeństwo, dlatego podczas przesłuchania trzeba mówić wszystko, a nie odgrywać bohatera", dodaje por. mar. Paweł Regliński z Centrum Operacji Morskich. Por. Broniatowska mówi także o innych wyzwaniach, z którymi musiała zmierzyć się na kursie: „Byłam dowódcą patrolu, a to oznaczało odpowiedzialność za życie podległych mi żołnierzy. Nowością było dla mnie, że musiałam się o to zatroszczyć bez użycia broni", podkreśla.

Kilkanaście białych kontenerów rozstawionych na terenie Centrum to dla kursantów posterunek numer 60. Tu znajdują się stanowisko dowodzenia, mesa, kwatery mieszkalne i sanitariaty. Są też wieża obserwacyjna i schron. Teren został ogrodzony zaporami. „Podobnie wyglądają posterunki w Syrii i Libanie. To nasz obiekt szkoleniowy. Spełnia wymogi force protecion [ochrona i obrona bazy]", mówi mjr Michał Bech.

Por. mar. Paweł Regliński pełni służbę w jednym z kontenerów, który na potrzeby ćwiczeń stał się „tokiem" (tactical operation center – TOC). Przez najbliższe godziny oficer będzie łącznikiem między patrolem, który wyjechał w teren, a kwaterą główną. „Patrol ma ocenić sytuację uchodźców i wynegocjować ze stronami konfliktu zawieszenie broni na czas przejazdu konwoju z pomocą humanitarną. Niby proste zadanie, ale na pewno organizatorzy kursu przygotowali kilka niespodzianek", opowiada por. mar. Regliński. Mija kilkanaście minut, gdy w słuchawce radiotelefonu rozlega się meldunek: „Wpadliśmy w zasadzkę", słychać trzaski i odgłosy strzałów. Por. mar. Regliński przekazuje meldunek do kwatery głównej. „Powinni wysłać pomoc", komentuje zaistniałą sytuację.

LICZYLIŚMY OSOBY, POJAZDY

Patrol powietrzny prowadzony ze śmigłowców w strefie zmilitaryzowanej to jedno z trudniejszych zadań, jakie musieli wykonać uczestnicy kursu. Dlatego zgodnie z zasadą stopniowania trudności, którą stosuje mjr Bech, czyli każdy dzień jest trudniejszy od poprzedniego, odbywa się on ostatniego dnia szkolenia, gdy uczestnicy zdobyli już pewne umiejętności i nabrali odwagi w działaniu.

Podczas lotu kandydaci na obserwatorów muszą zweryfikować siły znajdujące się w strefie zdemilitaryzowanej. Wzdłuż linii przerwania ognia nie może bowiem znajdować się broń o kalibrze powyżej 5,56 mm. Nie zdają sobie jednak sprawy, że w tej strefie w pięciu różnych obiektach zostali ukryci rebelianci. Obserwatorzy mają ich namierzyć. Zostały także rozmieszczone moździerze kalibru 60 i 120 mm, karabiny maszynowe UKM 7,62, granatniki automatyczne Mk 29 oraz honkery i samochody ciężarowe.

Por. mar. Regliński ocenia, że lot śmigłowcem na wysokości 100–200 m był ciekawym ćwiczeniem rozpoznawczym. „Naszym zadaniem było sfotografowanie pięciu miejsc, których koordynaty nam podano. Liczyliśmy także budynki, osoby i pojazdy. Zauważyliśmy grupę ludzi, która na dźwięk warkotu silnika schowała się do lasu", opowiada. Raport i zdjęcia z tej obserwacji trafiły do mjr. Becha.

W międzynarodowym kursie obserwatorów wojskowych wzięło udział 11 polskich oficerów, reprezentujących wszystkie rodzaje sił zbrojnych, oraz oficerowie z Chin i Białorusi, a także jeden cywil. Są gotowi do wyjazdu w każdy rejon świata, gdzie prowadzone są misje obserwacyjne ONZ. Czy tam się sprawdzą? „Każdy z kursantów sam musi dojść do wniosku, czy nadaje się do tej roli", podsumowuje mjr Bech. Por. mar. Dagmara Broniatowska już zdecydowała, że chce wyjechać na misję jako obserwator ONZ w rejonie środkowej Afryki. ■

POZNAJCIE Z NAMI SPECYFIKĘ SŁUŻBY ŻOŁNIERZY W RÓŻNYCH JEDNOSTKACH POLSKIEGO WOJSKA. W CYKLU „WOJSKO OD KULIS" PRZECZYTACIE O MARYNARZACH, PILOTACH, LOGISTYKACH, ARTYLERZYSTACH, PRZECIWLOTNIKACH CZY CHEMIKACH.

BOGUSŁAW POLITOWSKI

WPATRZENI W NIEBO

Stratedzy od lat wiedzą, że wczesne wykrycie nieprzyjacielskich statków powietrznych pozwala osiągnąć przewagę w militarnych działaniach na ziemi. Tym zajmują się żołnierze 3 Brygady Radiotechnicznej z Wrocławia.

Wprowadzone w latach dziewięćdziesiątych do jednostek brygady NUR-31 (przystawka antenowa RA83 z prawej strony) i NUR-41 (z lewej) od 2008 roku są sukcesywnie zastępowane przez nowe radary trójwspółrzędne.

Ostatnie dni lipca 2016 roku. W Krakowie trwają Światowe Dni Młodzieży. W pewnym momencie w centrum bezpieczeństwa rozdzwaniają się telefony. Okazało się, że na ekranie jednej ze stacji radiolokacyjnych znajdujących się w okolicach Krakowa żołnierze obserwujący przestrzeń powietrzną zauważyli niezidentyfikowany statek powietrzny. Obiekt, który nie został zgłoszony do lotu, wystartował z terenu Czech i poza wyznaczonym korytarzem powietrznym leciał w kierunku Małopolski. Próby nawiązania łączności z pilotem nie przyniosły rezultatu. Z lotniska w Łasku w powietrze poderwała się para dyżurna F-16. Uznano bowiem, że istnieje realne zagrożenie atakiem terrorystycznym.

Sprawa szybko się wyjaśniła. Gdy wreszcie nawiązano łączność z pilotem, okazało się, że to Rosjanin, który niedużym samolotem akrobacyjnym wybrał się na zawody lotnicze do Radomia. Oczywiście nie miał żadnych wrogich zamiarów, ale odpowiedział za przekroczenie strefy ograniczenia lotów i niezłożenie przed startem planu lotu. Niezidentyfikowany obiekt wykryli żołnierze obsługi stacji radiolokacyjnej NUR-15M z 3 Wrocławskiej Brygady Radiotechnicznej. W czasie ważnych wydarzeń międzynarodowych, które odbywają się w naszym kraju, takich jak mistrzostwa Europy w piłce nożnej w 2012 roku czy szczyt NATO w Warszawie w 2016 roku, pełnią oni dodatkowe całodobowe dyżury. Wysunięte posterunki radiolokacyjne obserwują wtedy przestrzeń powietrzną nie od wysokości 3 tys. m, jak zazwyczaj, lecz nawet od około 50 m.

„Każdy z tych dyżurów traktowaliśmy jak wykonywanie ważnego zadania bojowego. Znaliśmy rangę wydarzeń, →

które ochraniamy. Nie tylko ja, jako dowódca obsługi, byłem maksymalnie skoncentrowany, lecz także każdy z żołnierzy. Nie mogliśmy przeoczyć żadnego obiektu, którego powierzchnia odbicia byłaby większa niż metr kwadratowy", wspomina por. Grzegorz Domżalski z 31 Batalionu Radiotechnicznego we Wrocławiu.

Ten oficer brygady i wielu innych doświadczenie zdobywali, rozpoznając przestrzeń powietrzną m.in. za naszą wschodnią granicą. Podczas dyżurów wielokrotnie zdarzało się, że na niebie nagle pojawiały się niezgłoszone uprzednio statki powietrzne. „Piloci naszych sąsiadów wiedzieli, że ich namierzamy. Robili to chyba celowo, by sprawdzić naszą czujność", skwitował por. Domżalski.

JEDYNA TAKA W ARMII

3 Brygada Radiotechniczna jest jedynym związkiem taktycznym w armii monitorującym przestrzeń powietrzną nad krajem. Jej zadaniem jest podgląd sytuacji powietrznej i rozpoznanie obszaru nieba w odległości wielu kilometrów od granic RP, które są też zewnętrznymi granicami NATO. Polscy radiotechnicy prowadzą rozpoznanie tzw. podejść na głębokość 100 Mm i na wysokość 3 tys. m nad Rosją, Białorusią i Ukrainą. Przez cały rok o każdej porze dnia i nocy dyżur bojowy na wysuniętych posterunkach radiolokacyjnych i w stacjach rozmieszczonych na terenie całej Polski pełni blisko 300 żołnierzy. Ich służba ma charakter nie tylko narodowy, bo informacje o sytuacji powietrznej nad Polską trafiają także do Zintegrowanego Systemu Obrony Powietrznej i Przeciwrakietowej NATO.

Radiotechnicy uczestniczą we wszystkich ważniejszych ćwiczeniach i szkoleniach sił powietrznych, wojsk lądowych, marynarki wojennej, a nawet wojsk specjalnych. Raz w roku wybrany batalion 3 Brygady jest poddawany wewnętrznym sprawdzianom podczas ćwiczeń „Błotniak". Bierze w nich zazwyczaj udział około pół tysiąca żołnierzy, którzy działają na terenie kilku województw. Wszystko odbywa się oczywiście bez przerywania całodobowego dyżuru bojowego – monitorowania nieba nad krajem. „Dzięki doświadczeniu naszych żołnierzy możemy dobrze wykonywać kilka ważnych zadań jednocześnie", zaznacza ppłk Sebastian Kowalczuk, szef szkolenia 3 WBRt.

W skład brygady, której dowództwo stacjonuje we Wrocławiu, wchodzą cztery bataliony. Każdy odpowiada za ciągłą obserwację nieba nad terytorium mniej więcej jednej

W SKŁAD BRYGADY WCHODZĄ CZTERY BATALIONY. KAŻDY Z NICH ODPOWIADA ZA CIĄGŁĄ OBSERWACJĘ NIEBA NAD JEDNĄ CZWARTĄ TERYTORIUM KRAJU

TRZY PYTANIA DO

Wojciecha Lewickiego

Co wyróżnia 3 Brygadę Radiotechniczną od innych jednostek wojskowych?

Jesteśmy jedyną tego rodzaju jednostką. Mamy status związku taktycznego, który jako jedyny w czasie pokoju całymi swoimi siłami pełni nieustający dyżur bojowy. Do naszych obowiązków należy ciągłe monitorowanie sytuacji powietrznej nad krajem, a na wschodzie – daleko poza naszymi granicami. Ciekawostką jest, że nasze zadania wykonywane w czasie pokoju nie ulegają żadnej zmianie na czas ewentualnego konfliktu zbrojnego.

Kto służy w brygadzie?

Zdecydowana większość naszych żołnierzy to elektronicy o specjalności radiolokacja. Stanowią oni około 50% całego stanu osobowego. Największą liczbę specjalistów z tej dziedziny pozyskujemy z Wojskowej Akademii Technicznej. Przyznam, że tra-

WYPOSAŻENIE

RODZIMEJ PRODUKCJI RADAR PIT-RADWAR NUR-12M

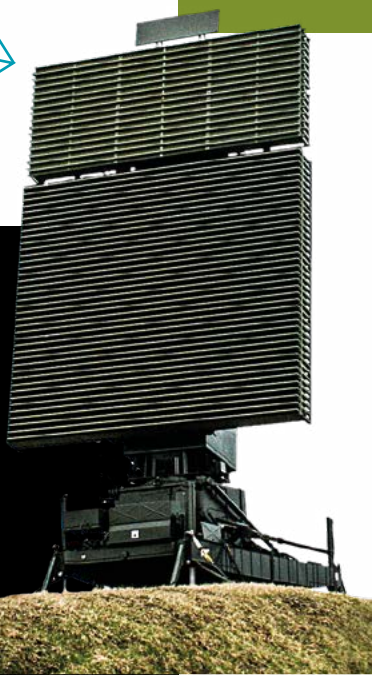

Radiotechnicy byli do niedawna utożsamiani z justynami i bożenami – wprowadzonymi do wyposażenia jednostki w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia radarami NUR-31 (odległościomierz) i NUR-41 (wysokościomierz). Od 2008 roku zaczęły je zastępować nowoczesne, mobilne, trójwspółrzędne stacje radiolokacyjne NUR-15. Na stacjonarnych posterunkach radiolokacyjnych dalekiego zasięgu stanęły zaś stacje radiolokacyjne RAT-31DL włoskiej produkcji oraz polskie radary PIT-Radwar NUR-12M, które mogą prowadzić rozpoznanie na odległość ponad 300 km.

Niektóre kompanie radiotechniczne są wyposażone w stacje radiolokacyjne typu AVIA, które obserwują przestrzeń powietrzną wokół krajowych lotnisk na odległość ponad 100 km.

Z kolei łącznościowcy brygady dysponują ruchomymi węzłami łączności cyfrowej RWŁC-10T i radiostacjami RF-5800H. Dzięki tym urządzeniom obraz wybranego obszaru nieba może być przesyłany do jednostek dowodzenia w czasie rzeczywistym. ■

czwartej części kraju. 3 Sandomierski Batalion Radiotechniczny jest odpowiedzialny za południowo-wschodnią Polskę, 8 Szczycieński Batalion Radiotechniczny obserwuje przestrzeń powietrzną nad północno-wschodnim jej terytorium, 31 Dolnośląski Batalion Radiotechniczny – nad południowo-zachodnim, a 34 Chojnicki Batalion Radiotechniczny nad północno-zachodnią częścią kraju.

Bataliony dzielą się na kompanie, a tych jest 17. Ponadto w ugrupowaniu trzech batalionów radiotechnicy pełnią całodobową służbę w sześciu stacjonarnych posterunkach radiolokacyjnych dalekiego zasięgu w następujących miejscowościach: Chruściel, Łabunie, Szypliszki, Brzoskwinia, Roskosz oraz Wronowice. Zasięg rozpoznania powietrznego każdego z nich wynosi ponad 300 km.

35 MIEJSC STACJONOWANIA

W 3 Brygadzie Radiotechnicznej służy i pracuje około 3 tys. żołnierzy oraz pracowników resortu obrony narodowej, którzy stacjonują w 35 miejscach kraju, w rejonach odpowiedzialności aż czterech regionalnych baz logistycznych. Często miejsca służby radiotechników są znacznie oddalone od dużych miejscowości. Kpt. Kamil Adamczyk dowodzi 133 kompanią radiotechniczną, stacjonującą w miejscowości Wysoka Głogowska w województwie →

fia do nas znacznie mniej oficerów, absolwentów tej uczelni, niż chcielibyśmy przyjąć. Podoficerów kształci dla nas, na różnych kursach specjalistycznych dotyczących obsługi sprzętu, który mamy, Centrum Szkolenia Sił Powietrznych w Koszalinie. Mniejszą grupę naszych kadr stanowią łącznościowcy i informatycy oraz logistycy.

Co trzeba zrobić, aby się dostać do brygady?

Jak wspomniałem, mamy wiele wolnych stanowisk dla absolwentów WAT-u kończących kierunek elektroniczny. Bardzo mile widziani są u nas wszyscy ci, którzy lubią elektronikę, elektrotechnikę czy informatykę. Oczywiście służbę mogą rozpocząć także kierowcy czy żołnierze ze specjalnościami logistycznymi. Chętnych muszę jednak przestrzec, że nie jest łatwo. Dyżury pełnimy również w weekendy i dni świąteczne. Można też trafić na posterunek położony gdzieś w środku lasu. Wiąże się to z dojazdami do pracy, a często z dłuższą rozłąką z najbliższymi. Przy okazji zdementuję pogłoski o tym, że służymy w środowisku bardzo szkodliwym. Owszem, fale elektromagnetyczne są niebezpieczne dla organizmu, ale zostały dokładnie wytyczone strefy, gdzie nie wolno przebywać. Stanowiska pracy są zaś całkowicie bezpieczne dla organizmu. Miejsca te są zresztą bardzo często sprawdzane pod tym kątem. ■

Gen. bryg. WOJCIECH LEWICKI jest dowódcą 3 Wrocławskiej Brygady Radiotechnicznej.

MARIUSZ DEJNEKA

3 BRYGADA RADIOTECHNICZNA

Zdolność bojową uzyskała 31 maja 1974 roku. Została sformowana z 17 Pułku Radiotechnicznego w Poznaniu i 19 Pułku Radiotechnicznego w Chorzowie. Od początku siedzibą jej dowództwa był Wrocław. Po zmianach restrukturyzacyjnych w latach 1997–1998 brygada składała się z sześciu batalionów radiotechnicznych, co pozwalało jej obsługiwać pod względem informacji radiolokacyjnej rejon odpowiedzialności 3 Korpusu Obrony Powietrznej. Kolejne lata przynosiły dalsze zmiany strukturalne brygady i całych wojsk radiotechnicznych. Przełomowy był rok 2008. Od 1 lipca jednostka stała się jedyną, która monitoruje przestrzeń powietrzną nad krajem. 1 stycznia 2014 roku, po reformie systemu kierowania i dowodzenia Siłami Zbrojnymi RP, 3 Brygada została bezpośrednio podporządkowana Dowództwu Generalnemu Rodzajów Sił Zbrojnych. 1 stycznia 2016 roku posterunki radiolokacyjne dalekiego zasięgu wyposażone w radary RAT-31DL rozpoczęły dyżury bojowe w ramach Zintegrowanego Systemu Obrony Powietrznej i Przeciwrakietowej NATO (NATINAMDS). ■

„DZIĘKI DOŚWIADCZENIU NASZYCH ŻOŁNIERZY MOŻEMY DOBRZE WYKONYWAĆ KILKA WAŻNYCH ZADAŃ JEDNOCZEŚNIE", ZAZNACZA PPŁK SEBASTIAN KOWALCZUK, SZEF SZKOLENIA 3 WBRt.

podkarpackim. Spora grupa jego podwładnych dojeżdża do jednostki z Rzeszowa czy Tarnobrzegu. Wielu mieszka jeszcze dalej. Zdaniem kapitana, oddalenie od miejskich aglomeracji powoduje pewne utrudnienia, ponieważ kompania pod względem spraw zaopatrzeniowych często jest traktowana jak jednostka wojskowa. W jej etacie nie ma jednak pewnych komórek i stanowisk dla specjalistów logistyki. Wszystkie sprawy związane na przykład z dokumentacją kadra kompanii musi załatwiać sama w ramach dodatkowych obowiązków.

„Są i plusy takiej sytuacji. Oddalenie od dowództw sprawia, że musimy być kreatywni, dobrze organizować nie tylko dyżury bojowe, lecz także wszystkie inne aspekty służby, od ochrony obiektu po całą sferę socjalno-bytową", mówi kpt. Adamczyk.

Dzięki modernizacji sprzętu służba radiotechników staje się coraz łatwiejsza. Do niedawna do nadzorowania przestrzeni powietrznej potrzebowali dwóch stacji radiolokacyjnych, odległościomierza oraz wysokościomierza, a teraz wystarcza im jedna. Do niespełna 30 minut, zredukowano również czas przygotowania nowego sprzętu do pracy bojowej. Co jednak o wiele ważniejsze, używanie tylko jednego urządzenia zmniejsza prawdopodobieństwo jego namierzenia oraz zwiększa mobilność zestawu.

„W nowych stacjach radiolokacyjnych do przetwarzania sygnałów zastosowano najnowsze technologie. Wytwarzają one sygnał o lepszej jakości i są bardziej czułe, jeśli chodzi o lokalizowanie obiektów powietrznych", wyjaśnia ppłk Jacek Połeć, szef zespołu nadzoru technicznego 3 Brygady Radiotechnicznej. ■

ST. SIERŻ. **ZBIGNIEW LEWANDOWSKI**

Data i miejsce urodzenia: 7 marca 1984 roku, Lubraniec, woj. kujawsko-pomorskie.

Tradycje wojskowe: ojciec i brat służyli w zasadniczej służbie wojskowej, a ja jako pierwszy postanowiłem zostać żołnierzem zawodowym. Teraz mój starszy brat również jest żołnierzem zawodowym w CSWLąd w Poznaniu.

W wojsku służy od: 2004 roku.

Zajmowane stanowisko: zastępca dowódcy plutonu w plutonie piechoty zmotoryzowanej w 12 Brygadzie Zmechanizowanej im. gen. broni Józefa Hallera.

EDUKACJA WOJSKOWA:
Szkoła Podoficerska Wojsk Lądowych w Poznaniu.

NAJLEPSZA BROŃ:
ta, z którą zaczynałem swoją prawdziwą służbę, czyli kbs Beryl kalibru 5,56 mm.

MISJE I ĆWICZENIA:
służyłem na X zmianie PKW Irak oraz na XII zmianie PKW Afganistan. Brałem udział w wielu ćwiczeniach zagranicznych, m.in. „Saber Junction ’15” w niemieckim Hohenfels, „Allied Spirit VIII” w Niemczech, „Compact Eagle ’05”, „Steadfast Jazz ’13”, „Common Challenge ’15”, oraz licznych ćwiczeniach krajowych.

MOJE NAJWIĘKSZE OSIĄGNIĘCIE:
za dokonanie bohaterskiego czynu w walce zbrojnej otrzymałem Kordzik Honorowy Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej. Podczas walki w listopadzie 2013 roku w Afganistanie udzieliłem pomocy rannemu koledze i pomogłem w jego ewakuacji z tzw. strefy śmierci.

ZOSTAŁEM ŻOŁNIERZEM, BO: SPODOBAŁA MI SIĘ SŁUŻBA ZASADNICZA.

HOBBY:

kuchnia

sport

podróże

OPRAC. MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
FOT. BARTŁOMIEJ KULESZA

WIRKOWSKI

BRATERSTWO KRWI

KLUB HDK PCK AKADEMIA MARYNARKI WOJENNEJ

Paweł Wirkowski

Dlaczego zostałem krwiodawcą?

MICHAŁ NIWICZ

Czy są chętni do oddania krwi?", zapytał dowódca kompanii na porannym apelu. Działo się to 9 września 1994 roku. Podczas szkolenia unitarnego w Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie na uczelnię przyjechała ekipa z Wojskowego Centrum Krwiodawstwa i Krwiolecznictwa. Gdy się okazało, że za zgłoszenie się będzie przysługiwać dzień wolny oraz dwa dni urlopu do wykorzystania po zakończeniu szkolenia, stawiła się niemal połowa kompanii. Dzień wolny w trakcie „unitarki" był nieosiągalnym marzeniem. Wówczas nie zastanawiałem się nad ideą honorowego krwiodawstwa. Po kilku miesiącach oddałem krew kolejny raz i bardziej lub mniej regularnie robię to do dziś. Członkiem Klubu Honorowych Dawców Krwi Polskiego Czerwonego Krzyża przy Akademii Marynarki Wojennej w Gdyni zostałem dwa lata później, gdy zmieniłem uczelnię. Dziś jestem prezesem tego klubu, który w tym roku obchodzi 42. rocznicę działalności, liczy 286 członków i około 200 osób wspierających.

Oddajemy krew, włączamy się do zbiórek dla osób potrzebujących, wspomagamy inicjatywy podejmowane przez Zarząd Rejonowy PCK w Gdyni. Od kilku lat plasujemy się na czołowych miejscach szczebla krajowego w ogólnopolskim turnieju Młoda Krew Ratuje Życie organizowanym dla szkół ponadgimnazjalnych i uczelni wyższych. Pamiętamy jednak, że ważne są nie turnieje, wyróżnienia czy odznaczenia. Przede wszystkim chcemy pomagać innym. Kilka lat temu o krew dla chorej kilkuletniej dziewczynki poprosiła pracownica Akademii. Reakcja członków naszego klubu była natychmiastowa. Po kilku tygodniach mała pacjentka odwdzięczyła się nam obrazkiem namalowanym na płótnie. Na jego drugiej stronie zobaczyliśmy słowo „dziękuję". Podobne sytuacje uświadamiają mi, że honorowe krwiodawstwo to udzielenie pomocy potrzebującemu. MSCH ■

HONOROWY KRWIODAWCA

KMDR POR. PAWEŁ WIRKOWSKI

Służba: Akademia Marynarki Wojennej w Gdyni
– krwiodawca od 1994 roku
– oddał 12 litrów krwi
– prezes Klubu HDK PCK przy Akademii Marynarki Wojennej

ARSENAŁ

/ **PRZEGLĄD**

TADEUSZ WRÓBEL

METODA MAŁYCH KROKÓW

Po rosyjskiej agresji na Ukrainę w 2014 roku Słowacja przyspieszyła modernizację techniczną sił zbrojnych.

SŁOWACKIE SIŁY ZBROJNE zamierzają zamówić nowe kołowe wozy opancerzone w konfiguracjach napędu 4x4 i 8x8. Pozwoli to prawdopodobnie na wycofanie ze służby niezmodernizowanych BWP-1.

BŁAŻEJ ŁUKASZEWSKI/12 SDZ

TADEUSZ WRÓBEL (2)

Słowacja realizuje wieloletni program modernizacji technicznej sił zbrojnych. W ostatnich latach tamtejsze ministerstwo obrony podpisało kilka umów na zakup nowego uzbrojenia i sprzętu wojskowego, produkowanego zarówno w kraju, jak i za granicą. Największe kontrakty, w tym na nowe samoloty bojowe, dopiero jednak czekają na rozstrzygnięcie.

DRUGA MŁODOŚĆ BEWUPA

Kluczowa dla Słowacji jest modernizacja parku pojazdów pancernych. Podstawowym uzbrojeniem jednostek zmechanizowanych wojsk lądowych są wyprodukowane w Czechosłowacji jeszcze w czasach Układu Warszawskiego bojowe wozy piechoty BWP-1 i BWP-2. Choć są to wiekowe pojazdy, Słowacy nie zamierzają pozbyć się wszystkich egzemplarzy.

Minister obrony Peter Gajdoš i szef obrony gen. por. Daniel Zmenko 29 maja 2018 roku na poligonie badawczym Lieskovec w Dubnicy nad Wagiem uczestniczyli w uroczystym przekazaniu wojsku 21 gąsienicowych bojowych wozów rozpoznawczych BPsVI w wersji ISTAR. Pojazdy te stworzyła grupa słowackich firm pod przewodnictwem przedsiębiorstwa Konštrukta-Defence. W konstrukcji wykorzystano podwozie wcześniejszego pojazdu rozpoznawczego BPsV Svatava, a na nim zamontowano wieżę bezzałogową Turra 30, uzbrojoną w automatyczną armatę 2A42 kalibru 30 mm. Z nią został sprzężony karabin maszynowy PKT kalibru 7,62 mm. Na wieży zamontowano podwójną wyrzutnię przeciwpancernych pocisków kierowanych 9M113 Konkurs. Dla strzelca i dowódcy przewidziano niezależne zestawy urządzeń do kierowania ogniem, składające się z kamer telewizyjnej i termowizyjnej oraz dalmierza laserowego.

Minister PETER GAJDOŠ ogłosił w kwietniu 2018 roku decyzję o anulowaniu przetargu na zakup trójwspółrzędnych (3D) radarów średniego zasięgu. Stwierdził wówczas, że w ramach nowej procedury powinny być kupione też radary małe i krótkiego zasięgu.

BPsVI wyposażono w system ostrzegania przed promieniowaniem laserowym SDIO, radar obserwacji naziemnej Ranger R20SS, bezzałogowy system powietrzny Micro Falcon, kompaktową stację pogodową Kestrel 5500, system łączności firmy Harris, bezobsługowy zestaw detektorów naziemnych, wielozadaniowy optoelektroniczny przyrząd obserwacyjny JIM Compact firmy Safran.

Podczas przekazania pojazdów wojsku podano, że 11 z nich trafi do utworzonego w lipcu 2014 roku batalionu ISTAR w Preszowie, który należy do 2 Brygady Zmechanizowanej. Pozostałe dziesięć trafi do jednostek zmechanizowanych. Do wersji BPsVI zostanie zmodernizowanych 35 wozów. Słowackie media podały, że program ma być zakończony do 2035 roku i będzie kosztować 44,5 mln euro.

Przekształcenie BPsV w wóz rozpoznawczy ISTAR to jedyny słowacki program modernizacyjny dotyczący gąsienicowych pojazdów pancernych. W przyszłości wojska lądowe do misji rozpoznawczych mają wykorzystywać kołowe pojazdy opancerzone.

KOŁA GÓRĄ

Słowackie siły zbrojne zamierzają zamówić nowe kołowe wozy opancerzone w konfiguracjach napędu 4x4 i 8x8. Przed kilku laty południowi sąsiedzi Polski byli zainteresowani rosomakami, ale w wersji z wieżą własnej produkcji. Teraz Bratysława zdecyduje się raczej na pojazd bazujący na nowszej wersji AMV XP, oferowany im przez Patrię Land Systems Oy. 17 listopada 2017 roku pojawiła się informacja, że resorty obrony Finlandii i Słowacji doszły do porozumienia w sprawie uruchomienia wspólnego programu. Kilka

Rząd Słowacji zatwierdził wniosek ministerstwa obrony o przyznanie 175 mln euro na 25 samobieżnych armatohaubic Zuzana 2 (na zdjęciu z prawej).

SŁOWACY JAKO PIERWSI SPOŚRÓD CZŁONKÓW BYŁEGO UKŁADU WARSZAWSKIEGO WPROWADZILI DO SIŁ ZBROJNYCH SPEŁNIAJĄCY STANDARDY NATO SYSTEM ARTYLERYJSKI KALIBRU 155 MM

miesięcy wcześniej rząd w Bratysławie zatwierdził z kolei plan ministerstwa obrony dotyczący zakupu 81 transporterów opancerzonych w układzie 8x8. Dostawy przewidywane są na lata 2018–2024. Podwozie AMV XP zintegrowane z wieżą Turra 30 zaprezentowano już na poligonie przy słowackim Wojskowym Instytucie Techniki i Testów.

Dwie brygady zmechanizowane mają już sześć takich wozów – cztery zmechanizowane, mieszany batalion zmechanizowany (z kompanią czołgów T-72) i zmotoryzowany. Planowana docelowa liczba pojazdów ośmiokołowych wystarczy na wyposażenie dwóch z nich. Pozwoli to prawdopodobnie na wycofanie ze służby BWP-1.

Nadal trwa natomiast rywalizacja producentów o drugi, równie intratny kontrakt na dostawy pojazdów opancerzonych w układzie 4x4. Ministerstwo obrony chce kupić 404 sztuki, które trafią do wojska w latach 2019–2029.

INWESTYCJE W ARTYLERII

Słowacy jako pierwsi spośród członków byłego Układu Warszawskiego wprowadzili do sił zbrojnych spełniający standardy NATO system artyleryjski kalibru 155 mm. Seryjna produkcja samobieżnej armatohaubicy Vz.2000 Zuzana rozpoczęła się w 1998 roku. Wojska lądowe kupiły wówczas 16 egzemplarzy.

23 maja 2018 roku słowacki rząd zatwierdził wniosek ministerstwa obrony o przyznanie 175 mln euro na 25 samobieżnych armatohaubic Zuzana 2. W porównaniu z wcześniejszą wersją ma ona dłuższą lufę (52 kalibry), co przekłada się na większy zasięg rażenia – 41 km. Wieżę osadzono na podwoziu ośmiokołowej tatry. Nowe działa trafią do wojska w latach 2018–2022 i zastąpią nie tylko 16 zuzan starego typu, lecz także trzy armatohaubice vz.77 Dana kalibru 152 mm.

W pierwszej dekadzie XXI wieku przeprowadzono modernizację wyrzutni artylerii rakietowej RM-70. We współpracy z niemiecką firmą Diehl BGT Defence GmbH & Co powstała RM vz.70/85 Modular. Na ośmiokołowej platformie Tatra 815 można zamontować kontener z 28 pociskami kalibru 122 mm lub sześcioma 227-milimetrowymi. Słowacja zamówiła modernizację 26 wyrzutni do tego standardu.

OCZEKIWANIE NA ODRZUTOWCE

Słowacja, podobnie jak Polska, rozpoczęła wprowadzanie zachodnich statków powietrznych od lotnictwa transportowego. W kwietniu 2018 roku w bazie lotniczej Malacky-Kuchyňa wylądował drugi z przewidzianych w umowie samolotów C-27J Spartan. Zastąpiły one dwa sowieckie An-26, które przypadły Słowakom po podziale lotnictwa czechosłowackiego.

Drugi kontrakt na technikę lotniczą dotyczył zakupu w ramach programu „Foreign Military Sales" dziewięciu śmigłowców wielozadaniowych Sikorsky UH-60M Black Hawk. Pierwsze dwie maszyny wylądowały w bazie lotniczej w Preszowie 26 czerwca 2017 roku. W tym roku

Słowacja ma otrzymać kolejną parę śmigłowców, a w przyszłym pozostałe pięć. Najważniejszy wybór jest ciągle jednak przed Słowakami, którzy szukają następcy myśliwca MiG-29. Tamtejsze siły powietrzne mają eskadrę liczącą 12 maszyn, ale analityk wojskowy Jaroslav Nad' twierdzi, że w tym samym czasie mogą się wzbić w powietrze tylko trzy lub cztery z nich.

4 kwietnia 2018 roku Defense Security Cooperation Agency ogłosiła, że Departament Stanu zgadza się na sprzedaż Słowacji 14 samolotów bojowych F-16 Block 70/72 V wraz z uzbrojeniem. Wartość potencjalnej transakcji oszacowano na 2,91 mld dolarów. 10 kwietnia serwis Dennik N podał wypowiedź rzeczniczki ministerstwa obrony Danki Capákovej, że realny koszt zakupu wyniósłby około 1 mld euro, bo Słowacja nie zdecydowałaby się na wszystkie elementy z pakietu proponowanego przez USA.

Kupno samolotów F-16 nie jest przesądzone ze względu na problem z czasem dostaw. Pierwsze „szesnastki" mogłyby zostać przekazane lotnictwu słowackiemu w 2022 roku. Tymczasem myśliwce MiG-29 mają być wycofane już do końca roku 2019. Dlatego nadal jest aktualna inna opcja, czyli zakup samolotów JAS 39 Gripen, które mogły być dostarczone po dwóch latach od zawarcia umowy. Władze w Bratysławie rozpoczęły już w 2015 roku negocjacje ze Szwedami w sprawie leasingu tych maszyn. Zwolennicy tego rozwiązania wskazują, że sąsiednie państwa – Czechy i Węgry – mają już gripeny.

Tyle że Stany Zjednoczone zaproponowały już Słowacji 46 mln dolarów na modernizację baz lotniczych Sliač i Malacky-Kuchyňa. Słowackie ministerstwo obrony twierdzi jednak, że amerykańska oferta nie ma żadnego powiązania z procedurą wyboru następcy migów. Jednocześnie w komunikacie ministerstwa obrony podkreślono, że na Słowacji nie powstanie baza US Air Force. Wcześniej, w grudniu 2017 roku pojawiła się informacja, że Stany Zjednoczone zamierzają przeznaczyć 214,2 mln dolarów na modernizację lotnisk w kilku europejskich państwach. Oprócz Słowacji są to Islandia, Norwegia, Luksemburg, Łotwa, Estonia i Rumunia.

Słowacja ma problem z zakupem trójwspółrzędnych (3D) radarów średniego zasięgu, które miały zastąpić do 2020 roku stare sowieckie P-37. Na początku 2015 roku ogłoszono przetarg na trzy tego typu urządzenia z opcją dokupienia czwartego. Dwa pierwsze miały być dostarczone już w 2016 roku, a trzeci – w 2020 roku. Minister Peter Gajdoš ogłosił jednak w kwietniu 2018 roku decyzję o anulowaniu przetargu. Stwierdził wówczas, że w ramach nowej procedury powinny być kupione też radary małe i krótkiego zasięgu.

NAJWAŻNIEJSZY WYBÓR – NASTĘPCY MYŚLIWCA MIG-29 – JEST CIĄGLE PRZED SŁOWAKAMI

WIĘCEJ POTRZEB

Pomimo znaczących inwestycji niektóre sfery są zaniedbane. Dotyczy to m.in. broni strzeleckiej. W powszechnym użyciu pozostają modele pamiętające Układ Warszawski. Pojawiły się jednak pewne symptomy zmian. W ramach wielkiego kontraktu dla służb mundurowych do wojska trafiły nowe pistolety CZ P-09 na naboje Parabellum. Już w 2014 roku przedstawiciele ministerstwa obrony informowali z kolei, że karabinki automatyczne vz.58 zostaną zastąpione przez czeską konstrukcję CZ 805 Bren kalibru 5,56 mm. Wkrótce podpisano z Českа Zbrojovką umowę na 688 karabinków i tyle samo pistoletów CZ 75. W breny przezbrojono Batalion ISTAR.

Znacznie kosztowniejsze będzie unowocześnienie obrony powietrznej. Słowacy byli zainteresowani modernizacją S-300PMU przez Rosjan. Premier Robert Fico mówił o tym na początku czerwca 2015 roku, podczas wizyty w Moskwie. Do porozumienia jednak nie doszło z powodu rosnącego napięcia w relacjach między Rosją a Zachodem. Muszą też poszukać następcy przeciwlotniczego systemu rakietowego 2K12 Kub 2M.

Słowacja wyda na modernizację sił zbrojnych miliardy euro, co pozwoli wycofać z linii wiele typów uzbrojenia i sprzętu wojskowego pochodzącego z czasów sprzed podziału Czechosłowacji. Jednostki wojsk lądowych staną się bardziej mobilne i będą dysponować większą siłą ognia. Poprawi się również ich interoperacyjność z siłami sojuszników z NATO. Unowocześnienie sił powietrznych zwiększy bezpieczeństwo i kontrolę nad słowacką przestrzenią powietrzną. Modernizacja będzie też korzystna dla słowackiego przemysłu obronnego, gdyż władze w Bratysławie chcą, aby w realizacji większości programów zbrojeniowych uczestniczyli jak najszerzej krajowi producenci, co najlepiej widać w programach pancernych. ■

70 LAT

Zakładów Chemicznych „NITRO-CHEM” S.A.

Centrum elaboracji amunicji w Polsce

NITROCHEM PGZ

Zakłady Chemiczne „NITRO-CHEM” S.A.
ul. Theodora Wulffa 18, 85-862 Bydgoszcz
nitrochem@nitrochem.com.pl
www.nitrochem.com.pl

TARGI WPISANE

TADEUSZ WRÓBEL

Organizowana na Słowacji wystawa przyciągnęła w tym roku aż 170 wystawców z 18 państw.

W dniach 16–18 maja w Bratysławie odbyła się siódma wystawa zbrojeniowa (International Defence Exhibition Bratislava – IDEB). Tradycyjnie była na niej bardzo silna reprezentacja zakładów zbrojeniowych ze Słowacji i Czech. Większość zagranicznych wystawców pochodziła z Europy Zachodniej, ale pokazały się też firmy ze Stanów Zjednoczonych, z Izraela, Kazachstanu i Brazylii. Ponadto na IDEB 2018 gościły delegacje z Polski, Francji, Czarnogóry, Turcji, Węgier, Czech, Grecji i Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

Znaczna część wystawianych produktów miała ścisły związek z planami modernizacji technicznej słowackich sił zbrojnych, zwłaszcza nierozstrzygniętym przetargiem na lekkie wielozadaniowe pojazdy opancerzone 4x4. Nie zabrakło też amerykańskiego koncernu Lockheed Martin i szwedzkiego Saaba, zabiegających o słowackie zamówienie na eskadrę samolotów wielozadaniowych.

Trochę zaskakująca była obecność na IDEB niemieckiego bojowego wozu piechoty Lynx, bo na Słowacji nie ma programu nowych pojazdów pancernych o trakcji gąsienicowej. Podczas IDEB prezentowane były uzbrojenie i sprzęt wojskowy, którymi dysponują tamtejsze siły zbrojne, w tym wyrzutnia rakietowa RM 70/85 MODULAR, armatohaubica Zuzana, zmodernizowany bojowy wóz rozpoznawczy BPsVI, śmigłowiec UH-60M i pojazd wyrzutnia rakietowego systemu obrony powietrznej S-300PMU. ■

AMZ-KUTNO

SKROMNA OBECNOŚĆ

Na tegorocznym IDEB stawiły się cztery polskie firmy. AMZ-Kutno prezentowało w Bratysławie swój wielozadaniowy pojazd opancerzony Tur V. Bezzałogowce można było zobaczyć na stoisku WB Electronics. Poza tym byli przedstawiciele kieleckiego MSPO i firmy Pagacz & Synowie. ■

KERAMETAL

Odmłodzony aligator

Przedsiębiorstwo Kerametal przedstawiło pojazd opancerzony Aligator 4x4 Master II o masie bojowej 12 t (pusty waży 8870 kg), przeznaczony dla wojsk lądowych i specjalnych, ale też policji. Wóz może być z trzy- lub pięciodrzwiową kabiną. Pancerz ma zapewniać ochronę balistyczną na poziomach 1–3 STANAG 4569 oraz przeciwminową na poziomie 2b. Aligatora wyposażono w silnik wysokoprężny o mocy 252 KM z turbodoładowaniem i automatyczną skrzynię biegów. Pojazd może się poruszać z prędkością 130 km/h. Producent podaje, że zasięg wynosi minimum 700 km. ■

W PLAN

KONŠTRUKTA DEFENCE

Nowa [EVA]

Na targach zaprezentowano nowy wariant armatohaubicy kalibru 155 mm/52 zamontowanej na podwoziu ciężarówki.

Tym razem ulokowano ją na ośmiokołowej tatrze T815-7. Jako napęd zestawu zastosowano silnik wysokoprężny z turbodoładowaniem chłodzony powietrzem Tatra T3C-928.90 o mocy 408 KM. Dodatkowo zamontowano pomocniczą jednostkę napędową. W porównaniu z prezentowaną po raz pierwszy w 2015 roku wersją, inna jest też opancerzona kabina dla trzyosobowej obsługi. Zmiana podwozia spowodowała wzrost masy zestawu do 28 t. ■

COMPEL INDUSTRIES

Robot zwiadowczy

Firma Compel Industries prezentowała systemy bezzałogowe lądowe i powietrzne. Pierwszym z nich był wielozadaniowy robot, zdalnie sterowany pojazd UGV-150 4x4 przeznaczony do misji ISTAR. Pusty waży 30 kg, ale jego masa operacyjna to aż 150 kg. Jest to pojazd o napędzie elektrycznym. Przy w pełni załadowanym akumulatorze może działać dwie godziny. Jego zasięg na otwartej przestrzeni wynosi 3 km, ale w terenie zurbanizowanym jest pięciokrotnie mniejszy. UGV-150 może się poruszać z maksymalną prędkością 16 km/h. W jego wyposażeniu są m.in. kamery: dzienna TV, podczerwieni FLIR i z obiektywem „rybie oko". ■

COMPEL INDUSTRIES

Bojowy predator

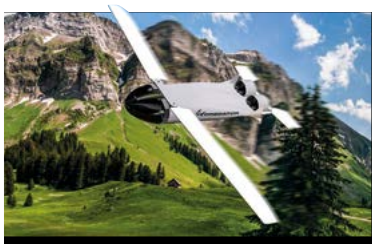

Compel Industries opracowała bojowy predator AX-1. Jest to lekki, startujący z ustawionej pionowo tuby, dron uderzeniowy przeznaczony do atakowania celów naziemnych, w tym pojazdów pancernych i czołgów starszej generacji. Sercem słowackiego predatora jest głowica w opcjach: bojowej, kumulacyjnej lub termobarycznej. Dron o masie startowej 10 kg może poruszać się ze stałą prędkością 130 km/h (maksymalna 250 km/h). Jego zasięg operacyjny może sięgać 20 km. ■

SYSTEM TROPHY jest seryjnie instalowany na merkawach Mk 4 i namerach.

ANDRZEJ PAWŁOWSKI

Niezniszczalny pancerz

Światowe mocarstwo mające za sobą kampanie w Afganistanie i Iraku powinno mieć własny, niezawodny aktywny system ochrony pojazdów.

Ewolucja pola walki i pojawienie się konfliktów asymetrycznych wymuszają na państwach unowocześnienie sprzętu wojskowego, w tym pojazdów opancerzonych. W tej dziedzinie podstawowym problemem jest zapewnienie bezpieczeństwa załodze. Można to zrobić poprzez montaż tradycyjnego pancerza, dodawanie ochrony reaktywnej, wykładzin antyodłamkowych albo wyposażenie pojazdu w aktywny system obrony. Rozwój tradycyjnych pancerzy wydaje się jednak mało perspektywiczny. Dodawanie do nich kolejnych bloków powoduje, że zwiększa się masa pojazdów, co niekorzystnie wpływa na ich mobilność na polu walki. I nie można tego robić w nieskończoność.

Dlatego potrzebne są aktywne systemy obrony pojazdu (ASOP), i to pilnie. W ostatnich latach wzrosła intensywność działań wojennych na terenach górzystych, zurbanizowanych, pustynnych i dlatego załogi czołgów oraz transporterów opancerzonych potrzebują ochrony na wysokim poziomie. W takim środowisku walki atak może przyjść z każdego kierunku i dosięgnąć najbardziej wrażliwego elementu wozu. Ważne są zatem detekcja momentu i miejsca odpalenia pocisku, klasyfikacja zagrożenia i analiza jego wpływu na chroniony pojazd.

Systemy obrony aktywnej dzielimy na dwie grupy: „hard-kill" niszczą nadlatujący pocisk za pomocą własnego antypocisku, a „soft-kill" skupiają się na zakłóceniu jego systemu naprowadzenia. Oba rodzaje mają na celu obronę przed takimi zagrożeniami, jak pociski wystrzelone z ręcznych granatników przeciwpancernych, kumulacyjne, przeciwpancerne, artyleryjskie i moździerzowe, ognia pośredniego lub kierowanych pocisków z platform powietrznych. Dostępne są również systemy łączące właściwości obu grup. Podstawowym celem ASOP jest bowiem zapobieganie wykryciu i namierzeniu pojazdu na polu walki, a w dalszej kolejności jego trafieniu.

IZRAELSKI POMYSŁ

W ostatnim czasie amerykańskie siły zbrojne przywiązują coraz większą wagę do wyposażania czołgów i transporterów opancerzonych w aktywne systemy obrony. W oczekiwaniu na rodzime rozwiązanie z prawdziwego zdarzenia korzysta się z osiągnięć izraelskiego sojusznika. W ramach pilnej potrzeby operacyjnej w toku jest proces

przystosowywania czołgów M1A2 Abrams SEPv2 do systemu Trophy HV (ASPRO-A).

Kiedy Amerykanie szukali systemu do zainstalowania na czołgach M1 Abrams, Trophy wydawał się niekwestionowanym liderem. Po pierwsze, był jedynym systemem dostępnym od ręki, bez konieczności czekania na opracowanie nowej propozycji. Po drugie, to jedyny system tej klasy, którego z powodzeniem użyto w warunkach bojowych. Wprowadzony został do uzbrojenia Sił Obronnych Izraela w 2009 roku, a dwa lata później sprawdził się już na polu walki. Podczas operacji „Ochronny brzeg" w Strefie Gazy w lipcu 2014 roku zbierał pozytywne oceny za przechwytywanie pocisków Kornet. Teraz jest seryjnie instalowany na merkawach Mk 4 i namerach.

Abramsy uzbrojone w system Trophy mają trafić na wschodnią flankę NATO. Pentagon zdecydował, że pierwsza brygada czołgów M1A2 Abrams SEPV2 wyposażona w izraelski system pojawi się w Europie już w 2020 roku. Dzięki niemu tamtejsze wojska lądowe po raz pierwszy uzyskają możliwość fizycznego niszczenia wrogich pocisków przeciwpancernych. Amerykanie myślą przede wszystkim o uzbrojeniu rosyjskim, w tym ppk Kornet i Ataka, które są przenoszone przez śmigłowce uderzeniowe Mi-28N i Ka-52. Szacuje się, że w kolejnym roku budżetowym znajdą się finanse na wyposażenie 261 czołgów M1 Abrams, czyli trzech brygad pojazdów. W tegorocznym budżecie alokowano wydatki na 87 takich zestawów.

TROPHY BYŁ JEDYNYM SYSTEMEM DOSTĘPNYM OD RĘKI, BEZ KONIECZNOŚCI CZEKANIA NA OPRACOWANIE NOWEJ PROPOZYCJI

Priorytetem była ochrona abramsów, bo na zapewnienie bezpieczeństwa pasażerom transporterów brakowało funduszy. Docelowo jednak w grę mogą jeszcze wchodzić dwa systemy: izraelski Iron Fist i amerykański Iron Curtain. Pierwszy z nich jest przewidziany dla bradleyów, drugi zaś dla strykerów. Prace nad Iron Curtain trwają od 2004 roku, a w 2013 system przeszedł testy, które miały być przepustką do montażu na amerykańskich transporterach. Decyzję odwleczono jednak jeszcze o trzy lata, a na poważnie pomyślano o jego wykorzystaniu na strykerach. Wcześniej istniały plany instalacji tego systemu na wozach bojowych z rodziny ground combat vehicle, ale po anulowaniu programu w 2014 roku się nie powiodły. Rozpatrywano również szeroki projekt montażu tego systemu na pojazdach Humvee i M-ATV.

W październiku 2017 roku jeden stryker z systemem Iron Curtain został poddany testom na poligonie Aberdeen Proving Ground w stanie Maryland, drugi zaś na poligonie Redstone Arsenal w Huntsville, w stanie Alabama. W styczniu okazało się jednak, że program instalacji ASOP na strykerach i bradleyach ulegnie kolejnym opóźnieniom. Szacuje się, że przesunięcie harmonogramu może sięgnąć nawet sześciu, ośmiu miesięcy. Jako przyczynę wskazano problemy z radarami i oprogramowaniem.

ROZWIĄZANIE POMOSTOWE

Waszyngton nie chce się uzależniać od Izraela i planuje, że zakup tamtejszych aktywnych systemów obrony będzie jedynie rozwiązaniem przejściowym, które wypełni lukę do czasu opracowania własnego, w pełni skutecznego systemu. Jest to najłatwiejszy sposób na załatanie dziury, tym bardziej że Amerykanie mają możliwość skorzystania z uprzywilejowanej pozycji w stosunkach ze swoim najwierniejszym sojusznikiem. Koszt montażu systemu Trophy na jednym abramsie szacowany jest na kwotę 350–500 tys. dolarów.

Może jednak dziwić fakt, że amerykański przemysł obronny do tej pory nie poradził sobie z opracowaniem w pełni sprawnego aktywnego systemu obrony pojazdów, tak jak to zrobili Rosjanie, produkując arienę i drozda, lub właśnie Izraelczycy, którzy obok popularnego systemu Trophy mają jeszcze Iron Fist, który również oferują do sprzedaży za granicę. Wybrali go m.in. Holendrzy do montażu na pojazdach CV9035NL.

Amerykanie nie poradzili sobie z tym przez ponad 20 lat, choć plany opracowania aktywnej obrony sięgają jeszcze bardziej zamierzchłych czasów – wojny koreańskiej. Projekty badawczo-rozwojowe nigdy nie wychodziły jednak poza fazę wstępną. Dlatego w oczekiwaniu na modułowy system obrony aktywnej MAPS pojawiła się konieczność sięgnięcia po zagraniczne rozwiązania. US Army Tank-Automotive Research, Development and Engineering Center zamierza bowiem opracować w pełni rodzimy system, ale szacuje się, że jego wprowadzenie do służby może zająć nawet dziesięć lat. Z jego dobrodziejstw miałoby skorzystać wiele pojazdów wojsk lądowych i piechoty morskiej różnych rodzajów i typów, w tym abramsy, bradleye, strykery, a także pojazdy L-ATV.

System będzie działał na zasadzie „podłącz i używaj". Modułowość i otwarta architektura mają zapewnić łatwość montażu na pojeździe całego zestawu, a także poszczególnych elementów – w ten sposób powstaną wersje odchudzone w zależności od potrzeb operacyjnych. MAPS ma być jednak prawdziwym cudem techniki, chodzi bowiem o to, aby rozwiązać wiele problemów amerykańskich sił zbrojnych odnośnie do aktywnej ochrony pojazdów oraz dotrzymać kroku Rosjanom i Chińczykom. ■

Grupa Lubawa – 67 lat w służbie na rzecz bezpieczeństwa Ojczyzny

Żyjemy w czasach, w których ogólnie pojmowane bezpieczeństwo, a także zapewnienie ochrony granic i terytoriów jest jednym z zasadniczych priorytetów każdego państwa. Lubawa SA ma 67-letnie doświadczenie w opracowaniu, produkcji i dostawie produktów oraz technologii gotowych sprostać tym celom.

HISTORIA SPÓŁKI

W 1951 roku powołano przedsiębiorstwo państwowe Wschodnie Zakłady Przemysłu Lniarskiego, produkujące konfekcję techniczną dla Ministerstwa Obrony Narodowej, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Państwowej Straży Pożarnej. Rok później, decyzją ministra przemysłu lekkiego, Wschodnie Zakłady weszły w skład przedsiębiorstw zrzeszonych w Centralnym Zarządzie Konfekcji Technicznej w Warszawie i przyjęły nazwę Lubawskie Zakłady Konfekcji Technicznej. W roku 1994 przekształcono Przedsiębiorstwo Państwowe Lubawskich Zakładów Konfekcji Technicznej w Lubawie w jednoosobową spółkę Skarbu Państwa pod nazwą Zakłady Konfekcji Technicznej „Lubawa" Sp. z o.o., a dwa lata później spółka zadebiutowała na GPW w Warszawie.

Kolejne lata to okres intensywnego rozwoju i poszerzania oferty o nowe technologie. W roku 2011 powstaje Grupa Kapitałowa Lubawa, koncern produkcyjno-usługowy, obejmujący dynamicznie rozwijające się spółki, wśród których podmiotem dominującym jest Lubawa SA. Uruchomiono także oddziały na terenie Armenii oraz USA. Obecnie Grupa Lubawa to sześć zakładów produkcyjnych i ponad 1500 zatrudnionych w niej profesjonalistów, a jej produkty dostarczane są do ponad 40 krajów.

LUBAWA SA DZIŚ

Dzięki swemu doświadczeniu Lubawa SA zasłużyła na miano eksperta w dziedzinie produkcji szeroko pojętego wyposażenia indywidualnego, dostosowanego do współczesnego pola walki. Wyposażenie od Lubawa SA chroni życie reporterów, funkcjonariuszy służb mundurowych i specjalnych oraz osób pełniących najważniejsze funkcje w strukturze Rzeczypospolitej Polskiej.

Lubawa SA jest także producentem zaawansowanego wyposażenia przeznaczonego do kamuflowania i pozoracji działań, takiego jak makiety pneumatyczne czy wielozakresowe pokrycia maskujące. Wśród oferowanych przez Lubawa SA produktów znajduje się również kamuflaż mobilny, a także osłony balistyczne na pojazdy. Lubawa SA proponuje również zabezpieczenie przeciwchemiczne w formie kombinezonów czy kabin dekontaminacyjnych.

Lubawa SA dostarcza także namioty i specjalistyczne bazy namiotowe oraz wielkogabarytowe mobilne hangary. Dzięki szerokiej ofercie, Lubawa SA aktywnie uczestniczy w innowacyjnych projektach. Wchodzi również w skład założycieli Klastra Ratownictwa.

Produkty Lubawa SA wielokrotnie sprawdziły się w warunkach ekstremalnego zagrożenia, dowodząc tym samym wysokiej jakości. ■

RAFAŁ CIASTOŃ

Od jastrzębia do concorde'a

Wsiewołod Jan Jakimiuk urodził się w roku 1902 w Kożynie na Podlasiu, w rodzinie popa. Po skończeniu szkoły średniej w 1920 roku rozpoczął studia matematyczne na Uniwersytecie im. Stefana Batorego, po których przez dwa lata pracował jako nauczyciel w Wilnie. W 1927 roku wyjechał do Francji, aby studiować na paryskiej École Nationale Supérieure d'Aéronautique oraz na Sorbonie, gdzie w 1929 roku uzyskał dyplom inżyniera lotnictwa i licencję de l'aéronautique général. Po powrocie do kraju podjął pracę w Państwowych Zakładach Lotniczych, dołączając do zespołu Zygmunta Puławskiego, by po tragicznej śmierci konstruktora objąć po nim kierownictwo. Nadzorował skierowanie do produkcji seryjnej myśliwców PZL P-7 oraz P-11, opracował także produkowany wyłącznie na eksport P-24.

Pracując jednocześnie w charakterze wykładowcy na Politechnice Warszawskiej (1936–1938), Jakimiuk projektował pierwszy polski samolot pasażerski PZL-44 Wicher. Mimo że oblatana w 1938 roku konstrukcja otrzymała pozytywną ocenę, nie weszła do produkcji seryjnej, czego powodem była zarówno wysoka cena planowanych zaledwie dziesięciu egzemplarzy, jak i obłożenie zakładów PZL wytwarzaniem na potrzeby wojska. Do linii produkcyjnej nie zdążyły trafić także: myśliwiec PZL P-50 Jastrząb (konstruktor odszedł tu od układu górnopłata zastrzałowego, który to szczyt swoich możliwości osiągnął właśnie w postaci P-24) ani tym bardziej jego zaawansowana modyfikacja – wyposażony w silnik rzędowy myśliwiec P-56 Kania, czy też w końcu P-53 (prawdopodobnie oznaczany również jako P-63) Jastrząb II.

Po wybuchu wojny Jakimiuk wraz z kadrą PZL-u ewakuował się do Rumunii, a następnie do Francji, by podjąć pracę w zakładach lotniczych Société Nationale des Constructions Aéronautiques du Sud Est (SNCASE), a w maju 1940 roku nawiązał kontakt, a następnie współpracę z kanadyjskim oddziałem brytyjskiej wytwórni De Havilland. Do Kanady trafił jeszcze latem tego samego roku i w tamtejszym oddziale De Havillanda, do którego udało mu się ściągnąć wielu polskich inżynierów, uruchomił produkcję samolotów szkolnych. Pracował także nad modyfikacjami poszczególnych elementów samolotów tej klasy, a w 1942 roku uruchomił również produkcję słynnego nocnego myśliwca i lekkiego bombowca DH-98 Mosquito. Pod koniec wojny był współprojektantem szkolnej maszyny DHC-1 Chipmunk oraz lekkiego transportowca DHC-2 Beaver.

Wkrótce po zakończeniu II wojny światowej inż. Jakimiuk powrócił do Europy, początkowo do Wielkiej Brytanii, gdzie kontynuował prace w wytwórni De Havilland (od 1948 roku), uczestnicząc m.in. w opracowaniu morskiej wersji myśliwca DH-112 Sea Venom. W 1951 roku zamieszkał we Francji. Powrócił do wytwórni SNCASE. Był jednym z dyrektorów do spraw handlowych, uczestniczących w budowie ponaddźwiękowego samolotu pasażerskiego Concorde. Na emeryturę odszedł w 1972 roku, pozostając konsultantem techniczno-ekonomicznym koncernu Aérospatiale. Zmarł w 1991 roku w Paryżu, gdzie został również pochowany. ■

RAFAŁ CIASTOŃ jest doktorantem Akademii Sztuki Wojennej, ekspertem Fundacji im. Kazimierza Pułaskiego.

TOMASZ OTŁOWSKI

Szalony PLAN GHANIEGO!

Czy prezydent **Afganistanu** rozpaczliwie dąży do zawarcia za wszelką cenę pokoju z talibami?

CIA PAK/UN

Istnieją opinie, że rząd Ghaniego celowo ogłosił swój plan w chwili, gdy Kabulem wstrząsały największe od miesięcy ataki i zamachy, bo w ten sposób chciał podjąć skomplikowaną rozgrywkę polityczną z Ruchem Talibów.

Rok 2018 nie zaczął się dla Afganistanu i jego mieszkańców pomyślnie. W styczniu i lutym doszło do serii krwawych zamachów terrorystycznych i ataków, w których zginęły dziesiątki osób, w większości cywilów. Wszystko to miało miejsce jeszcze w trakcie tradycyjnej zimowej pauzy operacyjnej, podczas której zawiesza się większe operacje militarne. To, że talibowie i ekstremiści z Państwa Islamskiego (IS) po raz kolejny nie dostosowali się do tej prastarej afgańskiej tradycji, niezbyt dobrze rokowało, jeśli chodzi o ich aktywność na wiosnę, kiedy formalnie doszło do wznowienia działań militarnych pod Hindukuszem.

Tegoroczna ofensywa Talibanu już na starcie objęła praktycznie wszystkie spośród 34 afgańskich prowincji.

I rzeczywiście, wraz z nastaniem wiosny wydarzenia polityczne i militarne w Afganistanie znacząco przyspieszyły. W kwietniu 2018 roku talibowie oficjalnie ogłosili podjęcie tegorocznej ofensywy, nadając jej wymowny kryptonim „Al Khandaq" (od nazwy bitwy o Medynę w 627 roku, w której szczupłe siły proroka Mahometa pokonały znacznie liczniejszych przeciwników z lokalnych plemion beduińskich, co dało początek żywiołowemu rozwojowi islamu). W tym roku osią talibskiej strategii jest dążenie do opanowania i przejęcia kontroli nad obszarami wiejskimi. Tam, gdzie to jednak możliwe, siły Talibanu nie wahają się wkroczyć do większych miejscowości, w tym stolic dystryktów, z powodzeniem przeprowadzają też spektakularne zamachy i operacje partyzanckie w największych miastach, Kabulu nie wyłączając. Innym nowym elementem tegorocznej operacji Ruchu Talibów jest dążenie do skupienia wysiłku operacyjnego na zwalczaniu sił międzynarodowych (głównie natowskiej operacji „Resolute Support") i afgańskich wojsk rządowych, przy unikaniu strat wśród ludności cywilnej, co ma odróżnić ich akcje od ataków podejmowanych przez Państwo Islamskie (IS).

MOC I SIŁA TALIBANU

Już w pierwszych tygodniach operacji „Al Khandaq" rebeliantom udało się przejąć inicjatywę i zepchnąć siły rządowe do defensywy. W maju talibowie zajęli m.in. dwa kolejne dystrykty w prowincji Ghazni. Tak jak w innych podobnych, niepokojąco licznych sytuacjach, miejscowe jednostki armii afgańskiej (Afghan National Army – ANA) ustąpiły tam pola rebeliantom niemal bez walki, a wielu żołnierzy poddało się lub zdezerterowało. Na nic zdały się buńczuczne oświadczenia władz w Kabulu, że oto po raz pierwszy w historii ANA wszystkich jej sześć korpusów prowadzi równocześnie ofensywne działania bojowe przeciwko rebeliantom. Szybko okazało się to jedynie propagandowym humbugiem, bo talibowie metodycznie, średnio co kilka dni, zdobywali kolejne bazy sił rządowych, miasteczka, a nawet całe dystrykty z ich stolicami. A formacje afgańskiej armii, szkolone od kilkunastu lat tytanicznym wysiłkiem zachodnich sojuszników i przy gargantuicznych wręcz nakładach finansowych, zadziwiająco szybko łamią się i oddają pola pod niewielkim nawet naporem talibów. Tak się dzieje w różnych regionach Afganistanu, bo tegoroczna ofensywa Talibanu już na starcie objęła praktycznie wszystkie spośród 34 afgańskich prowincji. Taka skala świadczy o ich zdolnościach operacyjnych i determinacji. Według szacunków Amerykanów talibowie mają teraz pod bronią rekordową liczbę około 60 tys. bojowników. Warto zauważyć, że wszystko dzieje się kilka miesięcy po znaczącym zaostrzeniu amerykańskiej strategii wobec wojny w Afganistanie, zakładającym m.in. zwiększenie liczby żołnierzy USA na teatrze działań (obecnie już ponad 14 tys.) oraz intensyfikację operacji

AFP/SHAH MARAI/EAST NEWS

Miejsce zamachu samobójczego przed Uniwersytetem w Kabulu 21 marca 2018 roku. Zginęło co najmniej 26 osób, w tym wielu nastolatków. Afgańczycy tego dnia wyszli na ulice, aby uczcić święto perskiego Nowego Roku.

W JAKICHKOLWIEK ROZWAŻANIACH NAD PERSPEKTYWAMI ROZMÓW Z TALIBANEM KLUCZOWĄ ROLĘ POWINNA ODGRYWAĆ KWESTIA ZWIĄZKÓW TEGO RUCHU Z Al-Kaidą

z udziałem lotnictwa bojowego, którego celami stały się teraz także pola makowe i ośrodki produkcji opiatów.

Nic więc dziwnego, że w tak trudnych realiach mało kto z uwagą pochylił się nad ogłoszonym w lutym 2018 roku przez afgańskiego prezydenta Aszrafa Ghaniego szczegółowym planem pokojowym dla nękanego od ponad 40 lat wojną kraju. Projekt ten, przedstawiony oficjalnie podczas kolejnego spotkania państw zaangażowanych w tzw. proces kabulski – inicjatywę na rzecz pojednania narodowego i pokoju w Afganistanie – przewiduje m.in. zawieszenie broni, amnestię dla talibów i uznanie ich za ruch polityczny (partię), z prawem pełnego udziału w życiu politycznym.

Organizacja Hezb-e-Islami Gulbuddin (HIG), którą kieruje Gulbuddin Hekmatiar, weteran wojen w Afganistanie, była ponoć mediatorem rozmów między talibami a rządem w Kabulu.

Większość światowej opinii publicznej uznała tę informację za ciekawostkę w rodzaju słynnej ubiegłorocznej „oferty pokojowej" talibów, sformułowanej w ich buńczucznym liście do prezydenta USA. Propozycja Ghaniego nie mogła bowiem zostać ogłoszona w gorszym momencie. Sukcesy militarne Talibanu już w pierwszych tygodniach ofensywy „Al Khandaq" oraz zatrważająca słabość afgańskich sił bezpieczeństwa każą interpretować plan Ghaniego głównie jako przejaw słabości afgańskich władz.

Co zatem skłoniło prezydenta do przedstawienia tej kontrowersyjnej oferty w chwili, gdy na ulicach Kabulu jeszcze nie uprzątnięto śladów krwi po fali styczniowych zamachów, →

ERIC KANALSTEIN/UN

ROK 2018 NIE ZACZĄŁ SIĘ DLA AFGANISTANU I JEGO MIESZKAŃCÓW POMYŚLNIE. CZY PLAN GHANIEGO JEST SZANSĄ NA STABILIZACJĘ W TYM KRAJU?

a w kraju już faktycznie trwała wiosenna ofensywa Talibanu? Czyżby jego wystąpienie przygotowywane było dużo wcześniej, z założeniem, że początek roku 2018 będzie względnie spokojny? Ale nawet jeśli tak było, to przecież prezydent mógł zrezygnować z publikowania swego planu i poczekać na stosowny moment. Czemu naraził siebie na podejrzenia o poszukiwanie pokoju z wrogiem za wszelką cenę? Nie uda się zapewne uzyskać odpowiedzi na te pytania. Jedno nie ulega wątpliwości: oferta władz w Kabulu, idąca na rękę talibskiej zbrojnej opozycji, całkowicie rozminęła się z realiami operacyjnymi i strategicznymi afgańskiej wojny.

Istnieją jednak opinie, że rząd Ghaniego celowo ogłosił swój plan w chwili, gdy Kabulem wstrząsały największe od miesięcy ataki i zamachy, bo w ten sposób chciał podjąć skomplikowaną rozgrywkę polityczną z Ruchem Talibów. Jej osią miałoby być wykorzystanie nasilających się od pewnego czasu podziałów politycznych i waśni personalnych wewnątrz Talibanu, a także trwających od kilku miesięcy nieformalnych kontaktów Kabulu z różnymi frakcjami zbrojnej opozycji. Trudno ocenić, w jakim stopniu taka gra jest możliwa i czy przyniesie efekty inne niż wprowadzenie medialnego chaosu.

Faktem jest, że ostatnie kilkanaście miesięcy obfitowało w doniesienia o nieformalnych kontaktach Kabulu z talibami. W styczniu 2018 roku część mediów afgańskich (zazwyczaj bardzo dobrze poinformowanych o kulisach działania rządu) donosiła o tajnym spotkaniu emisariuszy biura politycznego talibów z wysłannikami Kabulu w Katarze. Potem do podobnych spotkań doszło w zaciszu gabinetów tureckiego wywiadu wojskowego w Ankarze, co – na marginesie – rzuca nowe światło na szybko rosnące ambicje mocarstwowe Turcji. Pośrednikiem i mediatorem miała być w tym przypadku organizacja Hezb-e-Islami Gulbuddin (HIG), jeden z głównych filarów zbrojnej afgańskiej opozycji, kierowana przez Gulbuddina Hekmatiara, weterana wojen w Afganistanie. Co ciekawe, niedawno HIG była często zażartym oponentem Ruchu Talibów. Dzisiaj, w obliczu istnienia po stronie antyrządowej opozycji nowego – brutalnego i nieprzejednanie antytalibskiego – gracza w postaci IS, skłócone od lat frakcje afgańskiej rebelii zdają się ocieplać wzajemne relacje.

SKAZY NA MONOLICIE

Coraz gorzej dzieje się za to w samym Talibanie. Zarysowane za czasów nieżyjącego już mułły Omara, pierwszego lidera Islamskiego Emiratu Afganistanu, linie podziałów w ugrupowaniu nie tylko nie zanikły po sukcesach na frontach wojny z Kabulem i „niewiernymi" z Zachodu, ale wręcz przeciwnie – stają się coraz wyraźniejsze. O ile jednak Mohammad Omar, a także jego sukcesor mułła Mohammad Mansour trzymali swych podkomendnych twardą ręką, o tyle Taliban pod słabym przywództwem obecnego emira Hajbatullaha Ahundzadeha w niczym już nie przypomina w miarę jednolitej formacji sprzed dziesięciu lat. Ruch talibów stał się raczej federacją kilkunastu grup i partii, które często realizują swe własne, lokalne interesy w tym regionie kraju,

Abdullah Abdullah kategorycznie sprzeciwia się jakimkolwiek ustępstwom wobec rebeliantów i rozmowom pokojowym.

gdzie są aktywne. Zdarza się jednak, że owe interesy są sprzeczne z tymi, które są ważne dla szury z Kwety, czyli najwyższego ciała decyzyjnego Talibanu. Bywa i tak, że jakaś grupa opuszcza szeregi talibów i działa na własną rękę. Tacy renegaci często wchodzą w otwarty konflikt z dawnymi towarzyszami broni.

Można śmiało założyć, że gdyby nie wciąż ważny dla większości polowych komendantów wspólny strategiczny zamiar Ruchu, czyli obalenie władz w Kabulu i wypędzenie z kraju obcych interwentów, Taliban już dawno rozpadłby się na zwalczające się frakcje. W tym sensie ich ostateczne zwycięstwo może się stać źródłem poważnych problemów: rywalizacji o władzę i wpływy, a w rezultacie rozbicia i upadku znaczenia całego ruchu. Byłaby to niemal kalka wydarzeń sprzed trzech dekad, kiedy zwycięscy mudżahedini po wypędzeniu z kraju Armii Czerwonej natychmiast rzucili się sobie do gardeł, walcząc o władzę w Kabulu. Teraz jednak coraz wyraźniej zauważalne rozluźnienie szeregów Talibanu sprawia, że jakiekolwiek rozmowy pokojowe stają się karkołomnym zadaniem. Trudno bowiem zorientować się do końca, kto stoi po drugiej stronie i czy negocjacje nie będą jedynie rozmową z jakąś zbuntowaną frakcją.

Oficjalne stanowisko talibów wobec negocjacji z władzami w Kabulu pozostaje od lat niezmienne – członkowie szury z Kwety i kolejni emirowie Talibanu podkreślają, że nie będą rozmawiać z marionetkowym rządem afgańskim, a partnerem do dyskusji są tylko Amerykanie. I to tylko wtedy, kiedy w Kabulu zasiądzie emir Talibanu. Tematem tych rozmów może być natomiast wyłącznie zadośćuczynienie przez Zachód narodowi afgańskiemu „za lata cierpień i zniszczenia".

Informacje o nieformalnych kontaktach obu stron sugerują, że być może część dowódców polowych i liderów Talibanu dopuszcza podjęcie w jakiejś formie dialogu politycznego z Kabulem. Na razie jednak jako całość są przekonani, że mogą rozstrzygnąć tę wojnę militarnie, a nie przez osiągnięcie kompromisu politycznego w zaciszu dyplomatycznych gabinetów w Islamabadzie, Dausze czy Ankarze. Wydarzenia ostatnich miesięcy na frontach afgańskiej wojny wskazują, że jest dużo racji w ich sposobie rozumowania.

NIEPOŻĄDANY POKÓJ

Czynnikiem, który niewątpliwie należy uwzględnić w analizie dotyczącej perspektyw ewentualnych rozmów pokojowych w Afganistanie, jest również zaangażowanie (rzadko kiedy konstruktywne) w tym kraju państw ościennych i mocarstw. Pakistan, Iran, Indie, Rosja, a nawet Chiny, od lat są aktywne na afgańskiej scenie. Dla większości z nich perspektywa rychłego zakończenia konfliktu w tym regionie w drodze politycznego porozumienia między Kabulem (i pośrednio Zachodem, z USA na czele) a zbrojną opozycją jest scenariuszem nie do przyjęcia. Z perspektywy tych państw afgański dramat ma trwać, angażując siły i środki rywali zarówno regionalnych, jak i z Zachodu.

Nie bez znaczenia dla powodzenia przyszłych rozmów pokojowych z Talibanem jest także kwestia coraz wyraźniej zauważalnych różnic w łonie samego obozu rządowego. Dawne waśnie i spory między prezydentem Aszrafem Ghanim a szefem egzekutywy rządowej (odpowiednik premiera) Abdullahem Abdullahem nie zniknęły. Jak wynika z informacji pochodzących z dobrze poinformowanych źródeł w Kabulu, Abdullah – jako weteran oporu wobec talibów z końca lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia i jeden z ówczesnych liderów słynnego Sojuszu Północnego – kategorycznie sprzeciwia się jakimkolwiek ustępstwom wobec rebeliantów i rozmowom pokojowym. Można się więc tylko domyślać, że Ghani najprawdopodobniej nie konsultował z Abdullahem szczegółów swej najnowszej oferty pokojowej dla talibów.

W jakichkolwiek rozważaniach nad perspektywami rozmów z Talibanem kluczową rolę powinna odgrywać kwestia związków tego ruchu z Al-Kaidą, zwłaszcza z jej tzw. centralą, czyli głównymi politycznymi i militarnymi ośrodkami kierowniczymi, działającymi na afgańsko-pakistańskim pograniczu. Niestety, z wielu względów tak się nie dzieje i nawet sami Amerykanie – skupieni na zwalczaniu Państwa Islamskiego – zdają się przechodzić do porządku dziennego nad coraz liczniejszymi alarmistycznymi doniesieniami o szybkim odtwarzaniu przez Al-Kaidę potencjału organizacyjno-logistycznego na terytorium afgańskim. Proces ten zaczął się jeszcze przed końcem operacji ISAF, ale po 2014 roku nabrał przyspieszenia i teraz szacuje się, że Al-Kaida ma już w Afganistanie – za wiedzą i zgodą talibów oraz w pełnej z nimi współpracy – rozbudowaną infrastrukturę, w tym kilka dużych baz i obozów szkoleniowych.

Ważniejsze w tym kontekście są jednak związki polityczne i organizacyjne między talibami a Al-Kaidą. Jej lider Ajman az-Zawahiri złożył w 2015 roku emirowi talibów tradycyjną deklarację wierności i posłuszeństwa, a obecny zastępca przywódcy Talibanu Siradż Hakkani jest jednocześnie członkiem ścisłego kierownictwa Al-Kaidy. Również wielu komendantów polowych afgańskich talibów jest też oficerami w centrali lub członkami lokalnego odgałęzienia tej organizacji – Al-Kaidy Subkontynentu Indyjskiego (Al-Qaeda of the Indian Subcontinent – AQIS).

W realiach afgańskich trudno zatem wyobrazić sobie scenariusz pokojowego uregulowania konfliktu. ■

MICHAŁ ZIELIŃSKI

AS ZE ZNACZONEJ TALII KART

Szyicki duchowny znany jest z mrocznej przeszłości i bezprecedensowych decyzji. Jego zwycięstwo w wyborach parlamentarnych może odmienić losy Iraku, ale także przyczynić się do kolejnej wojny.

Na fotografii z dnia wyborów Muktada as-Sadr pozuje z iracką flagą, demonstrując ubrudzony tuszem palec. Na obliczu Irakijczyka trudno znaleźć choćby ślad po srogim spojrzeniu, a zwykle zaciśnięte usta układają się w lekki uśmiech. Podobnie jak cały Irak od czasu interwencji Amerykanów z 2003 roku, szyicki duchowny przeszedł długą drogę. Dzięki podejmowanym decyzjom nie tylko zyskał wierne grono zwolenników, lecz także został zaliczony w poczet najbardziej wpływowych ludzi na świecie (ranking magazynu „The Times" z 2008 roku). Ostatecznie zmysł polityczny umożliwił mu stworzenie koalicji As-Sairun, która zdobyła 54 z 329 mandatów i tym samym wygrała majowe wybory. Mimo że wynik ten nie pozwala na samodzielne rządzenie, doprowadził do niespodziewanego przetasowania kart. Nie oznacza to jednak, że do stołu zasiedli nowi gracze. Irackie wybory parlamentarne z 12 maja 2018 roku niosły ze sobą nadzieję, ale budziły także wiele kontrowersji. Głosowanie powinno odbyć się kilka miesięcy wcześniej, ale zostało przesunięte ze względu na wojnę z tzw. Państwem Islamskim oraz następstwa referendum autonomicznego w irackim Kurdystanie. As-Sadr bezbłędnie wykorzystał ten czas. W swoim programie wyborczym obiecywał przede wszystkim walkę z korupcją oraz minimalizację wpływów zewnętrznych, w tym Iranu i Stanów Zjednoczonych. Jednocześnie stworzona przez niego koalicja miała rządzić ponad podziałami religijnymi oraz roztoczyć opiekę nad mniejszościami.

Obserwatorzy irackiej sceny politycznej słusznie zauważali rozbieżność między tymi postulatami a przeszło-

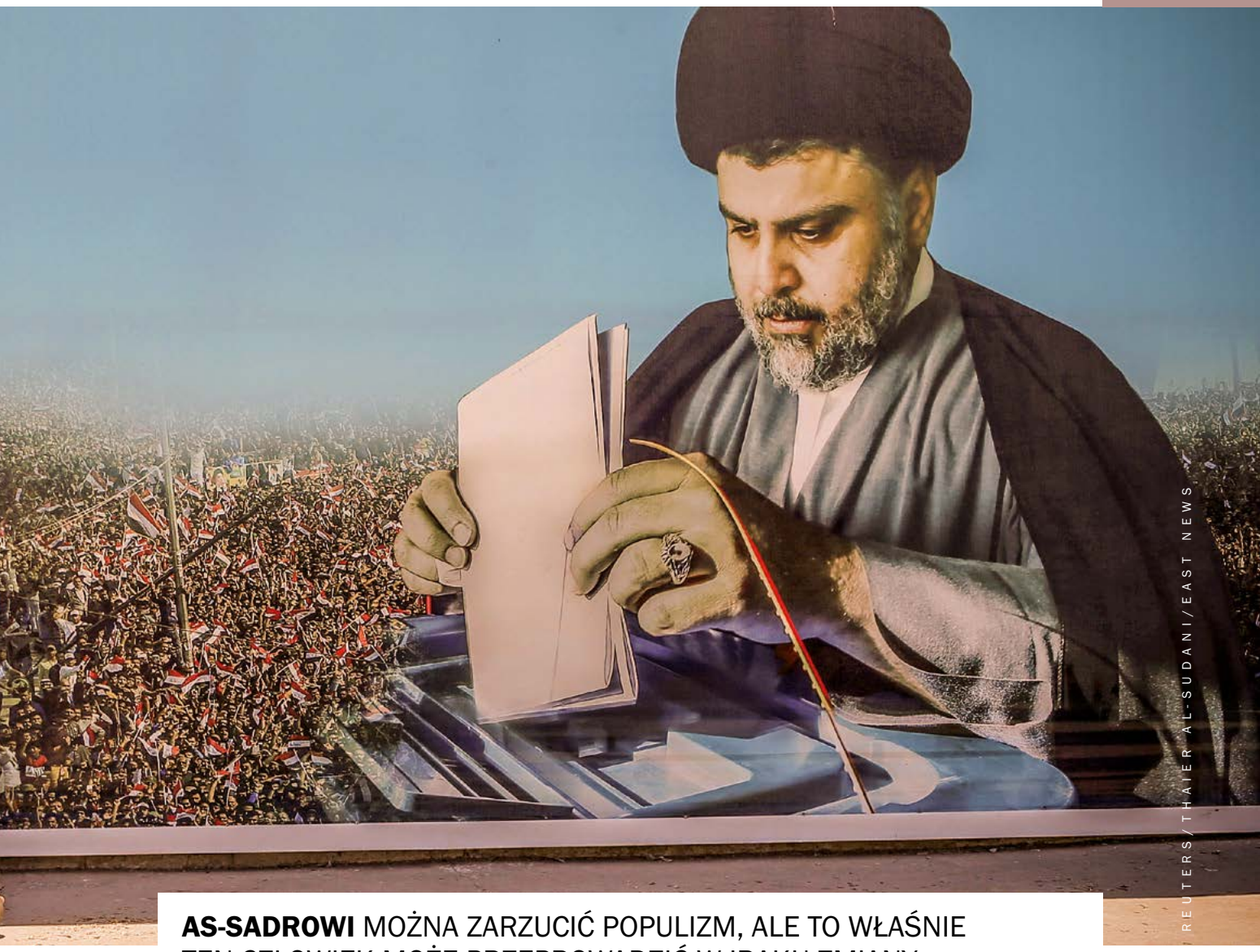

REUTERS / THAIER AL-SUDANI / EAST NEWS

AS-SADROWI MOŻNA ZARZUCIĆ POPULIZM, ALE TO WŁAŚNIE TEN CZŁOWIEK MOŻE PRZEPROWADZIĆ W IRAKU ZMIANY

ścią szyickiego kleryka, ale jego pozycję uwiarygodniał sojusz z Iracką Partią Komunistyczną, najstarszym lokalnym ugrupowaniem politycznym. Tradycja zakotwiczona w wieloletniej walce z reżimem Saddama Husajna oraz nowoczesne, lewicowo-demokratyczne hasła przekonały spragnionych zmian Irakijczyków.

Sam As-Sadr woli rządzić z drugiego szeregu i nie umieścił swojego nazwiska na liście wyborczej. Tak czy inaczej będzie musiał stawić czoła oskarżeniom o liczne nieścisłości podczas wyborów oraz przejść przez żmudny proces tworzenia koalicji. Nie pomogą mu w tym wielcy przegrani tych wyborów, którzy domagają się ich powtórzenia, ani frekwencja sięgająca raptem 44,5% (według niektórych źródeł mogła nie przekroczyć 20%). Cały ten polityczny spektakl rozegra się w cieniu olbrzymich problemów ekonomicznych, rozgrywek międzynarodowych oraz wciąż tlącej się wojny. W przeszłości Muktada as-Sadr zmagał się jednak z równie trudnymi, o ile nie trudniejszymi, wyzwaniami.

OD BUNTOWNIKA DO PRAGMATYKA

Jako syn wielkiego ajatollaha Muhammada Sadika as-Sadra, Muktada as-Sadr legitymuje się pochodzeniem z rodziny o bogatej tradycji religijnej oraz politycznej. Za rządów Saddama Husajna jego ojciec oraz bracia stawali w obronie prześladowanych szyitów, co w 1999 roku przypłacili życiem. Za ich śmierć odpowiadają najprawdopodobniej irackie służby bezpieczeństwa. Paradoksalnie niektóre ślady wiążą to morderstwo z Teheranem. Muktada as-Sadr zaistniał na scenie politycznej cztery

lata później, ostro krytykując amerykańską inwazję. W maju 2003 roku ogłosił fatwę, która pozwalała zebranym wokół niego szyitom grabić wojska koalicji oraz sunnitów. Warunek był jeden – jedną piątą zysków musieli przekazać na poczet Ruchu Sadrystowskiego. Praktyka ta spotkała się z oporem szyickich duchownych, ale zapewniła As-Sadrowi poparcie najbiedniejszej i najliczniejszej warstwy społecznej.

Niespełna rok później Muktada as-Sadr stał na czele kilkudziesięciotysięcznej Armii Mahdiego, która zbrojnie wystąpiła przeciwko koalicjantom. To właśnie z jej bojownikami walczyli polscy żołnierze w Karbali oraz podczas ostrzałów przeprowadzanych na obóz „Babilon". Sadryści dopuścili się także zbrodni na irackich sunnitach, w tym licznych morderstw oraz porwań dla okupu. Echem odbiło się także prześladowanie kobiet w bagdadzkiej dzielnicy Madinat Sadr (noszącej nazwę od imienia ojca Muktady as-Sadra), w której ponad 130 kobiet zostało straconych za nieprzestrzeganie surowych praw szariatu.

Paradoksalnie duchowny zyskał miano opiekuna ubogich oraz stał się symbolem walki z amerykańskim imperializmem. Mimo kontrowersji stabilna pozycja As-Sadra pozwoliła mu zaistnieć na scenie politycznej. Podczas wyborów z 2005 roku poparł Nuriego al-Malikiego, dzięki czemu jego ruch wszedł do koalicji Zjednoczonego Sojuszu Irackiego i po raz pierwszy uzyskał miejsce w parlamencie. To pasmo sukcesów zostało przerwane w 2008 roku, kiedy w czasie walk o Basrę iracka armia rozbiła Armię Mahdiego. W obawie o własne bezpieczeństwo As-Sadr wyjechał do Iranu. W tym samym czasie zachęcał swoich zwolenników do porzucenia walki zbrojnej i zajęcia się nową formą dżihadu. Ich działalność miała tym razem przenieść się na pole nauki i kultury, tak aby wyprzeć zachodnie wpływy z mentalności Irakijczyków.

O Muktadzie as-Sadrze po raz kolejny zrobiło się głośno na początku 2014 roku. W imię ochrony reputacji swojej rodziny ogłosił odejście z polityki, aby wkrótce utworzyć formację znaną jako Brygady Pokoju. Jej celem była ochrona szyitów przed atakami tzw. Państwa Islamskiego (wtedy jeszcze Islamskie Państwo w Iraku i Lewancie – IPIL). Mimo bezpośredniego zaangażowania w wojnę, duchowny oczekiwał, że po jej zakończeniu bojówki mające kontakty z zagranicą bezzwłocznie opuszczą Irak lub zostaną rozwiązane.

AS-SADR WOLI RZĄDZIĆ Z DRUGIEGO SZEREGU I NIE UMIEŚCIŁ SWOJEGO NAZWISKA NA LIŚCIE WYBORCZEJ

W 2015 roku zawarł trwający do dziś sojusz z Iracką Partią Komunistyczną, z którą dzielił poglądy na temat walki z korupcją oraz równych praw dla wszystkich. Właśnie z tymi hasłami As-Sadr stanął na czele protestów, które jednorazowo mogły zgromadzić nawet milion

RICK BAJORNAS/UN (2)

Według oficjalnych danych frekwencja w ostatnich wyborach wyniosła raptem 44,5%, chociaż niektóre źródła podają, że mogła nie przekroczyć 20%.

uczestników (jeden z nich wdarł się do zielonej strefy w Bagdadzie, a następnie okupował ją przez wiele dni). Taką postawą zapewnił sobie nie tylko uznanie irackiej armii, lecz także pozycję negocjatora z premierem Hajdarem al-Abadim. Świat patrzył z niedowierzaniem, kiedy niespełna rok później szyicki duchowny udał się z wizytą do Arabii Saudyjskiej i Zjednoczonych Emiratów Arabskich oraz wezwał prezydenta Syrii Baszszara al-Asada do rezygnacji z władzy.

WIDMO WOJNY DOMOWEJ

As-Sadrowi można zarzucić populizm, ale to właśnie ten człowiek może przeprowadzić w Iraku zmiany. Oprócz As-Sairun do parlamentu trafiło jeszcze kilkanaście innych ugrupowań. Niewiele mniejszą liczbę głosów uzyskał wspierany przez Iran sojusz Al-Fateh. Prowadzona przez obecnego, proamerykańskiego premiera Hajdara al-Abadiego koalicja Victory Alliance uplasowała się na trzecim miejscu. Wszystkie wymienione ugrupowania są szyickie i jednocześnie żadne z nich nie może mówić o zdecydowanym zwycięstwie. Sytuacji nie ułatwiają sunnici oraz Kurdowie, którzy po prostu zbojkotowali wybory. Duchowny deklaruje niechęć do Stanów Zjednoczonych, jego postawa nie stanęła jednak na przeszkodzie do publicznych występów z Abadim. Tych dwóch polityków dzieli wiele różnic, ale utrzymanie dobrych stosunków może nieść obopólne korzyści. Obecny premier rządził Irakiem w niewątpliwie trudnych czasach, nie tracąc przy tym przychylności Amerykanów. As-Sadr zdaje sobie sprawę, że bez pomocy Stanów Zjednoczonych może wrócić problem tzw. Państwa Islamskiego, które wciąż jest aktywne w północnych i zachodnich prowincjach Iraku. Musi liczyć się także ze zdaniem swoich sojuszników, którzy opowiadają się za wojskami koalicji. Już teraz pojawiły się pierwsze głosy, że As-Sadr jest skłonny wypracować porozumienie, dzięki któremu Amerykanie będą mogli kontynuować szkolenia irackich sił oraz działania wywiadowcze.

Sytuacja komplikuje się w wypadku sojuszu z Al-Fateh. Jego lider, Hadi al-Amiri, był kandydatem preferowanym przez Iran (już po wyborach Teheran deklarował, że „nie pozwoli komunistom i liberałom rządzić w Iraku"). Muktada as-Sadr nawoływał do uwolnienia się od „ambicji sąsiadów" oraz scalenia z armią szyickich bojówek Al-Haszd asz-Szabi, dlatego porozumienie i jego utrzymanie będzie wymagało olbrzymich ustępstw z obu stron. Procesu tego nie ułatwi zaangażowanie Arabii Saudyjskiej, która jako jedna z pierwszych wyraziła zadowolenie ze zwycięstwa As-Sadra i z pewnością dołoży starań, by z jego pomocą wyrwać Bagdad spod irańskich wpływów. Może dokonać tego m.in. za pomocą środków finansowych, które państwa zatoki przeznaczą na pomoc i odbudowę Iraku. Już teraz się mówi, że będą to miliardy dolarów. Mroczną alternatywą jest kolejna wojna zastępcza.

Muktada as-Sadr nie może zapomnieć także o Kurdach. Ich antyrządowe nastroje pogłębiła zbrojna odpowiedź rządu centralnego na referendum niepodległościowe z września 2017 roku. Niepokoje w irackim Kurdystanie są podsycane przez lawinowo rosnące bezrobocie i opieszałość w wypłacaniu gwarantowanych przez konstytucję środków. Wcześniej jednak iraccy politycy muszą uporać się z oskarżeniami o fałszowanie wyborów. Wątpliwości budzi przede wszystkim system elektroniczny odpowiedzialny za liczenie głosów, dlatego na początku czerwca zarządzono ręczną weryfikację wyników. Niedługo później podpalono jeden z magazynów służących do przechowywania kart wyborczych. Zdarzenie to nasila opór przegranych, którzy w obliczu klęski mogą sięgnąć po ostateczny argument i zmobilizować ulicę. W przypadku takiego obrotu wydarzeń Muktada as-Sadr przejdzie kolejną historyczną transformację – jako przywódca jednego z największych powstań we współczesnej historii Bliskiego Wschodu będzie musiał stłumić bunt przeciwko własnemu rządowi. ■

MICHAŁ NIWICZ

KURS NA NIEWIADOMĄ

Z Grzegorzem Kostrzewą-Zorbasem

o niespełnionych czarnych scenariuszach i polityce nagłych zwrotów rozmawia Małgorzata Schwarzgruber.

Donald Trump nie podzielił z Władimirem Putinem świata na strefy wpływów, nie doszło ani do demontażu NATO, ani do drugiej Jałty. Czy można na plus ocenić bilans prezydentury Trumpa, skoro przewidywane czarne scenariusze się nie sprawdziły?

Niektóre z tych scenariuszy przedstawiał sam Donald Trump, głównie w kampanii wyborczej. Większości nie zrealizował, część wprowadził w życie, np. rozpętał światową wojnę handlową z Unią Europejską, Chinami, Kanadą i Meksykiem. Na spełnienie wielu wyborczych obietnic nie pozwolił mu Kongres, w którym republikanie mają większość. Nie zgodził się na przykład na zbudowanie muru na granicy z Meksykiem. Panuje opinia, że niektóre pomysły odradzał prezydentowi tzw. establishment polityki zagranicznej i bezpieczeństwa narodowego.

Kogo ma Pan na myśli?

Dyplomatów, czyli pracowników Departamentu Stanu, a także służb wywiadowczych oraz Pentagonu. Potężnym sojusznikiem Pentagonu w dziedzinie zbrojeniowej jest także establishment gospodarczy, niezadowolony z rozpętanej przez Trumpa wojny celnej. Nie zgadza się też na nową Jałtę, bo izolacjonizm byłby dla tego sektora śmiertelnym ciosem.

Trump jednak niechętnie słucha doradców.

Najmniej niechętnie słucha wojskowych, bo w tej dziedzinie brakuje mu wiedzy. Zagraniczna polityka wojskowa Trumpa jest zatem na znacznie wyższym poziomie niż wewnętrzna. Sondaże pokazują, że prezydent ma niskie poparcie, czasem bywa ono najniższe od czasu, gdy takie badania są prowadzone, czyli od około stu lat. W listopadzie 2018 roku republikanom grozi utrata większości w Kongresie.

Co Pana zaskoczyło w amerykańskiej polityce zagranicznej ostatnich miesięcy?

Kierunek polityki obronnej. Donald Trump zapowiadał duże oszczędności w tej dziedzinie. →

Twierdził, że Stany Zjednoczone pozostaną w sojuszach tylko formalnie, a z zagranicy wycofani zostaną amerykańscy żołnierze. Tymczasem rozbudowywany jest potencjał militarny, a wojskowy budżet został zwiększony. Odnoszę wrażenie, że Trump powraca do starych pomysłów Partii Republikańskiej. Mam na myśli ideę prezydenta Richarda Nixona i sekretarza stanu Henry'ego Kissingera, aby USA wspierały regionalnych liderów, którzy będą pilnować stabilności w regionie i amerykańskich interesów, a w zamian dostaną na przykład pomoc w opracowaniu własnej broni nuklearnej. Jednym z takich regionalnych policjantów działających w imieniu USA miał być Iran, co dziś brzmi groteskowo. Podczas kampanii Donald Trump zapowiadał, że będzie sprzyjał budowie przez Japonię własnej broni nuklearnej, aby nie potrzebowała już sojuszu z USA. To oznaczałoby oszczędności. Dziś polityka wobec tego kraju jest inna. Prawdopodobnie to zwycięstwo środowiska wojskowego. Wygląda na to, że Pentagon doczekał się dużej swobody działania.

W Europie wybór Trumpa zrodził pytania o przyszłość relacji transatlantyckich. Dziś chyba już nie musimy się obawiać o amerykańską obecność na Starym Kontynencie?

Nie widać przygotowań do wycofania z Europy amerykańskich sił czy też zmniejszania ich liczebności. Nie ma jednak gwarancji, że Trump nie wróci do pomysłu osłabiania NATO i selektywnej, warunkowej amerykańskiej gwarancji w ramach zbiorowej obrony.

Na razie nic na to nie wskazuje. Gdyby udało się nam uzyskać stałą amerykańską obecność w Polsce, co oznaczałoby to dla regionu?

Mamy obecność ciągłą rotacyjną, która de facto jest odpowiednikiem stałej obecności. Określenie „obecność ciągła rotacyjna" używane jest po to, aby wprost nie zaprzeczać zapisom „Aktu stanowiącego o wzajemnych stosunkach, współpracy i bezpieczeństwie między NATO a Federacją Rosyjską". W dużym stopniu Polska stała się bazą do wypadów na północny i południowy wschód, czyli do pozostałych krajów wschodniej flanki NATO. Patrząc od zachodu, Polska jest pierwszym krajem za luką terytorialną wewnątrz NATO, bo traktat zjednoczeniowy Niemiec zabrania stacjonowania zagranicznych sił zbrojnych w dawnych Niemczech Wschodnich i całym Berlinie. Ale traktat dopuszcza tranzyt. To tak, jakby bazy na polskim Pomorzu, w województwach lubuskim i dolnośląskim sąsiadowały bezpośrednio z bazami amerykańskimi w Niemczech Zachodnich. Poza tym Amerykanie od dawna nie budują w nowych państwach takich baz-miasteczek, jakie są w Niemczech, we Włoszech czy w Korei Południowej. Po zimnej wojnie nigdzie na świecie nie powstała taka baza, bo Amerykanie zmienili model wysuniętej obecności wojskowej. Ta zmiana nie oznacza jednak mniejszego zobowiązania i słabszego potencjału wojskowego.

Ważniejsza jest liczba żołnierzy niż to, czy mają oni miasteczka z własnymi sklepami.

MICHAŁ NIWICZ

WIZYTÓWKA

DR GRZEGORZ KOSTRZEWA-ZORBAS

Jest absolwentem Johns Hopkins University School of Advanced International Studies w Waszyngtonie (doktorat, studia strategiczne) i Georgetown University w Waszyngtonie (magisterium, bezpieczeństwo narodowe). W latach 1990–1992 był dyrektorem departamentów w Ministerstwie Obrony Narodowej i Ministerstwie Spraw Zagranicznych, a także głównym negocjatorem utworzenia Grupy Wyszehradzkiej oraz traktatu o wyjściu Armii Rosyjskiej z Polski. Od 1978 do 1989 roku działacz opozycji antykomunistycznej. Obecnie jest pracownikiem naukowo-dydaktycznym Wojskowej Akademii Technicznej. ■

Liczy się przede wszystkim jak największa liczba żołnierzy oraz różnorodność rodzajów sił zbrojnych. Poza oficjalnymi wizytami, w Polsce nie ma na przykład obecności amerykańskiej marynarki wojennej. Na wiele nie mamy co liczyć ze względu na naturalne ograniczenia Morza Bałtyckiego, które Amerykanie widzą jak półsłodką zatokę. Mógłby jednak powstać jakiś przyczółek na lądzie.

Jako symbol tej obecności?

Nie chodzi tylko o symbole, ale o faktyczną obecność tej potężnej siły, jaką jest amerykańska marynarka wojenna. Wzmocniłoby to Polskę. Warto też postarać się o obecność marines – rodzaju sił zbrojnych o nazwie przekładanej jako „piechota morska", mimo że ma własne lotnictwo i broń pancerną. Marines są związani z marynarką wojenną, ale ich naczelne zadanie to pierwsza reakcja na lądzie. Mają już bazy na wschodniej flance NATO – w Bułgarii, z uwagi na Morze Czarne i sąsiedztwo Bliskiego Wschodu. Dlaczego nie mieliby znaleźć się w Polsce, blisko innych wyzwań?

Jak na ich obecność zareagowałaby Rosja?

Pewnie sprzeciwiałaby się, jak zwykle. Byłyby wygłaszane przemówienia i wysyłane noty protestacyjne, ale nic by z tego nie wynikło. Obecność amerykańskich żołnierzy w Polsce drażni Moskwę, podobnie jak przeszkadzało jej przyjęcie do NATO krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Nie była jednak w stanie zatrzymać tego procesu.

Czy Trump zrezygnował z antagonizmów z Moskwą?

Nie doszło do szczytu Trump – Putin. Obaj przywódcy kontaktowali się telefoniczne oraz przy okazji różnych światowych wydarzeń, ale rozmowy te dotyczyły wąskiej grupy spraw. W dotychczasowych kontaktach nie widać klimatu do nowej Jałty, co oznaczałoby wszechstronną umowę z Rosją o podziale wpływów na świecie. Sądzę, że Trumpa powstrzymują establishmenty, o których wspomniałem. Panuje w nich niemal konsensus co do tego, że Rosja jest groźna, ale nie jest już supermocarstwem, z wyjątkiem strategicznej broni nuklearnej. Są też przeciwko odtworzeniu dwubiegunowego układu sił i systemu z czasów zimnej wojny.

W cieniu innych konfliktów, toczy się rywalizacja o Arktykę. Czy w tym regionie chodzi tylko o surowce?

To wielostronny spór, w który oprócz USA i Rosji zaangażowane są także m.in. Kanada, Norwegia, Dania, Islandia i Japonia. Niektóre z tych państw wzmocniły swój potencjał wojskowy w tym regionie. Kilka lat temu Moskwa przedstawiła roszczenia terytorialne, nawet zatknęła swoją flagę na podwodnym łańcuchu górskim, twierdząc, że to część jej szelfu kontynentalnego. To nie jest gorący konflikt, ale żadna strona nie pogodziła się z ekspansywnym stanowiskiem Putina.

Zmiana amerykańskiej polityki zagranicznej najbardziej widoczna jest na Bliskim Wschodzie. Administracja Trumpa zmieniła kurs USA w sprawie tamtejszego konfliktu. Czy to zrozumiały krok?

Tak bezkrytycznej polityki wobec Izraela nie prowadził żaden amerykański prezydent – ani republikanin, ani demokrata. Trudno wytłumaczyć, czym kierował się Trump, uznając Jerozolimę za stolicę Izraela, bo jest to sprzeczne ze stanowiskiem prawie wszystkich państw świata i uchwałami Rady Bezpieczeństwa ONZ. Niektórzy próbują wyjaśnić ten krok wewnętrzną polityką. Nie chodzi jednak o naciski żydowskiej społeczności, lecz o tzw. prawicę chrześcijańską. Jest to potężne środowisko, głównie na południu USA. Wspiera Izrael ze względów teologicznych: głosi, że jest to warunek drugiego przyjścia Chrystusa i zbawienia świata. Z tym środowiskiem Trump się liczy wyborczo, ale moim zdaniem trudno tylko w ten sposób wytłumaczyć radykalizm jego administracji.

A dlaczego Trump niejako oddał Rosji Syrię?

To kolejna zagadka. USA nie musiały przyzwolić na zainstalowanie się tam rosyjskich sił zbrojnych na skalę dużo większą niż wcześniej, gdy ta obecność była symboliczna. Trzeba jednak przyznać, że początki rosyjskiej ekspansji w Syrii miały miejsce za prezydentury Baracka Obamy, gdy powstały wielkie bazy sił powietrznych i lądowych.

Temperaturę w regionie podnosi zerwanie przez Waszyngton nuklearnej umowy z Iranem.

Umowy wielostronnej, zawartej z Iranem przez wszystkich stałych członków Rady Bezpieczeństwa ONZ, Niemcy i Unię Europejską. Kraje regionu i świata mogą dojść do przekonania, że mocarstwa są skłócone, panuje chaos, a najwięcej można wygrać, budując broń atomową, tak jak Iran przed zawarciem umowy czy Korea Północna.

Azja wydaje się nie tak ważnym regionem świata jak za kadencji poprzednich prezydentów. Głównym wyzwaniem dla Trumpa w Azji Wschodniej jest rosnące zagrożenie ze strony północnokoreańskiego reżimu. Czy dojdzie do przełomu w tej sprawie?

Spotkanie prezydenta USA z najwyższym przywódcą Korei Północnej w Singapurze nie przyniosło pozytywnego przełomu. Oświadczenie Trumpa i Kim Dzong Una nie ma mocy prawnej, brakuje w nim też konkretnych zobowiązań i kalendarza realizacji. Rozbrojenie nuklearne Korei Północnej jest mało prawdopodobne. Ostatnie testy

→

głowic wskazywały na opanowanie zaawansowanej technologii broni wodorowej albo używającej izotopów wodoru do wzmacniania eksplozji plutonu lub uranu. Ostatnio testowane rakiety balistyczne mają zasięg globalny – mogą dostarczyć głowice nuklearne do Waszyngtonu, Nowego Jorku, Berlina, Paryża czy Brukseli. Daje to mocną pozycję reżimowi w świecie, buduje też wewnętrzny autorytet władzy. Dlatego uważam, że Kim nie zgodzi się na likwidację arsenału nuklearnego. Będzie raczej grać na zwłokę. Przypomnę, że dziesięć lat temu Korea Północna zawarła inne porozumienie o denuklearyzacji i uroczyście wysadziła w powietrze chłodnię kominową przy starym reaktorze atomowym. Nie dopuściła jednak na miejsce ekspertów ani dyplomatów, tylko dziennikarzy.

Nie widać klimatu do nowej Jałty, co oznaczałoby umowę z Rosją o podziale wpływów na świecie

Teraz wysadziła kilka tuneli.

I ponownie nie dopuściła ekspertów. Najwyraźniej ma coś do ukrycia. Tymczasem Trump jednostronnie, bez uzgodnienia z Koreą Południową, wstrzymał wspólne ćwiczenia wojskowe na Półwyspie Koreańskim i oceanie wokół, tak jak zażądała Korea Północna. W NATO pojawiły się obawy przed podobną decyzją co do sił USA w Europie, na Atlantyku i Morzu Śródziemnym po zapowiadanym szczycie Trump – Putin.

Czy Chiny, główny sojusznik Korei Północnej, nie mogłyby stać się sojusznikiem Waszyngtonu w naciskach na Kima?

To Trump chce wmówić światu, że Chiny mają największy wpływ na Koreę Północną. Czemu nie Rosja, która ma bezpośrednią granicę z tym państwem? Z nieoficjalnych źródeł wiadomo, że ostatnie postępy w technologii rakiet balistycznych były inspirowane z Moskwy. Jeśli nie zrobiło tego państwo, to uczynili to tamtejsi eksperci prawdopodobnie za pozwoleniem Kremla.

Jakie widzi Pan rozwiązanie tego konfliktu?

Najbardziej prawdopodobny scenariusz to wzajemne odstraszanie i stabilizacja po wysokim awansie Korei Północnej.

Jakich zmian spodziewa się Pan w drugiej części kadencji Donalda Trumpa?

Możliwe są ostre zwroty, bo do pomysłu wojny handlowej Trump powrócił po roku. Dlatego trudno o prognozę. Można natomiast powiedzieć, do czego doprowadzą obecne decyzje. Jeżeli polityka obronna będzie kontynuowana, USA będą wzmacniać swoją obecność na wschodniej flance NATO. Planują także wzmacniać arsenał broni nuklearnej, czego przykładem są wstępne prace nad nową generacją bombowców strategicznych oraz modernizacją głowic. To może doprowadzić m.in. do zmian w programie nuclear sharing, czyli wspólnego użytkowania amerykańskiej broni nuklearnej w ramach NATO.

Także do bardziej elastycznego jej użycia?

Do bardziej elastycznego użycia i rozmieszczenia. W niektórych krajach silne są nastroje antynuklearne, co może doprowadzić do decyzji o wystąpieniu z programu, zwłaszcza w Niemczech. Nie wiemy, jak zachowa się nowy włoski rząd, złożony wyłącznie z antysystemowców – co powie na fakt, że we Włoszech istnieją aż dwie bazy nuklearne. Program może zostać zmieniony geograficznie, do uczestnictwa w nim mogą zostać zaproszone nowe państwa, a broń może np. trafić do krajów wschodniej flanki NATO. Podczas zimnej wojny jego uczestnikami były głównie państwa ówczesnej wschodniej flanki NATO – Niemcy, Holandia i Belgia, na flance południowo-wschodniej – Włochy, Grecja, i Turcja, na północnej – Kanada.

Nowa strategia bezpieczeństwa narodowego USA kładzie nacisk na militarną rywalizację USA z Chinami, Rosją, Iranem i Koreą Północną oraz kontynuowanie walki z terroryzmem. Po raz pierwszy w dokumencie mowa o bezpieczeństwie ekonomicznym, które uznaje się za tożsame z narodowym, co ma być zapewnione dzięki potędze militarnej. Zaskoczyło to Pana?

Nie zaskoczyło, bo USA zawsze uznawały potęgę ekonomiczną za warunek konieczny potęgi militarnej i politycznej. Wiele narodów nigdy nie zrozumiało tych związków. Amerykanie najpierw najbardziej cenili potencjał przemysłowy, teraz dostrzegają głównie naukowy i technologiczny, a tego nie można wywalczyć zbrojnie. Siła militarna jest przydatna do ochrony szlaków importu i eksportu, lecz to nie wszystko. Trump prawdopodobnie nie zdaje sobie z tego sprawy, ale amerykańskie establishmenty wiedzą, że wojny wygrywa się w laboratoriach korporacji i na kampusach wyższych uczelni. Amerykańska kultura strategiczna nakazuje budowanie przytłaczającej przewagi jakościowej: konwencjonalnej, nuklearnej i cybernetycznej. To bywa osiągalne tylko dzięki potencjałowi cywilizacyjnemu – więcej niż gospodarczemu. ■

WWW.POLSKA-ZBROJNA.PL

KWARTALNIK
BELLONA

PISMO NAUKOWE
100 LAT POLSKIEJ MYŚLI WOJSKOWEJ

ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400

WOJSKO
POLSKIE

Nasza interpretacja –
Wasze źródła

MICHAŁ ZIELIŃSKI

GORZKI SMAK ZWYCIĘSTWA

Po blisko siedmiu latach walki o palestyński obóz Al-Jarmuk dobiegły końca. Nie kończy się jednak dramat żyjących w nim uchodźców.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

Krótkie spojrzenie na wznoszące się wzdłuż ulicy budynki wystarczy, by ocenić skalę zniszczeń. W wyniku bombardowań oraz ostrzałów część mieszkań jest pozbawiona ścian. Odsłonięte wnętrza są jak ciała, z których przez otwarte rany uciekła reszta życia. Spowite półmrokiem odpychają swoją wulgarnością i nieludzkim brakiem intymności, przywodząc na myśl pokryte krwią, poszatkowane przez odłamki i kule organy. Umysł przyzwyczajony do miejskiej estetyki, do codziennego porządku rzeczy – do naczyń w szafach i kolorowej pościeli na łóżkach – nie potrafił tego przyswoić. W chwili, gdy zaczyna dostrzegać dziecięce zabawki, kołyski, wyposażenie kuchni, kobiecą bieliznę, widok staje się nie do zniesienia.

Bassam przystaje na stercie gruzu i ostrożnie wygląda zza rogu. Szeroką na kilkanaście metrów arterię także pokrywają przedmioty codziennego użytku, które wypadły z mieszkań w wyniku eksplozji lub zostały porzucone przez uciekających mieszkańców. Zakurzone, pociemniałe od ognia. „To jedna z dwóch głównych ulic Al-Jarmuk", głos Bassama przepełniony jest raczej dumą niż smutkiem. „Wychowałem się na niej, spotykałem ze znajomymi, pracowałem. Pamiętam, jak tętniło tutaj życie". W tym momencie jeden z palestyńskich bojowników odciąga Bassama za ramię. Na ulicy operuje wrogi snajper.

W WYNIKU BOMBARDOWAŃ oraz ostrzałów część mieszkań jest pozbawiona ścian. Odsłonięte wnętrza są jak ciała, z których przez otwarte rany uciekła reszta życia.

PSY, KOTY ORAZ LIŚCIE Z DRZEW

Od tamtych wydarzeń minęły już blisko dwa lata. Pod koniec maja 2018 roku leżący na przedmieściach Damaszku obóz Al-Jarmuk w całości przeszedł w ręce sił rządowych. Na zrujnowane ulice nie wrócił jednak gwar ze wspomnień mężczyzny, próżno także szukać osób świętujących koniec walk. Z blisko 150 tys. osób żyjących w obozie przed wojną, w ruinach koczuje stu, może dwustu mieszkańców. Nie są to ludzie, którzy nie mają gdzie się podziać, tacy już dawno uciekli. Zostali ci, którzy po siedmiu latach walk boją się opuścić swoje schronienia.

Założony w 1957 roku obóz Al-Jarmuk został okrzyknięty palestyńską stolicą na uchodźstwie. Nazwę tę zyskał niebezpodstawnie – w jego obrębie znajdowały się zarówno domy klasy średniej, jak i liczne sklepy oraz kawiarnie. Na terenie liczącym 2 km^2 działały cztery szpitale oraz blisko 30 szkół. W funkcjonowanie wielu →

MICHAŁ ZIELIŃSKI (2)

placówek zaangażowała się Agenda Narodów Zjednoczonych dla Pomocy Uchodźcom Palestyńskim na Bliskim Wschodzie (United Nations Relief and Works Agency for Palestine Refugees in the Near East – UNRWA). Bez wątpienia Al-Jarmuk wyróżniał się na tle innych palestyńskich osiedli w Syrii.

Czarne chmury zawisły nad obozem Al-Jarmuk już od pierwszych dni rewolucji. W tym czasie kontrolę nad nim sprawował Ludowy Front Wyzwolenia Palestyny – Główne Dowództwo, zbrojna organizacja powstała w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia. Od samego początku dochodziło tam do starć między prorządową bojówką a Palestyńczykami wspierającymi rewolucję. Pod koniec 2012 roku luźne pododdziały palestyńskich opozycjonistów zrzeszyły się pod sztandarem Liwi al-Asifa i wspólnie z Wolną Armią Syryjską przejęły władzę nad obozem. Mimo zdobytej przewagi rebelianci znaleźli się w trudnej sytuacji – siły rządowe rozpoczęły oblężenie obozu, a na głowy jego mieszkańców zaczęły spadać bomby. Aby przetrwać, odcięci od świata cywile zaczęli zjadać swoje psy, koty oraz liście z drzew.

Pomimo niewyobrażalnego, nawet jak na syryjskie realia, dramatu Al-Jarmuk do świadomości mieszkańców Zachodu trafił dopiero w 2014 roku. Wtedy świat obiegło zdjęcie przedstawiające główną ulicę obozu wypełnioną po brzegi palestyńskimi uchodźcami. Stłoczeni wśród ruin ludzie niemal tratowali się w kolejce po pomoc, którą otrzymali po raz pierwszy od trwającego przez dwa lata oblężenia. Ani działacze organizacji pozarządowych, ani społeczność międzynarodowa nie spodziewali się wówczas, że ta odwilż jest tak naprawdę preludium do kolejnego dramatu.

UPOMNIAŁA SIĘ O NICH ŚMIERĆ

Żeby dostać się do siedziby jednej z palestyńskich bojówek, trzeba wsiąść do niewielkiej, mieszczącej zaledwie cztery osoby, windy. Jeszcze kilka lat temu widok obwieszonych bronią bojowników zapewne wywołałby panikę wśród mieszkańców apartamentowca, ale teraz nikt nie zwraca na nich uwagi. Sama siedziba mieści się w dwupokojowym mieszkaniu Saeda, jednego z dowódców. Prawie pięćdziesięcioletni mężczyzna porusza się o kulach. Kilka tygodni wcześniej niemal zginął w zamachu bombowym.

„To już trzeci zamach na mnie, który zorganizowano od początku walk. Uszedłem z życiem, ale mój kierowca nie miał tyle szczęścia", Saed zamyśla się na chwilę, a następnie sięga po telefon komórkowy. „Ale nie odpuszczamy. Niedawno znowu złapaliśmy jednego z nich". Na słabej jakości nagraniu widać mężczyznę z opaską na oczach. Wszystko wskazuje na to, że film przedstawia egzekucję. Czyjaś ręka chwyta mężczyznę za głowę i przekręca ją w stronę obiektywu. Po kilku pełnych napięcia sekundach więzień zostaje jednak podniesiony z kolan i wyprowadzony z pomieszczenia. Według palestyńskich bojowników człowiek ten został przekazany syryjskim służbom. Raczej nie przeżył niewoli.

Mężczyzna był najprawdopodobniej członkiem Hajat Tahrir asz-Szam (HTS), syryjskiego odłamu Al-Kaidy. Trudno dokładnie stwierdzić, kiedy fundamentaliści pojawili się w Al-Jarmuk, przełomowym momentem okazał się jednak początek kwietnia 2015 roku. To właśnie wtedy do HTS dołączyły pierwsze oddziały tzw. Państwa Islamskiego. W ciągu zaledwie kilku dni terroryści przejęli kontrolę nad niemal całym palestyńskim miasteczkiem. O pozostałych w obozie cywilów ponownie upomniała się śmierć – tym razem byli mordowani podczas przeprowadzanych na ulicach egzekucji.

Palestyńskie bojówki, które stawiły opór dżihadystom, budziły niewiele mniejsze kontrowersje. Organizacje, takie jak Ludowy Front Wyzwolenia Palestyny – Główne Dowództwo, Armia Wyzwolenia Palestyny czy Fatah al-Intifada, przez wiele zachodnich krajów uznawane są za terrorystyczne. Spotykają się także z oporem wśród samych Palestyńczyków, którzy oskarżają je o służalczość wobec prezydenta Baszszara Al-Asada i działanie na szkodę narodu. Faktem jest, że każda z nich przyczyniła się do tragedii oblężonych cywilów. Faktem jest także, że w 2015 roku była to jedyna siła, która wciąż chciała walczyć o Al-Jarmuk.

Jednym z palestyńskich ochotników jest Alaa, dwudziestokilkulatek z dyplomem inżyniera. Ani na moment nie opuszcza pomieszczenia, w którym przebywa dowódca,

ZAŁOŻONY W 1957 ROKU **OBÓZ AL-JARMUK** ZOSTAŁ OKRZYKNIĘTY PALESTYŃSKĄ STOLICĄ NA UCHODŹSTWIE

Pomimo niewyobrażalnego dramatu Al-Jarmuk do świadomości mieszkańców Zachodu trafił dopiero w 2014 roku, kiedy świat obiegło zdjęcie przedstawiające główną ulicę obozu wypełnioną po brzegi palestyńskimi uchodźcami. Teraz z blisko 150 tys. osób żyjących w obozie przed wojną, w ruinach koczuje stu, może dwustu mieszkańców.

ale całą jego uwagę pochłania metodyczne wręcz czyszczenie karabinu. Z bronią nie rozstaje się od dnia, w którym Daesz rozpoczęło ofensywę na Al-Jarmuk. Nie miał wątpliwości, że walka o obóz to jego obowiązek, chociaż za podjęciem tej decyzji przemawiały także pieniądze. Mimo ukończonych studiów jest to dla niego jedyne realne źródło zarobku. „Myślę czasem o tym, co będę robił po wojnie. Chciałbym pracować jako inżynier, przyłożyć rękę do odbudowy tego kraju, ale teraz jestem snajperem", Alaa zaciąga się papierosem, patrząc przy tym na swój karabin. „I jestem w tym dobry".

GRUZY ZAMIAST DOMÓW

Opór stawiany przez palestyńskie bojówki wiązał się z dużym poświęceniem, nie przyniósł jednak żadnych zmian. Mimo konfliktu, który w międzyczasie wybuchł pomiędzy dżihadystami, HTS oraz Daesz nie tylko nie ustępowały pola, ale potrafiły także organizować udane operacje. Takie jak w styczniu 2018 roku, kiedy w ramach prowadzonej kontrofensywy bojownicy tzw. Państwa Islamskiego zdobyli kontrolę nad większą częścią obozu. Zapowiedź pierwszych zmian przyszła dopiero wraz z końcem walk o Wschodnią Gutę.

Al-Jarmuk wraz z przylegającymi do niego dzielnicami był ostatnią szarą strefą w rejonie Damaszku. Stało się jasne, że nad tym miejscem po raz kolejny pojawi się syryjskie i rosyjskie lotnictwo, a zrzucane bomby będą zmiękczać teren pod ofensywę lądową. Wiele wskazywało także na to, że Baszszar al-Asad spróbuje użyć palestyńskiego obozu jako karty przetargowej w negocjacjach o Al-Fu'a i Kafraję (szyickie miasta leżące w prowincji Idlib, które od marca 2015 roku są oblegane przez fundamentalistów). Przewidywania te okazały się słuszne. Ostatnia faza walk o Al-Jarmuk trwała niespełna miesiąc. Wzorem poprzednich operacji, także tej we Wschodniej Gucie, równocześnie z intensywnymi nalotami i zaciekłymi walkami prowadzono rozmowy mające skłonić dżihadystów do kapitulacji. Ostatecznie porozumienie osiągnięto w drugiej połowie maja 2018 roku. Fundamentaliści zostali ewakuowani, a obóz Al-Jarmuk trafił pod pełną kontrolę sił rządowych.

O tym, jak gorzko smakuje to zwycięstwo, świadczy film nagrany przez Channel 4 kilka dni po zakończeniu walk. Młoda kobieta, wzorem innych uchodźców, zabezpieczyła dorobek całego życia najlepiej jak potrafiła. To, czego nie mogła zabrać ze sobą, najpewniej zakryła folią, a w drzwi wejściowe wprawiła dodatkowy zamek. Teraz, po kilku latach, może wreszcie tam wrócić. W czasie wędrówki z uśmiechem opowiada o życiu w obozie przed wojną. Wskazuje na zniszczony budynek, w którym znajdowała się jej szkoła. Chwilę później głos więźnie jej w gardle, a piękną twarz zalewają łzy. Z domu kobiety pozostała jedynie sterta gruzów. ■

NADCIĄGA ROSYJSKA BURZA

ROBERT SENDEK

Unia Europejska powinna mocniej się angażować w przeciwdziałanie moskiewskiej propagandzie na Bałkanach.

Mamy na Bałkanach do czynienia ze strategiczną konkurencją licznych państw trzecich, w tym Rosji. Dlatego Unia Europejska w swoim najlepszym interesie gospodarczym i bezpieczeństwa powinna być tam aktywna", mówił w połowie maja 2018 roku Konrad Szymański, wiceszef polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Słowa te padły w przeddzień szczytu Unia Europejska – Bałkany Zachodnie, mającego określić perspektywy ewentualnego członkostwa krajów regionu. To znak, że po dłuższym czasie mniejszej aktywności UE nie zamierza na Bałkanach ustępować pola innym siłom, przede wszystkim Rosji.

Przekonanie o konieczności większego zaangażowania w problemy regionu mają także unijni urzędnicy. Federica Mogherini, szefowa dyplomacji, podczas wizyty na Bałkanach wiosną 2017 roku wspomniała, że kraje bałkańskie bardzo łatwo mogą się stać jedną z szachownic w geopolitycznych rozgrywkach między mocarstwami. To właściwie już się dzieje, jak wynika z raportów przygotowywanych na potrzeby unijnych instytucji. Przewiduje się, że Moskwa będzie coraz intensywniej przeciwdziałać zachodzącym w regionie przemianom, przede wszystkim takim, których tłem jest integracja z UE lub NATO.

TOKSYCZNA MIŁOŚĆ

W wielu bałkańskich społeczeństwach funkcjonuje pozytywny wizerunek Rosji. Bliskość językową i słowiańskie braterstwo z tym krajem podkreślają głównie Serbowie i Bułgarzy, w mniejszym stopniu Macedończycy. Swoją rolę odgrywa również religia, gdyż prawosławie, dominujące w Rosji, wyznają bałkańscy Słowianie, ale także Grecy oraz Rumuni (ci jednak nie darzą Rosjan

DIMITAR DILKOFF / EAST NEWS

szczególną atencją). Do tego dochodzą sentymenty historyczne, gdyż w debacie publicznej, zwłaszcza w Bułgarii i Serbii, podkreślana jest szczególna rola Moskwy podczas wyzwalania się w XIX wieku bałkańskich narodów słowiańskich z niewoli tureckiej.

Wzmacnianiu tych więzi służą także rosyjskie inwestycje w kluczowe sektory gospodarki krajów regionu, przede wszystkim w energetykę, ale też np. turystykę czy infrastrukturę. Warto jednak zauważyć, że pozycja gospodarcza Rosji w regionie bywa przeceniana przez wszystkie strony. Faktycznym partnerem krajów regionu pozostaje bowiem szeroko rozumiany Zachód. Jak się oblicza, nawet trzy czwarte zagranicznych inwestycji na Bałkanach pochodzi z państw unijnych, z Rosji natomiast zaledwie 3–5%.

W 2011 roku anonimowi artyści przemalowali pomnik armii radzieckiej w Sofii. Figury żołnierzy sowieckich stały się postaciami z amerykańskiej popkultury.

DZIEL I RZĄDŹ

Europejska Rada Spraw Zagranicznych, niezależny ośrodek analityczny z siedzibą w Londynie, opublikowała na początku kwietnia 2018 roku raport „Czy nad Bałkany Zachodnie nadciąga rosyjska burza?". Autor, Mark Galeotti, brytyjski analityk, politolog i specjalista od najnowszej historii Rosji, uważa, że skoro UE kreśli dla państw Bałkanów Zachodnich wizje członkostwa, Moskwa z pewnością będzie w najbliższym czasie podejmować próby bardziej skoordynowanego działania w tym regionie. Galeotti wskazuje trzy główne strategie, po które Putin może sięgać, rozgrywając bałkańską partię szachów: klasyczna zasada „dziel i rządź", przeciąganie na swą stronę miejscowych elit oraz wykorzystywanie nierealnych oczekiwań społecznych.

Na podzielonych religijnie, etnicznie i politycznie Bałkanach stosowanie zasady „dziel i rządź" nie musi być specjalnie trudne. Wystarczy, jeśli Rosja będzie rozgrywać wszystkich przeciwko sobie, korzystając z lokalnych sporów, fobii, uprzedzeń i obaw. Według Galeottiego może to wyglądać w ten sposób: Rosjanie mówią np. Serbom, jakoby Macedonia była państwem satelickim USA albo Europy Zachodniej, jednocześnie zaś próbują Macedończykom wmówić, że w stosunku do ich kraju realizowany jest plan Wielkiej Albanii, którego inspiratorami mają być Amerykanie.

Zdaniem Galeottiego Moskwa próbuje przeciągnąć na swą stronę część elit. Chodzi zwłaszcza o tych polityków, którzy znaleźli się pod międzynarodową presją i potrzebują wsparcia. Autor raportu przytacza przykład rządzącej Macedonią do 2017 roku Wewnętrznej Macedońskiej Organizacji Rewolucyjnej – Demokratycznej Partii Macedońskiej Jedności Narodowej (VMRO-DPMNE) oraz premiera Nikoli Gruevskiego, który nie krył swej fascynacji samą postacią i sposobem działania prezydenta Putina. Innym przykładem jest Milorad Dodik, prezydent Republiki Serbskiej (część składowa Bośni i Hercegowiny), który jest zapraszany do Moskwy, wizyty składają mu rosyjscy politycy z pierwszego garnituru, przy czym pomijani są politycy federalni BiH.

EUROPEAN COMMISSION

Federica Mogherini, szefowa unijnej dyplomacji, twierdzi, że kraje bałkańskie łatwo mogą się stać jedną z szachownic w geopolitycznych rozgrywkach między mocarstwami.

Za trzeci sposób oddziaływania Galeotti uznał wykorzystywanie nierealnych oczekiwań społecznych. Wynikają one z aspiracji, ambicji i nadziei wiązanych w regionie z przyszłym członkostwem w UE oraz spodziewanym awansem ekonomicznym. Ze względu na różnorakie problemy trapiące kraje bałkańskie, ich rozwój gospodarczy nie jest na miarę oczekiwań społeczeństwa. Może się to stać dla Moskwy wyjątkową okazją do zdobycia punktów przez partie populistyczne, przez które Kreml zyska możliwość wpływania na lokalną politykę. Sprawę ułatwia Kremlowi – zdaniem Galeottiego – wyraźna niekonsekwencja Brukseli w realizowaniu poczynionych w regionie zapowiedzi, planów i obietnic.

WOJNA INFORMACYJNA

Problem dezinformacji prowadzonej przez Moskwę na Bałkanach podnosiła niemiecka Fundacja Konrada Adenauera w raporcie opublikowanym w marcu 2018 roku. Zdaniem jego autorek, Stephanie de Leon i Sophie Eisentraut, po aneksji Krymu w 2014 roku Rosja podjęła na nowo grę o strefę wpływów na Bałkanach. Wynika to z jej obaw przed zwiększaniem oddziaływania w regionie państw zachodnich. Kreml podejmuje w związku z tym próby powstrzymania procesów integracyjnych na Bałkanach. W tym celu stosuje – zdaniem autorek raportu – propagandę i dezinformację, stymulując lokalne napięcia oraz podważając w regionie wiarygodność UE.

W tym celu Moskwa korzysta z rozmaitych narzędzi. W 2014 roku np. został uruchomiony kanał Russia Today w języku serbskim, a agencja Sputnik zaczęła publikować informacje w językach serbskim oraz greckim. Moskwa próbuje w ten sposób wspierać tendencje eurosceptyczne, m.in. przez dyskredytowanie Zachodu jako siły wrogiej lokalnym tradycjom. W niemieckim raporcie wskazano materiały z rosyjskich mediów działających w Serbii, przekonujące, że Zachód chce zniszczyć serbską tożsamość i niezależność. Służą temu motywy silnie podgrzewające nastroje, takie jak wspominanie bombardowań NATO w 1999 roku, przedstawianie międzynarodowego sądu do spraw zbrodni przeciw ludzkości w byłej Jugosławii jako instytucji o antyserbskim nastawieniu. Z drugiej zaś strony zauważalne jest prezentowanie Rosji jako jedynej siły zdolnej do prawdziwej obrony serbskiej tożsamości.

Kreml próbuje oddziaływać także przez wspieranie istniejących lub powoływanie nowych towarzystw i organizacji, które odgrywają pozytywną rolę w kreowaniu korzystnych dla niego nastrojów. Autorki raportu wskazują m.in. na otworzenie w ostatnim czasie w Skopje rosyjskiego centrum kulturalnego (którego zadaniem jest wspieranie rosyjskiego „soft power") oraz istnienie około 30 różnorakich towarzystw wspierających Rosję w Macedonii. Może to niewiele, ale przykład z sąsiedniej Bułgarii pokazuje, że takie towarzystwa mogą być bardzo wpływowe i zyskiwać niemały rozgłos.

ZAPOMNIELI O SWOICH

Na zdumiewający fakt zwrócili uwagę bułgarscy dziennikarze w związku z obchodami Dnia Zwycięstwa. Otóż 9 maja, w rocznicę zakończenia II wojny światowej, przed pomnikiem armii radzieckiej w Sofii zgromadził się tłum ludzi. Pojawili się członkowie tzw. Nieśmiertelnego Pułku (organizacji wspieranej przez Kreml), wielu uczestników miało wpięte w klapy wstążki św. Jerzego (które krytycy uważają za symbol imperializmu rosyjskiego), śpiewano rosyjskie pieśni wojenne, rozwinięto ogromny sztandar Federacji Rosyjskiej, przemawiał Anatolij Makarow, rosyjski ambasador w Bułgarii. Na manifestacji pojawili się również bułgarscy politycy, i to zarówno z lewicy, jak i prawicy.

To jeszcze nic dziwnego, bo uczczenie zakończenia wojny wydaje się czymś naturalnym. Dziennikarzy zdumiało jednak to, że tłum świętował jedynie przed pomnikiem armii radzieckiej, a nikt nie złożył kwiatów przed dwoma istniejącymi w Sofii pomnikami upamiętniającymi bułgarskich żołnierzy poległych w czasie II wojny światowej. Nie do końca jest jasne, czy to przykład prężności prorosyjskich sił działających w Bułgarii, czy też raczej dramatycznej niemocy i amnezji bułgarskich polityków. Sam fakt pozostaje jednak dość wymowny. ■

PRZEMYSŁAW MILLER

ATOMOWY TITANIC

Przedstawiciele koncernu Rosenergoatom poinformowali niedawno, że 28 kwietnia 2018 roku z Sankt Petersburga do Murmańska przetransportowano pływającą elektrownię atomową „Akademik Łomonosow". Ten etap podróży polegał na holowaniu jednostki. Na miejscu natomiast, przed skierowaniem jej do Arktyki, zostanie zaopatrzona w paliwo jądrowe. Rosyjski projekt atomowy jest krytykowany nie tylko przez grupy obrońców środowiska naturalnego, lecz także ekspertów zajmujących się bezpieczeństwem elektrowni jądrowych, którzy ochrzcili go mianem atomowego Titanica.

WYBUCHOWY REAKTOR

Mimo zastrzeżeń zgłaszanych przez rządy Szwecji, Finlandii i Norwegii oraz głośnych protestów organizacji pozarządowych rosyjskie Ministerstwo Energii Atomowej, Federalna Agencja Energii Atomowej (Rosatom) oraz przedsiębiorstwo Rosenergoatom rozpoczęły pod koniec 2016 roku budowę pływających elektrowni atomowych, przeznaczonych do zasilania w energię elektryczną oddalonych, ubogich w podobną infrastrukturę, rejonów północnego wybrzeża Rosji. Projekt zakłada, że jednostki te okolą szczelnie północne wybrzeże kraju. Pomysł wydaje się świetny – chociażby ze względu na problemy z dostawą prądu na tych terenach, słabo rozwiniętą infrastrukturę, trudności budowlane i problemy komunikacyjne. Tyle że turbiny rosyjskich pływających elektrowni mają być zasilane w parę przez reaktor atomowy KLT-40C o mocy 70 MW, o podobnej technologii do czarnobylskiego RBMK-1000. Będzie w nim wykorzystywany wysoko wzbogacony uran o zawartości izotopu 235.

Największą wadą technologiczną zainstalowanego na pokładzie „Akademika Łomonosowa" reaktora jest duża niestabilność przy małej mocy. Każdy zatem nagły wzrost ilości wytwarzanej pary może spowodować zwiększenie ilości wytworzonej energii. To z kolei może doprowadzić do niekontrolowanego wzrostu mocy reaktora, a stąd już tylko krok do katastrofy. Może bowiem dojść do eksplozji pary wodnej znajdującej się w jego wnętrzu, w wyniku której zostanie zniszczona osłona antyradiacyjna. Po eksplozji zaś wybuchnie pożar, stopią się grafitowe pręty i do atmosfery przedostanie się radioaktywny pył.

Wątpliwości budzi też bezpieczeństwo całej instalacji ze względu na nawigację, tym bardziej że jest ona przygotowana do eksploatacji na wyjątkowo trudnych i burzliwych wodach, które sezonowo pokrywają się warstwą grubego lodu. Kolejny problem to konserwacja i nadzór techniczny, bo Rosjanie przewidują zaledwie dwa remonty stoczniowe na 40 lat! Niezwykle istotne jest też zagrożenie terrorystyczne. Protestujący przeciwko pływającej siłowni jądrowej zwracają uwagę, że może ona stać się celem ataku niczym amerykański niszczyciel rakietowy USS „Cole" 12 października 2000 roku w jemeńskim porcie Aden.

Katastrofa w Czarnobylu uświadomiła nam, że nawet pokojowe wykorzystanie atomu może spowodować dużo bardziej niszczące skutki niż klasyczny atak jądrowy.

MADE IN RUSSIA

Nie od dziś wiadomo, że „cuda" radzieckiej i rosyjskiej techniki, ze względu na wyjątkowo słaby sposób wykonania, są bardzo zawodne. Przykłady można tu mnożyć: elektrownia w Czarnobylu, atomowe okręty podwodne „Komsomolec" i „Kursk" oraz położona nad Zatoką Fińską 80 km od Petersburga elektrownia jądrowa Sosnowy Bór, w której już dwukrotnie dochodziło do poważnych awarii. Wykorzystuje się w niej cztery zmodernizowane reaktory grafitowe RBMK, które do użytku zostały oddane w latach 1973–1981. Rosyjscy eksperci przekonują jednak, że po modernizacji są one niezawodne i spełniają światowe normy bezpieczeństwa.

Pierwsza pływająca instalacja jądrowa będzie przygotowana do zasilania w energię dwustutysięcznego miasta, takiego jak włączony w projekt Siewierodwińsk (sześć kolejnych instalacji, które do eksploatacji trafią do 2030 roku, zostanie wyposażonych w reaktory z atomowych okrętów podwodnych – o mocy 300–400 MW). Tyle że

ALEXANDER NEMENOV/EAST NEWS

TO JUŻ BYŁO

Rosyjski projekt nie jest nowością. Już w latach 1968–1976 Amerykanie używali pływającej instalacji jądrowej „Liberty Sturgis" na potrzeby stacjonujących w strefie Kanału Panamskiego jednostek US Army.

Na zdjęciu: „Akademik Łomonosow"

KOSZT BUDOWY PŁYWAJĄCEJ SIŁOWNI JĄDROWEJ OBLICZA SIĘ NA **220–250 MLN** DOLARÓW

program, który zakładał pierwotnie potrzebę zlikwidowania dużego deficytu energetycznego na najbiedniejszych północnych terenach kraju, okazał się zwykłą przykrywką dla interesów armii. W Siewierodwińsku znajduje się największa na świecie stocznia Siewmasz. W ostatnich latach wielokrotnie, z powodu wielogodzinnej przerwy w dostawie energii elektrycznej, przerywano w niej pracę. Stocznia stanowi istotne ogniwo w restrukturyzacji Floty Północnej, polegającej na wymianie atomowych okrętów podwodnych. Trzydzieści cztery jednostki z tych już wycofanych ze służby zutylizowano w Siewmaszu, a na likwidację czeka około 50 kolejnych. Stocznia ta oraz Centrum Remontowe „Zwiezdoczka" są też zaangażowane w modernizację atomowych strategicznych okrętów podwodnych klasy Tajfun oraz w budowę jednostek nowej generacji projektu 955 Boriej (prototypowy „Jurij Dołgorukij" przechodzi zaawansowane próby stoczniowe).

Ze względu na braki w dostawach prądu nie pracowały również wojskowe stacje radiolokacyjne wchodzące w skład wojsk kosmicznych. Odgrywają one natomiast ważną rolę w systemie wczesnego wykrywania rakiet balistycznych i pozwalają obserwować natowskie próby rakiet

na poligonach w Norwegii i Szwecji. Rosyjska administracja planuje, że pływające instalacje jądrowe szczelnie okolą nie tylko północne wybrzeże Europy, lecz także dalekowschodnie wybrzeże Rosji. Urzędnicy Ministerstwa Energii Atomowej i przedsiębiorstwa Rosenergoatom wśród potencjalnych miejsc ich eksploatacji wymieniają również Pietropawłowsk Kamczacki, Nachodkę, Nikołajewsk nad Amurem, Norylsk, Dudinkę, Anadyr, Piwek, Chabarowsk, Rudnają Pristań oraz Sowiecką Gawań. Dalekowschodnie instalacje jądrowe budzą obawy Japonii i Południowej Korei ze względu na ryzyko skażenia bogatych w ryby łowisk. To zaniepokojenie jest o tyle zasadne, że Rosjanie nie przestrzegają zasad bezpiecznego składowania odpadów nuklearnych i nie rozwiązali problemu dzikich wysypisk atomowych.

Sam pomysł budowy pływających elektrowni jądrowych, w obliczu dużego kryzysu energetycznego, z jakim od lat na północy zmaga się Rosja, może i nie jest zły, ale istnieją poważne obawy co do jakości wykonania instalacji. Z drugiej strony geolodzy oceniają, że dno Morza Barentsa i wody Dalekiego Wschodu kryją w sobie co najmniej 70 mld baryłek ropy naftowej i gazu. A przecież XXI wiek miał być epoką gazu, a nie atomu. Tym bardziej że gaz ziemny jest łatwy do wydobycia, nie ma problemów z jego transportem i jest dużo bardziej przyjazny dla środowiska niż energia nuklearna. Pływające elektrownie jądrowe natomiast mogą stanowić zagrożenie nie tylko dla Polski, lecz także całej Europy, która już raz doświadczyła „dobrodziejstw" radzieckiej energetyki jądrowej. ■

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Demony przeszłości

Nie jest to nowe zjawisko, ale ostatnio zdaje się przybierać na sile. Raporty, które każdego roku resort obrony składa do Bundestagu, pokazują, że w szeregach Bundeswehry służą m.in. prawicowi ekstremiści. Od zniesienia poboru w 2011 roku kontrwywiad wojskowy odnotowuje rocznie około 300 takich przypadków. Czy zatem niemiecka armia ma problem z neonazizmem?

Niemieckie prawo zakazuje propagowania nazizmu i grozi za nie trzy lata więzienia. W praktyce jednak nie zawsze te przepisy są rygorystycznie przestrzegane. Za zamieszczenie w internecie zdjęcia Hitlera z podpisem: „Zaginął w 1945 roku. Zamelduj się, Adolfie! Niemcy cię potrzebują! Naród niemiecki", żołnierz zapłacił 800 euro kary, inny za hitlerowskie pozdrowienie nie poniósł żadnej… W 2017 roku szerokim echem odbiła się sprawa zainspirowanego nazizmem oficera, który planował przeprowadzenie antyrządowego zamachu terrorystycznego. Czy neonazistowskie zachowania w armii powinny niepokoić? Bez wątpienia tak.

Niemcy mają taką przeszłość, że każde wystąpienie żołnierza, które gloryfikuje III Rzeszę czy nienawiść do obcych, nabiera niepokojącej wymowy. Jest komentowane nie tylko w kraju, lecz także za granicą. Fatalnie zatem wpływa na wizerunek Bundeswehry i reputację samych Niemiec. Trudno uznać tamtejszą armię za przytulisko dla neonazistów, ale trudno też odmówić racji minister obrony Ursuli von der Leyen, która skrytykowała dowództwo armii za niedostateczny nadzór – za lekceważenie przejawów nie tylko prawicowego ekstremizmu, lecz także ksenofobii, nietolerancji i rasizmu. Okazało się także, że niemieckie koszary pełne są pamiątek po III Rzeszy: starych hełmów, broni, orderów, zdjęć. A przecież w 1955 roku nową niemiecką armię tworzyło wielu oficerów Wehrmachtu.

Do lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia funkcjonował obraz Wehrmachtu jako armii, która nie miała nic wspólnego z dokonaniami zbrodniczego reżimu. Od tego czasu zrobiono wiele, aby zerwać z niechlubną przeszłością niemieckiego militaryzmu. Minister von der Leyen uważa, że jedyną tradycją Wehrmachtu, na jaką może powoływać się Bundeswehra, jest ta związana ze spiskiem i zamachem na Hitlera w lipcu 1944 roku. Są jednak jeszcze w Niemczech politycy, którzy krytykują brak poszanowania ze strony Bundeswehry dla tradycji armii III Rzeszy.

Trudno nie zadać pytania, dlaczego w niemieckim wojsku wracają demony przeszłości. Częściowo jest to skutek polityki historycznej tego kraju: zacierania pamięci o zbrodniach, wybielania przeszłości, eksponowania poczucia krzywdy. W serialu „Nasze matki, nasi ojcowie" młodzi mężczyźni służący w Wehrmachcie są „ofiarami historii", z poczucia obowiązku walczą w imię swojej ojczyzny.

Niemiecka minister obrony chce, by kandydaci do wojska byli poddani ostrzejszej selekcji, a ci, którzy do niego wstąpią, mają być dodatkowo kształceni z historii i nauk politycznych. No cóż, armia jest częścią społeczeństwa i zwierciadłem jego nastrojów. ■

TOMASZ OTŁOWSKI

MIASTO POLEM BITWY

Coraz wyraźniej zmienia się przestrzeń, w której prowadzi się dzisiaj działania zbrojne.

Ostatnie lata przyniosły zauważalne zmiany w naturze konfliktów zbrojnych, we wdrażaniu nowych, hybrydowych metod ich prowadzenia oraz w samym sposobie myślenia o wojnie. Dotyczy to zarówno istotnego wzrostu znaczenia sfery medialno-informacyjnej i propagandowej oraz internetowej „wirtualnej rzeczywistości", jak też fizycznego wymiaru współczesnych wojen.

W tym ostatnim aspekcie daje się zauważyć przede wszystkim to, że dzisiejsze konflikty toczą się coraz częściej w ciasnej przestrzeni gęsto zaludnionych miast. Ośrodki miejskie stają się stopniowo głównymi i najważniejszymi polami bitew, współczesnych konfliktów, zarówno tych „klasycznych", jak i hybrydowych, z wszystkimi strategicznymi, operacyjnymi i humanitarnymi konsekwencjami. Nawet pobieżna analiza przebiegu konfliktów w ostatniej dekadzie pokazuje, że toczyły się one głównie w terenie zurbanizowanym lub wprost na obszarze aglomeracji miejskich. Dotyczy to także zdecydowanej większości trwających obecnie konfliktów zbrojnych. Zażarte zmagania o Aleppo w Syrii oraz Słowiańsk i Debalcewo na wschodniej Ukrainie stały się symbolami nie tylko brutalizacji współczesnych konfliktów, lecz także właśnie koncentracji wysiłku militarnego na obszarach miejskich.

MIEJSKA DŻUNGLA

Sytuacja taka nie powinna jednak dziwić. Niemal cały świat – włącznie z jego najbiedniejszymi i najbardziej zacofanymi regionami – przechodzi od kilku dekad gwałtowny proces urbanizacji, czyli rozwoju i powiększania się obszarów miejskich. Trend ten ulega wyraźnemu przyspieszeniu i zakłada się, że do roku 2050 niemal 65% powierzchni tzw. rozwijającego się świata ma być już zurbanizowana (w tym samym czasie dla państw wysokorozwiniętych wskaźnik ten wyniesie ponad 85%). Inne szacunki wskazują, że do roku 2025 mieszkańcy miast będą stanowić aż 63% ludności świata. Oznacza to, że tereny zurbanizowane staną się istotnym elementem krajobrazu większości krajów, a ranga polityczna i strategiczna miast znacząco wzrośnie. Co się z tym wiąże, każdy ewentualny konflikt zbrojny (bez względu na jego skalę i charakter) toczyć się będzie w coraz większym stopniu właśnie w warunkach miejskich.

Ze względu na tę specyfikę już dzisiaj zaczyna się zmieniać sposób prowadzenia wojen. Priorytet zyskują wyrafinowane zdolności operacyjne z zakresu „urban warfare", czyli efektywnego prowadzenia działań militarnych w realiach miejskiej dżungli. Na znaczeniu zaczynają powoli tracić klasyczne elementy sztuki wojennej i wielkiej strategii, powstałe na bazie doświadczeń wyniesionych z wojen toczonych w minionych 200 latach. Dzisiejsze kampanie militarne coraz częściej wygrywa zatem ten, kto skuteczniej walczy w trudnych warunkach miejskich (zwłaszcza podczas konfliktów asymetrycznych lub hybrydowych), niż ten, kto umiejętniej manewruje „w polu" dużymi związkami operacyjnymi, zwłaszcza ciężkimi. Pierwsze oznaki tego procesu widać dziś głównie na przykładzie wspomnianych wojen w Syrii i na Ukrainie.

Postępująca w szybkim tempie urbanizacja generuje także rozmaite wyzwania natury społecznej, ekonomicznej i organizacyjnej. Rozrastające się miasta potrzebują utrzymania przynajmniej minimalnego poziomu elementarnych „funkcji życiowych": działania służb komunalnych (w tym zwłaszcza dostaw energii elektrycznej i pitnej wody), zapewnienia względnego bezpieczeństwa ich mieszkańców oraz podstawowej choćby opieki zdrowotnej i socjalnej.

PIXABAY, PK/DZIAŁ GRAFICZNY

ZAMIAST KOSZTOWNEGO OBLĘŻENIA, NIOSĄCEGO RYZYKO DUŻYCH STRAT WŁASNYCH I ZNISZCZEŃ, MOŻNA SPRÓBOWAĆ „ZMIĘKCZYĆ" OBRONĘ, STOSUJĄC NIEZBYT WYRAFINOWANE METODY Z ZAKRESU **DZIAŁAŃ HYBRYDOWYCH**

I w tym właśnie miejscu pojawia się pole do zastosowania przez ewentualnego agresora technik hybrydowych. W wielu państwach stratedzy, planiści wojskowi i eksperci zajmujący się problematyką bezpieczeństwa już od pewnego czasu intensywnie studiują koncepcję tzw. zdziczałych (upadłych) miast (ang. feral cities). Opiera się ona na założeniu, że praktycznie każdy ośrodek miejski – bez względu na to, pod jaką szerokością geograficzną się znajduje – można celowo doprowadzić do „zdziczenia", czyli stanu, w którym krytyczne elementy infrastruktury komunalnej, energetycznej, transportowej, telekomunikacyjnej itd. przestają działać lub funkcjonują w sposób niepoprawny. Takie „upadłe miasto", zamienione w ośrodek chaosu i anarchicznego bezprawia, staje się w rezultacie łatwym obiektem ataku.

METODA CHAOSU

Koncepcja „feral cities" budzi więc coraz większe zainteresowanie jako alternatywa dla regularnych, klasycznych operacji militarnych, mających na celu zajęcie określonego miasta. Zamiast czasochłonnego i kosztownego oblężenia, niosącego ryzyko dużych strat własnych, ofiar cywilnych i zniszczeń infrastruktury, można spróbować „zmiękczyć" obronę, stosując niezbyt wyrafinowane metody z zakresu działań hybrydowych.

Wbrew pozorom efektywne zastosowanie tej strategii nie dotyczy wyłącznie krajów rozwijających się i ich przeżartych biedą miast-slumsów. Jak pokazuje przykład ofensywy islamistów z Państwa Islamskiego (IS) na iracki Mosul latem 2014 roku, nawet rozwinięta i relatywnie dobrze funkcjonująca dwumilionowa metropolia w zasobnym w ropę naftową państwie może zostać niemalże z dnia na dzień strącona w odmęty anarchii i chaosu, jeśli umiejętnie zostanie zastosowanych kilka hybrydowych taktyk. Takich jak odcięcie dopływu prądu i wody (lub sprawienie, że ich dostawy nie są regularne), zakłócanie działania środków łączności i telekomunikacji, naruszenie lub wręcz przerwanie łańcucha dostaw podstawowych dóbr konsumpcyjnych, z żywnością na czele itp. Działania te wsparte są odpowiednią, prowadzoną głównie w mediach społecznościowych, kampanią propagandową i (dez)informacyjną, mającą na celu zdezorientowanie i osłabienie morale cywilów oraz osób odpowiedzialnych za bezpieczeństwo/obronę. Możliwe są także bezpośrednie działania kinetyczne (ataki, zamachy), wzmagające panikę i chaos w atakowanym mieście. W przypadku Mosulu strategia taka przyniosła pełny sukces – agresor zajął miasto w kilkanaście godzin niemalże bez walki.

SŁABOŚĆ LUDZI ZACHODU

Czy podobnie byłoby w przypadku dużych metropolii europejskich, Polski nie wyłączając? Czy ich mieszkańcy byliby bardziej uodpornieni na hybrydowe taktyki napastnika? Niestety, trudno być w tej kwestii optymistą – wiele wskazuje na to, że im bogatsza i wyżej rozwinięta metropolia, tym większa może być skuteczność strategii „upadłego miasta". Wszak mieszkańcy Mosulu byli już przyzwyczajeni do okresowych wyłączeń prądu i wody, sporadycznych kłopotów z zaopatrzeniem, a także ataków i zamachów terrorystycznych – żyli przecież od lat w warunkach pełzającej wojny domowej i konfliktu asymetrycznego. Pomimo to w zadziwiająco łatwy sposób padli ofiarą działań opartych na strategii „feral city". Co zatem w podobnej sytuacji stałoby się w przypadku miast Zachodu? Ich mieszkańcy żyją przecież komfortowo w warunkach stabilności i bezpieczeństwa, w znanym sobie środowisku, zapewniającym wszelkie udogodnienia nowoczesności. Jak zareagowaliby na przysłowiowy brak ciepłej wody w kranie?

Aby się przekonać, jak bardzo mieszkańcy Zachodu są wrażliwi na najmniejsze niedogodności i kłopoty bytowe, wystarczy prześledzić przebieg wielkich awarii sieci energetycznych (jak ta w USA w sierpniu 2003 roku), skutkujących długotrwałym pozbawieniem prądu wielu dużych miast. Niemal natychmiast pogrążyły się one w chaosie bezprawia i przemocy, a funkcjonowanie struktur społecznych i instytucji publicznych zostało sparaliżowane. A przecież elektryczność to tylko jeden z kilku (obok mediów społecznościowych, komunikacji internetowej, łączności komórkowej itd.) czułych punktów współczesnej cywilizacji, jakże łatwych do zaatakowania i sparaliżowania. Szykujemy się na zagrożenia w postaci rakiet balistycznych, ataków lotnictwa lub wrogich zagonów pancernych na rogatkach naszych miast, tymczasem największym niebezpieczeństwem jest być może nasza własna słabość i brak odporności na banalne niedogodności oraz trudności bytowe. Czyżby więc rację miał irański strateg, Hassan Abbasi, który już w 2005 roku twierdził, że „ludzie Zachodu nie mają woli walki. Ten fenomen nie jest jednak nowy – wszystkie imperia w przeszłości doprowadzały do pojawienia się takiego typu ludzi: nastawionych materialistycznie, przyzwyczajonych do życia w luksusie i wygodzie, unikających nadmiernego ryzyka i pozbawionych ochoty do walki oraz do ponoszenia wyrzeczeń". ■

TADEUSZ WRÓBEL

Jeden teatr

Wkrótce Dowództwo Pacyfiku prawdopodobnie zmieni nazwę na Dowództwo Indyjsko-Pacyficzne. Płk Rob Manning, rzecznik Departamentu Obrony USA, stwierdził, że nie wiąże się to ze zmianą zadań tej instytucji. Celem jest lepsze scharakteryzowanie odpowiedzialności poszczególnych struktur. Dowództwo, którego siedziba znajduje się na Hawajach, od dawna bowiem zajmuje się też sprawami bezpieczeństwa na Oceanie Indyjskim. Oba akweny stanowią jeden teatr działań, chociaż na północy łączą je jedynie wąskie cieśniny: Malaka, Sundajska i Lombok.

Komitet sił zbrojnych Izby Reprezentantów zalecił też przemianowanie Południowo-Wschodniej Azjatyckiej Inicjatywy Bezpieczeństwa Morskiego na Indyjsko-Pacyficzną Inicjatywę Bezpieczeństwa Morskiego i zaproponowanie dołączenia do niej Indiom.

Stany Zjednoczone, podobnie jak część państw Azji, niepokoi aktywność militarna Chin. Pekin skrzętnie wykorzystał zmniejszenie obecności militarnej Amerykanów w regionie po zamknięciu ich baz wojskowych na Filipinach. Chińczycy zaczęli wówczas przejmować kontrolę nad spornymi wysepkami na Morzu Południowochińskim, które jest jednym z najważniejszych szlaków morskich na świecie.

Państwo Środka uaktywniło się w ostatnich latach również na Oceanie Indyjskim. Pierwszą zagraniczną bazę wojskową ulokowało w Dżibuti, strategicznym punkcie w pobliżu cieśniny łączącej morza Czerwone i Arabskie. Chińczycy koegzystują tam z Amerykanami i Francuzami. Pekin porozumiał się też w sprawie budowy lub przejęcia portów z kilkoma państwami Azji: Bangladeszem, Myanmarem, Pakistanem i Sri Lanką. Zapewnia co prawda, że ta aktywność ma tylko charakter ekonomiczny, ale nie wszyscy w to wierzą. Zaniepokojeni są szczególnie Hindusi, więc podjęli działania zaradcze – porozumieli się z Iranem, Madagaskarem, Singapurem i Seszelami w kwestii korzystania z infrastruktury wojskowej. Amerykanie zaś dysponują bazami nad Zatoką Perską i na wyspie Diego Garcia oraz w Australii.

Skąd to zainteresowanie Chin i Indii oceanem? Jednym z powodów są surowce energetyczne. Oba kraje są uzależnione od ich importu drogą morską z Afryki i Bliskiego Wschodu. Dlatego starają się, by szlaki dostaw nie znalazły się pod obcą kontrolą. Do tego dochodzą jeszcze stare spory terytorialne i walka o wpływy w regionie. ■

Obrońcy Lwowa, z oddziału por. Schleygena, prawdopodobnie w Ogrodzie Jezuickim

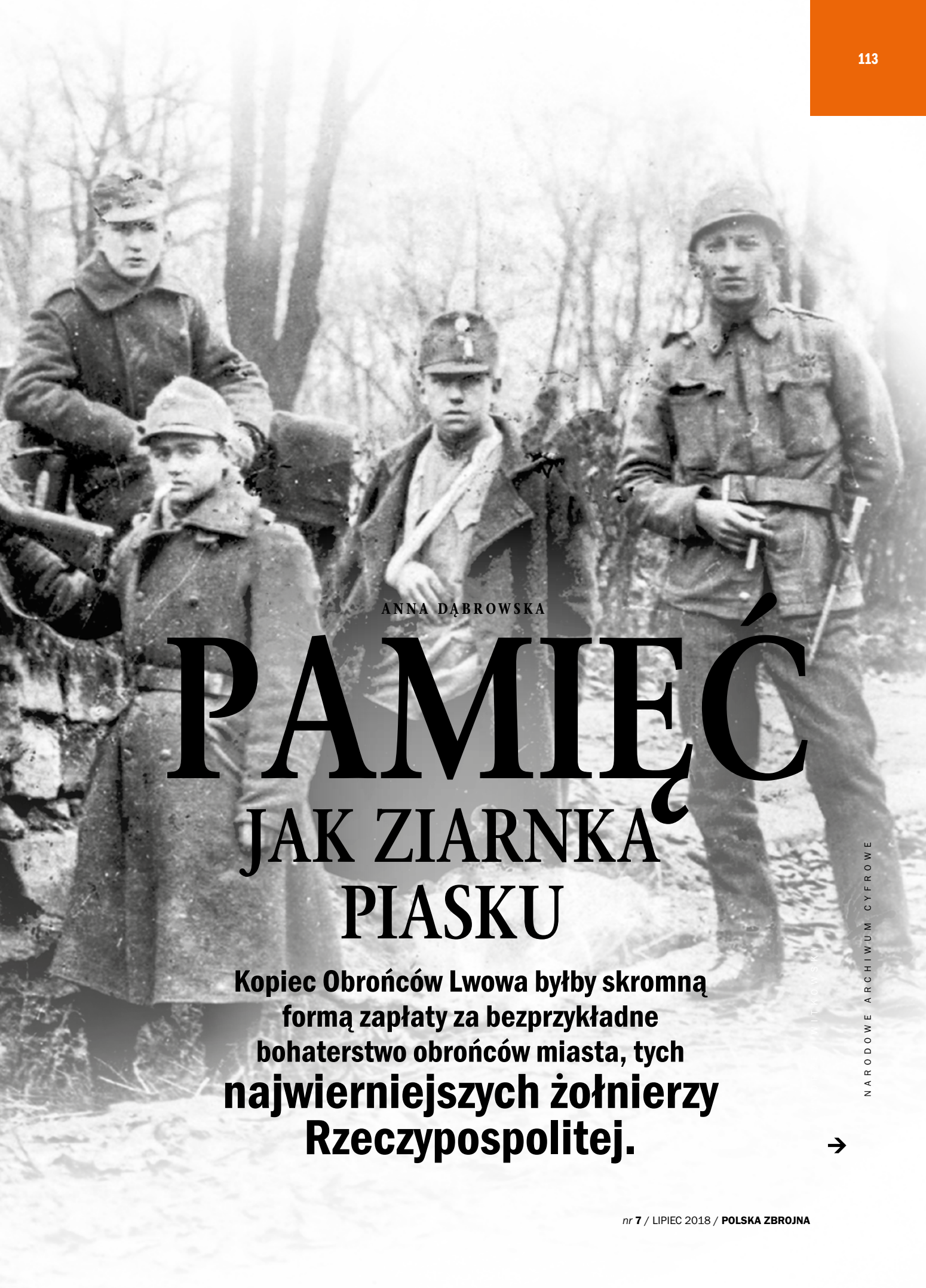

ANNA DĄBROWSKA

PAMIĘĆ JAK ZIARNKA PIASKU

Kopiec Obrońców Lwowa byłby skromną formą zapłaty za bezprzykładne bohaterstwo obrońców miasta, tych najwierniejszych żołnierzy Rzeczypospolitej.

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (2)

Młodzież pomagająca przy budowie kopca Piłsudskiego na Sowińcu w Krakowie, usypanego w latach 1934–1937. Na zdjęciu obok ludzie pracujący przy przekopywaniu kopca Krakusa podczas badań archeologicznych, Kraków 1933 rok.

Walki o Lwów rozpoczęły się rankiem 1 listopada 1918 roku, kiedy Ukraińcy służący w austro-węgierskich jednostkach zajęli większość gmachów publicznych w mieście i proklamowali utworzenie Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej ze stolicą we Lwowie. „Chcieli zawładnąć miastem, korzystając z tego, że większość Polaków wcielonych do armii austriackiej została wysłana na front włoski", podkreśla dr n. med. Zbigniew Kopociński, prezes Stowarzyszenia Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów – Oddział Żary, jeden z inicjatorów uczczenia tej obrony.

Walkę przeciwko ukraińskim siłom podjęły spontanicznie powstające polskie oddziały złożone z mieszkańców miasta, przeważnie młodzieży oraz członków polskich organizacji konspiracyjnych, w tym Polskiej Organizacji Wojskowej. W następnych dniach, w ciężkich walkach Polacy opanowywali kolejne części miasta.

Z odsieczą przybyły 20 listopada oddziały Wojska Polskiego pod dowództwem ppłk. Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza. Następnego dnia rozpoczęły się wspólne walki o miasto. „Były to bohaterskie dni, ale jednocześnie bardzo tragiczne. Walczyliśmy całą noc do 6 rano następnego dnia. O świcie zajęliśmy Łyczaków. Ponieśliśmy ciężkie straty", mówił po latach gen. broni Tokarzewski-Karaszewicz w Radiu Wolna Europa. Wspólne uderzenie polskich obrońców oraz wojska wyparło 22 listopada siły ukraińskie ze Lwowa.

W szeregach obrońców miasta walczyło wówczas ponad 6 tys. osób, wśród nich wielu uczniów i studentów, z których blisko 1,5 tys. nie ukończyło 17. roku życia. Nazwano ich Orlętami Lwowskimi. Podczas starć zginęło 439 obrońców, 120 z poległych było uczniami, a 76 studentami.

Oddziały ukraińskie po wycofaniu się z miasta rozpoczęły jego oblężenie. Przez pół roku trwał ostrzał artyleryjski, a na przedmieściach toczyły się walki. Wojska ukraińskie kilkakrotnie atakowały miasto, ale wszystkie natarcia zostały odparte.

Dzięki ofensywie polskiego wojska, w tym przybyłej z Francji armii gen. Józefa Hallera, wojska ukraińskie 22 maja 1919 roku ostatecznie się wycofały. Za bohaterską obronę 22 listopada 1920 roku marszałek Józef Piłsudski odznaczył miasto Krzyżem Virtuti Militari.

KRESOWA STOLICA POLSKI

„Nie byłoby niepodległej Polski bez obrońców Lwowa. Szczątki jednego z nich spoczywają nawet w Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie", przypomina Józef Tarniowy,

ZWYCIĘSKIE PRACE W KONKURSIE DLA DZIECI I MŁODZIEŻY „MOJA WIZJA KOPCA OBROŃCÓW LWOWA”

❶ Projekt kopca Janiny Weglewskiej
❷ Figurka Jasia Kukawskiego z projektu Julii Bednarek
❸ Projekt Jakuba Macki

MIEJSCA SYMBOLICZNE

KOPCE WZNOSZONO DLA UPAMIĘTNIENIA WAŻNYCH WYDARZEŃ ORAZ WYJĄTKOWYCH OSÓB.

Dziś jest w Polsce ponad 20 takich budowli. Największa z nich to kopiec Piłsudskiego, usypany w zachodniej części Krakowa. Prace nad nim rozpoczęto 6 sierpnia 1934 roku, w 20. rocznicę wymarszu z Krakowa I Kompanii Kadrowej Legionów. Po śmierci marszałka Józefa Piłsudskiego nazwano go jego imieniem. Sypanie zakończono latem 1937 roku. W liczącym 35 m wysokości kopcu złożono ziemię z pól bitewnych I wojny światowej, na których walczyli Polacy. Dużo starsze są krakowskie kopce, tzw. Wandy i Kraka. Twórcy, czas powstania i przeznaczenie są nieznane. Według archeologów, Kopiec Wandy zbudowano prawdopodobnie około VII–VIII wieku, a Kraka – między końcem VI a przełomem VII i VIII wieku. Kilkunastometrowe budowle mogły pełnić funkcje kultowe lub być okazałym grobowcem.

Także w Krakowie znajduje się kopiec poświęcony Tadeuszowi Kościuszce. Decyzję o budowie podjęły władze miasta w 1820 roku. Trwała ona trzy lata, a znaczną część prac wykonali ochotnicy. Dziś przy liczącym niemal 35 m wysokości kopcu działa Muzeum Kościuszkowskie.

We Lwowie na Wzgórzu Zamkowym, z okazji 300. rocznicy zawarcia unii lubelskiej, usypano w 1869 roku kopiec upamiętniający to wydarzenie. Ze szczytu roztacza się piękny widok na miasto i okolicę. Z kolei stołeczny kopiec Powstania Warszawskiego to sztuczne wzniesienie powstałe po 1945 roku z gruzu po zniszczonych warszawskich budynkach. Z okazji 60. rocznicy wybuchu zrywu uporządkowano szczyt kopca i zainstalowano tam kilkumetrowej wysokości symbol Polski Walczącej. ■

prezes Kresowego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego im. Orląt Lwowskich. Jak dodaje, po II wojnie światowej mieszkańcy Kresów stali się wygnańcami, a o bohaterskich walkach o Lwów przez ponad 70 lat PRL-u nie można było mówić. „Historia Orląt Lwowskich była zakłamywana, a teraz odchodzi w zapomnienie”, uzupełnia dr n. med. Krzysztof Kopociński, prezes Klubu Tarnopolan Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

Bracia Kopocińscy są szefami pododdziału okulistycznego w 105 Kresowym Szpitalu Wojskowym w Żarach i laureatami Buzdygana „Polski Zbrojnej”, m.in. za działalność upamiętniającą polskie Kresy. Jak mówią, to część ich historii, ponieważ wywodzą się z miejscowości Krosienko pod Lwowem. Kopocińscy przyczynili się np. do odnowienia na wileńskim cmentarzu grobu ppłk. dr. Kazimierza Malanowicza, byłego komendanta 3 Szpitala Okręgowego w Grodnie, organizują też akcję „Światełko

pamięci", czyli zbieranie zniczy, które 1 listopada trafiają na polskie cmentarze na Kresach.

Teraz wraz ze środowiskiem kresowym z Żar wystąpili z ideą budowy z okazji stulecia odzyskania niepodległości Polski kopca upamiętniającego walkę o Lwów. „Wznoszenie kopców z okazji ważnych patriotycznych rocznic ma w Polsce długą tradycję", mówią. „Właśnie takie monumentalne upamiętnienie jest adekwatne do czynu obrońców i będzie nawiązywać do historii, kiedy pod zaborami, dla podtrzymania ducha narodowego, usypano we Lwowie kopiec Unii Lubelskiej, a w Krakowie kopiec Kościuszki", dodaje dr Krzysztof Kopociński.

Zdaniem pomysłodawców, powinien on powstać we Wrocławiu, w nawiązaniu do wspólnej historii stolicy Dolnego Śląska i kresowego miasta. „To do Wrocławia po 1945 roku zostali w dużej części przesiedleni mieszkańcy Lwowa i to oni zajęli się jego odbudową. Dlatego długie lata po wojnie Wrocław był nieoficjalną kresową stolicą Polski i nazywano go drugim Lwowem", opowiada Tarniowy. Jak dodaje, do tego miasta przywieziono też lwowskie zabytki: stolica Dolnego Śląska przejęła Panoramę Racławicką, pomnik Aleksandra Fredry i część zbiorów Ossolineum, a naukowcy z Uniwersytetu Jana Kazimierza i Politechniki we Lwowie budowali świetność wrocławskich uczelni.

NAWIĄZANIE DO ANDERSA

W październiku 2017 roku żarskie środowiska kresowe, z poparciem organizacji kresowych z całego kraju, skierowały list do prezydenta Wrocławia Rafała Dutkiewicza z wnioskiem o upamiętnienie obrońców Lwowa. „Kopiec byłby wyrazem wdzięczności, hołdu i szacunku dla wszystkich bohaterskich mieszkańców miasta Zawsze Wiernego, za ich wielki wkład i poświęcenie w dzieło odzyskania wolności przez nasz kraj oraz trwałym elementem edukacji patriotycznej dla współczesnych i przyszłych pokoleń Polaków", czytamy w liście.

Podpisało się pod nim kilkadziesiąt organizacji kresowych z całego kraju, m.in. Klub Tarnopolan Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Stowarzyszenie Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów – Oddział Żary, Kresowe Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze im. Orląt Lwowskich w Żarach, Patriotyczny Związek Organizacji Kresowych i Kombatanckich w Warszawie, Światowy Kongres Kresowian. „Całym sercem popieramy inicjatywę", mówi Tarniowy. Pomysł podoba się też Jackowi Ossowskiemu, przewodniczącemu Rady Miejskiej Wrocławia, którego przodkowie pochodzili ze Lwowa. „Kopiec czy miejsce na którymś ze wzgórz wrocławskich poświęcone obrońcom Lwowa jest bardzo dobrym pomysłem", mówił pod koniec zeszłego roku w Radiu Wrocław.

Inicjatywa kresowiaków znalazła uznanie w oczach prezydenta Andrzeja Dudy. „Na nasze pismo przedstawiające ideę budowy kopca dostaliśmy odpowiedź z Kancelarii Prezydenta z wyrazami uznania i informacją o możliwości

Gen. Tadeusz Kutrzeba podczas pracy przy budowie kopca Piłsudskiego

NAJWIĘKSZĄ BUDOWLĄ TEGO TYPU W POLSCE JEST KOPIEC NIEPODLEGŁOŚCI IM. JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO W KRAKOWIE

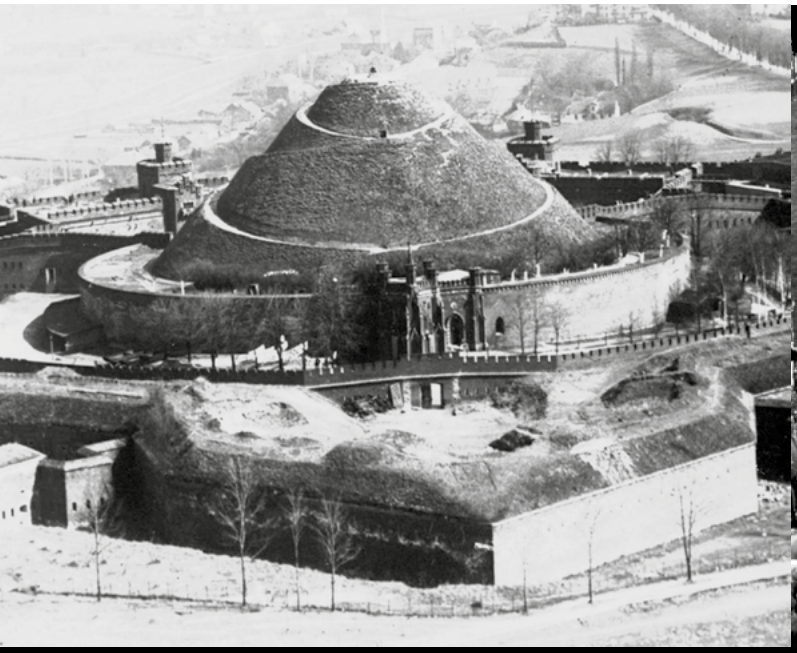

Kopiec Kościuszki z lotu ptaka, lata trzydzieste XX wieku

Msza polowa z okazji poświęcenia kopca Wyzwolenia w Piekarach Śląskich, 1937 rok

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (3)

objęcia przez prezydenta patronatem honorowym uroczystości odsłonięcia monumentu oraz udziału głowy państwa w tej uroczystości", wyjawia dr Zbigniew Kopociński. Przychylnie na pomysł patrzy również prof. Krzysztof Szwagrzyk, wiceprezes Instytutu Pamięci Narodowej. „Uważam, że to doskonały pomysł, aby we Wrocławiu, z którego pochodzę, powstał taki kopiec. Byłaby to właściwa forma uhonorowania naszych bohaterów".

CZEKANIE NA DECYZJE

Zdaniem inicjatorów akcji dobrym miejscem na wzniesienie kopca byłoby Wzgórze Andersa w południowej części miasta. To sztucznie utworzone po 1945 roku wzniesienie jest jednym z kilku wysypisk gruzu ze zburzonych w czasie oblężenia Wrocławia domów. Dr Krzysztof Kopociński przekonuje do tej lokalizacji: „Przede wszystkim dzięki usypanemu tam gruzowi dawałoby solidną podstawę dla kopca, a swoim usytuowaniem nawiązywałoby do lwowskiego kopca Unii Lubelskiej na Wzgórzu Zamkowym", mówi.

Ponadto, jak zaznaczono w liście do prezydenta Wrocławia, powstałby w ten sposób najpiękniejszy punkt widokowy w mieście, z którego rozciągałaby się panorama m.in. na Starówkę i górę Ślężę. „Nawiązanie do gen. Władysława Andersa też będzie słuszne, ponieważ oficer rozumiał znaczenie Kresów Wschodnich dla niepodległości Polski, stąd jego decyzja o nadaniu jednostkom 2 Korpusu Polskiego nazw: 5 Kresowa Dywizja Piechoty, 5 Wileńska Brygada Piechoty i 6 Lwowska Brygada Piechoty", tłumaczy dr Zbigniew Kopociński.

Jest jeszcze sprawą otwartą, jak kopiec miałby wyglądać oraz jaki byłby koszt jego wzniesienia. Zanim bowiem zostanie rozpisany konkurs architektoniczny, potrzebna jest zgoda na budowę i trzeba dokonać wyboru lokalizacji. „Projektanci mogliby czerpać inspiracje m.in. z prac nadesłanych na konkurs KTTK dla dzieci i młodzieży z lubuskich szkół „Moja wizja Kopca Obrońców Lwowa we Wrocławiu – na Stulecie Niepodległości Polski", dodaje Tarniowy.

Pomysłodawcy zaznaczają, że inwestycja mogłaby częściowo zostać sfinansowana ze środków zagwarantowanych w budżecie państwa w ramach obchodów stulecia odzyskania niepodległości. „Warto, aby pozostało coś trwałego, dla przyszłych pokoleń, co będzie symbolem patriotyzmu, pamięci i więzi narodowych", zaznacza dr Zbigniew Kopociński. Jak dodaje, część pieniędzy dałoby się pozyskać z funduszów Unii Europejskiej na rewitalizację byłego gruzowiska, można też ogłosić społeczną zbiórkę na ten cel. „Jesteśmy również gotowi zaangażować się w sypanie kopca", uzupełnia Tarniowy.

Niestety na razie wszystkie prace wstrzymuje brak odpowiedzi prezydenta Wrocławia na list Kresowian. Wnioskodawcy już wiedzą, że nie uda się wybudować kopca w tym roku. „Teraz chcemy, aby powstał on do 2021 roku, czyli do rocznicy końca walk o polskie granice", dodaje Tarniowy. „Kopiec Obrońców Lwowa byłby skromną formą zapłaty za bezprzykładne bohaterstwo obrońców miasta, tych najwierniejszych żołnierzy Rzeczypospolitej, i ich poświęcenie dla ojczyzny", podkreślają bracia Kopocińscy. ■

MACIEJ NOWAK-KREYER

Odkrywanie Ameryki

Trudno nie zauważyć, że nasi żołnierze chętnie korzystają z amerykańskiego sprzętu. Mało kto jednak wie, że ta fascynacja sięga pierwszych lat odrodzonej Polski.

Kiedy w 1919 roku, w obliczu sowieckiego zagrożenia, pospiesznie rozbudowywano Wojsko Polskie, jednym z wielu problemów były braki w umundurowaniu i oporządzeniu. Rozwiązaniem okazały się zakupy nadwyżek mundurowych pozostałych po armiach walczących w I wojnie światowej. Wśród uzyskanego w ten sposób wyposażenia znalazło się bardzo dużo używanych mundurów amerykańskich, nierzadko po poległych żołnierzach. Ubiory te były składowane w magazynach we Francji. Kupiono wówczas 100 tys. sztuk spodni, 187 tys. bluz, 112 tys. płaszczy, 375 tys. trzewików, 575 tys. owijaczy i 200 tys. furażerek. Do tego także sporo oporządzenia – blaszanych manierek M1910, rzędów końskich (tzw. meksykańskich) i tornistrów.

PRZERABIANE BLUZY

Amerykańskie sorty mundurowe o charakterystycznej barwie khaki w musztardowym odcieniu pod względem maskowania doskonale sprawdzały się w warunkach środkowoeuropejskich. Chętnie używano ich w Wojsku Polskim. W wełnianych bluzach zwykle przerabiano kołnierze ze stojących na wykładane, obszyte polskimi „wężykami", oraz wymieniano guziki. Pozbawione naramienników koszule, wciągane przez głowę i ściągnięte pasem głównym, noszono w roli bluz, jeśli tych nie wystarczyło dla niektórych żołnierzy. Przerobione w ten sposób mundury, zwykle w połączeniu z maciejówkami, stanowiły znaczący procent umundurowania Polaków w czasie Bitwy Warszawskiej.

Mundur armii amerykańskiej stał się też inspiracją na przykład dla furażerki. „Overseas cap", na którą w Europie wymieniono Amerykanom niepraktyczne kapelusze (wzorowana zresztą na francuskich furażerkach), to pierwowzór prawie nieróżniących się krojem polskich furażerek wz. 19 i 23. Co więcej, wprowadzona w 1935 roku letnia czapka pokładowa marynarki wojennej to niemalże dokładna kopia „dixie cup", zresztą potocznie nazywano ją amerykanką.

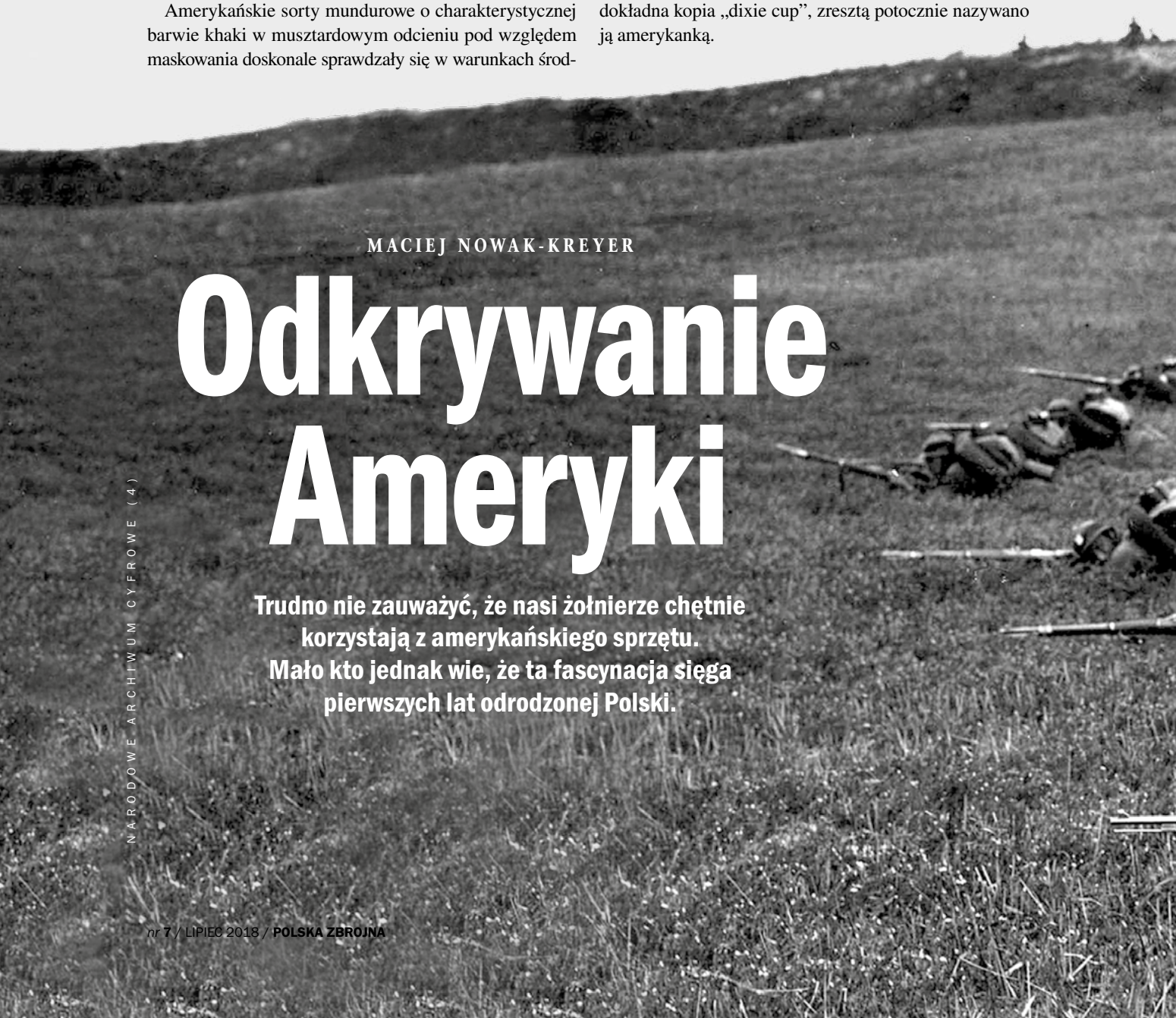

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (4)

W XIX wieku cała Europa fascynowała się polskimi ułanami. Obcy żołnierze wkładali wierzchnie nakrycia polskiego kroju i rogatywki. Niemiecka kawaleria jeszcze podczas I wojny światowej nosiła kurtki o nazwie „uhlanka”.

Wzorując się na mundurach żołnierzy Stanów Zjednoczonych, w 1919 roku wprowadzono, co prawda na krótko, oznaki stopni na rękawach.

BROŃ ZZA OCEANU

Po 1922 roku, po akcji zjednoczeniowej Wojska Polskiego, amerykańskie bluzy zniknęły z wyposażenia Polaków, ale pozostały owijacze oraz charakterystyczne musztardowe koce, z których korzystano jeszcze w latach trzydziestych ubiegłego stulecia. Manierek ze Stanów Zjednoczonych powszechnie używano zaś w czasie manewrów pomorskich w 1925 roku.

Już od początków II Rzeczypospolitej Polskiej nasi żołnierze mieli do czynienia również z amerykańską bronią. W 1919 roku do Polski trafiło z Francji kilkadziesiąt sztuk pistoletów Colt M1911 o potężnym kalibrze 11,43 mm, które stały się ulubioną bronią osobistą lotników. Rozwiązania konstrukcyjne w niej zastosowane wykorzystano w czasie prac nad pistoletem Vis wz. 35.

Podobnie zresztą rkm Browning Automatic Rifle M1918 (potocznie BAR) stał się bazą konstrukcji rkm wz 1928, podstawowego karabinu maszynowego piechoty Wojska Polskiego w 1939 roku. Zresztą na świecie nazywano go polskim BAR-em. Kiedy tę broń wprowadzano do użytku, ściągnięto pewną liczbę amerykańskich brezentowych ładownic na magazynki, do 1939 używanych równolegle z ładownicami krajowej konstrukcji. ■

Strzelec rkm wz. 28 wyposażony w ładownice typu amerykańskiego.

U żołnierza na pierwszym planie jest widoczna amerykańska manierka.

Żołnierz w amerykańskiej kurtce z wymienionymi naramiennikami

Polscy marynarze w „amerykankach”

Po ostatniej przepustce

ARCH. RODZINY PYRKÓW

HISTORIA PEWNEGO ZDJĘCIA
Marynarze pozują na tle działa ORP „Gryf", lato 1939 roku.

Wybrańcy losu, **którym udało się dostać do elitarnej formacji wojskowej. Jeszcze nie wiedzą, jaki czeka ich horror.**

W czerwcu, lipcu 1939 roku oznaki nadchodzącej wojny stawały się coraz wyraźniejsze; było „słychać szczęk żelaza na horyzoncie", ale młodzi marynarze nie uświadamiali sobie jeszcze, jaki horror wkrótce ich czeka… St. bosman Wojciech Klisowski tak opisywał ORP „Gryf" po nalocie niemieckiego lotnictwa: „Na pokładzie widać pełno krwi. Idąc dalej, ujrzałem przerażający widok. Przy pierwszym dziale na dziobie trzyma się kurczowo lewą ręką jakiś marynarz – stoi… bez głowy. W korytarzu pełno krwi. W pomieszczeniu jest jej prawie po kostki, na łóżkach leżą ciężko ranni, lżej ranni siedzą. […] Dokucza odór skrzepłej krwi". Ale na zdjęciu są jeszcze weseli, być może wrócili z przepustki, na której tańczyli z dziewczynami do melodii popularnego wtedy tanga „To ostatnia niedziela"… Grupa marynarzy pozuje na tle 120-milimetrowego działa swego okrętu – ORP „Gryf". Patrzymy na roześmianych wybrańców losu, którzy rozpoczynają służbę na pokładzie największego polskiego okrętu.

Pierwszy z lewej to mat Andruszkiewicz – najcięższy człowiek w całej flocie; 120 kg żywej wagi. Ten olbrzym ledwo mieścił się w okrętowych lukach, ale był przy tym nieludzko silny. Koledzy mawiali, że mógłby powtórzyć wyczyn sienkiewiczowskiego Ursusa z „Quo vadis", który na arenie rzymskiego cyrku skręcił kark germańskiemu turowi. Drugi od lewej to marynarz Stanisław Pyrek, ostatni żyjący marynarz z „Gryfa", który w urokliwych górskich Lusławicach nad Dunajcem przechował pamiątki i pamięć o historii swego okrętu (rozmowę z nim opublikowano w czerwcowym numerze „Polski Zbrojnej"). We Wrześniu '39 załoga „Gryfa" podjęła nierówny pojedynek z potęgą Luftwaffe i Kriegsmarine. Po zniszczeniu okrętu ci marynarze, którzy przeżyli, przenieśli jego działa na ląd i wzięli udział w jednej z najdłuższych bitew kampanii – obronie Helu. ■

PIOTR KORCZYŃSKI

Ja się tylko za Polskę biję

Bolesław Mościcki i jego ułani jednego dnia odnieśli zwycięstwo nad wojskami trzech zaborców Polski. Przed południem gromili Rosjan, po południu Niemców, a wieczorem Austriaków. I jeszcze zyskali sobie ich szczery podziw.

Pułk Ułanów Polskich wywodził się z oddziału kawalerii, który utworzono jeszcze w 1914 roku w składzie Legionu Puławskiego, walczącego po stronie Rosji. Kiedy wybuchła rewolucja lutowa w 1917 roku, polscy kawalerzyści wykorzystali zamieszanie, które powstało w rosyjskich sztabach, i na własną rękę przekształcili się w pułk. Ich dowódca, rotmistrz Adolf Waraksiewicz odmówił złożenia przysięgi na wierność nowemu rewolucyjnemu rządowi. Ułani przysięgali 25 marca 1917 roku słowami własnej roty: „ślubuję wierność idei walki o wolną i zjednoczoną Polskę". Jak podkreślono w kronice 1 Pułku Ułanów Krechowieckich: „Przez fakt osobnej, komu innemu złożonej przysięgi, pułk wyodrębnił się całkowicie z wojska rosyjskiego. Przy tym w chaosie rewolucyjnym odnalazł znowu swoją gwiazdę przewodnią – wierność sprawie ojczystej".

Latem 1917 roku pułk został przeniesiony z Ukrainy na front galicyjski, gdzie od razu odznaczył się znakomitą postawą i karnością na tle pogrążających się w coraz większym chaosie oddziałów rosyjskich. 19 lipca pod Nadwórną dowodzenie jednostką przejął płk Bolesław Mościcki. To nazwisko było już dobrze znane w całej rosyjskiej kawalerii.

Bolesław Mościcki urodził się 14 grudnia 1877 roku w Wysokiem Mazowieckiem. Pochodził z rodziny o tradycjach szlacheckich, ale ze szkołą nie było mu po drodze. Gimnazjum w Łomży nie ukończył, został górnikiem w Zagłębiu Dąbrowskim. W kopalni szybko zrozumiał, że wykształcenie jest potrzebne i zaczął się uczyć na własną rękę. Robił to na tyle skutecznie, że zdał egzamin uprawniający do odbycia rocznej służby w armii carskiej. Wojsko okazało się powołaniem Mościckiego.

PUŁKOWNIK ZE ZŁOTĄ SZABLĄ

Służbę rozpoczął w starokolskim batalionie zapasowym, skąd trafił do szkoły piechoty w Czugujewie. W 1902 roku poprosił o przeniesienie do kawalerii. W 1913 roku ukończył oficerską szkołę kawalerii w Petersburgu i został mianowany na rotmistrza. Przed wybuchem wielkiej wojny wziął udział w wyprawie nad Amur przeciwko chunchuzom. W kwietniu 1915 roku 2 Zaamurski Pułk Kawalerii, w którym Mościcki dowodził szwadronem, został przerzucony na front europejski. Pierwsze laury młody rotmistrz zdobył w boju pod Horodenką. Za męstwo odznaczono go Krzyżem św. Jerzego. Każda kolejna bitwa powiększała kolekcję rosyjskich odznaczeń bojowych Mościckiego. Ukoronowaniem tego była złota szabla, którą otrzymał w czerwcu 1916

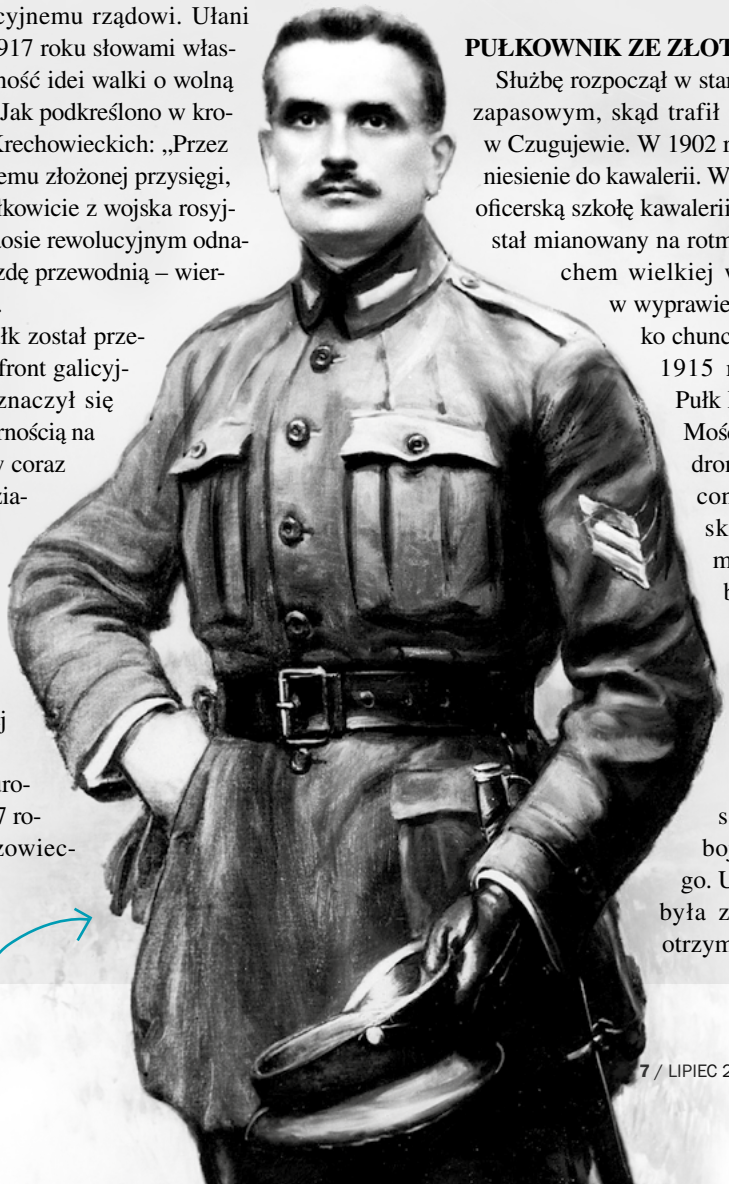

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Mościcki wraz ze swym pułkiem wszedł w skład I Korpusu Polskiego i brał udział w prowadzonych przez niego walkach z bolszewikami.

roku za szarżę konną pod Neterpińcami. Wkrótce awansował na podpułkownika, a wiosną 1917 roku, już jako pułkownik, objął dowodzenie 1 Zaamurskim Pułkiem Kawalerii.

Mościcki nie zapominał jednak, że jest Polakiem. Kiedy objął dowództwo nad Pułkiem Ułanów Polskich, w jego kronice zaznaczono, że ułani przeszli pod komendę „wielkiego żołnierza i dobrego Polaka". O tym, że nie były to słowa na wyrost, świadczy pewne wydarzenie. Otóż pułk w czasie przemarszu przez terytorium Rumunii odwiedziła delegacja francuskiej misji wojskowej. W trakcie bankietu na cześć gości jeden z nich, płk Tabouhis, wygłosił toast, w którym nawoływał do wytrwania w walce z Niemcami, bo po wojnie „Francja będzie – piękna, Anglia – bogata, Rosja – wielka, a Polska – będzie…!". Jak wspomina por. Zygmunt Podhorski: „Słowa te do żywego dotknęły płk. Mościckiego, że choć powstrzymał się od ostrzejszego wystąpienia w obecności Francuzów, lecz natychmiast po ich wyjściu, w obecności generałów rosyjskich, wybuchnął: »Czy oni myślą, że my się za nich bijemy? Ja się biję nie za Francję, nie za Rosję. Po co mi te krzyże? Ja się przecież tylko za Polskę biję«, po czym zerwał z piersi rosyjskie ordery i cisnął je na ziemię".

BITWA Z TRZEMA WROGAMI

21 lipca 1917 roku Pułk Ułanów Polskich stanął w Krechowcach pod Stanisławowem. Miasto opanowały bandy rosyjskich maruderów całymi oddziałami uciekające z frontu. Na wieść, że w okolicy pojawili się Polacy, sterroryzowani mieszkańcy wysłali do Mościckiego delegację z burmistrzem Antonim Stygarem na czele. Pułkownik obiecał mu, że obroni miasto. Następnego dnia rankiem ułani „rzucili się z szablą i lancą polską bronić życia i mienia rodaków".

Mościcki ze sztabem zajął kwaterę na rynku, a każdemu z czterech szwadronów przydzielił jedną część miasta do oczyszczenia. Polakom najtrudniej było uporać się z dwiema sotniami dagestańskiego pułku jazdy, z którymi musieli stoczyć regularną walkę. Na prośbę mieszkańców, którzy wciąż obawiali się powrotu zrewoltowanego żołdactwa, dowódca rosyjskiej 11 Dywizji pozwolił pułkowi pozostać w mieście jeszcze w nocy z 23 na 24 lipca. Delegaci prosili nawet Mościckiego, żeby przeszedł na stronę Austro-Węgier i nadal osłaniał miasto, dopóki nie nadejdą ich wojska. Pułkownik, lojalny wobec swego dowództwa, nie przystał jednak na tę propozycję. Tym bardziej że nad ranem 24 lipca dostał rozkaz, by powstrzymać zbliżających się od południa Niemców i Austriaków, którzy zagrozili odcięciem 11 Dywizji, broniącej brzegów Bystrzycy Słotwińskiej. Mościcki błyskawicznie przystąpił do działania: „Zbadawszy osobiście i wyjaśniwszy całą powagę sytuacji, rozwinąłem galopem w szyk bojowy swój młody i nieliczny pułk, parę dni temu ledwie sformowany z dywizjonu i jeszcze nieskompletowany", pisał w raporcie po bitwie.

Około godziny 5.00 ułani pod ogniem niemieckiej artylerii pokonali przeszkody terenowe pozostałe z batalii w 1915 roku, ale szarża na Krechowce okazała się niemożliwa, ponieważ dostali się pod gwałtowny ogień karabinów maszynowych. Ułanów wsparł wówczas rosyjski samochód pancerny, przysłany z 11 Dywizji. Skierowali się w stronę Bystrzycy Słotwińskiej i wtedy na rozkaz dowódcy zmienili front w lewo i ruszyli ponownie do szarży na Krechowce.

Tym razem niemieckie cekaemy nie zatrzymały kawalerzystów. „Piechota nieprzyjaciela, widząc zbliżający się las pochylonych lanc i wzniesionych do góry szabel, nie wytrzymuje nerwowo i zaczyna uchodzić [początkowo] pojedynczo, a my jak huragan wpadamy w jej szeregi, rąbiąc i kłując, co pod rękę wpadnie", wspominał po szarży jeden z podoficerów 2 szwadronu. Pole oddał Polakom nie byle kto, bo doborowa piechota bawarska.

Ułani dotarli do środka wsi, pod cerkiew greckokatolicką. Wtedy Bawarczycy już opanowali panikę i znowu podjęli walkę. Ułani zdołali jednak utrzymać zdobyte pozycje do czasu, gdy cała piechota rosyjska nie znalazła się na drugim brzegu Bystrzycy. Wieczorem płk Mościcki dał rozkaz odwrotu. Most na Bystrzycy był już zniszczony, ale na szczęście ułani znaleźli bród i przeprawili się przez rzekę. Na spotkanie pułku wyszedł dowódca 11 Dywizji z całym sztabem, wdzięczny za ocalenie. Kiedy ułani dotarli do miejsca postoju II Korpusu Kawalerii w Nowosielicy, mijane pułki witały ich melodią „Mazurka Dąbrowskiego".

Rosjanie mieli być za co wdzięczni polskim ułanom. Pułk liczący niecałe 500 szabel, pozbawiony broni maszynowej, ze wsparciem zaled-

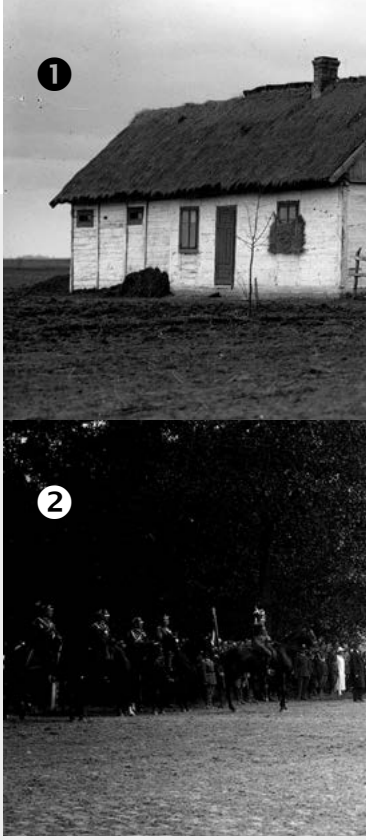

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (3)

Kiedy Mościcki objął dowództwo nad Pułkiem Ułanów Polskich, w jego kronice zaznaczono, że ułani przeszli pod komendę „wielkiego żołnierza i dobrego Polaka".

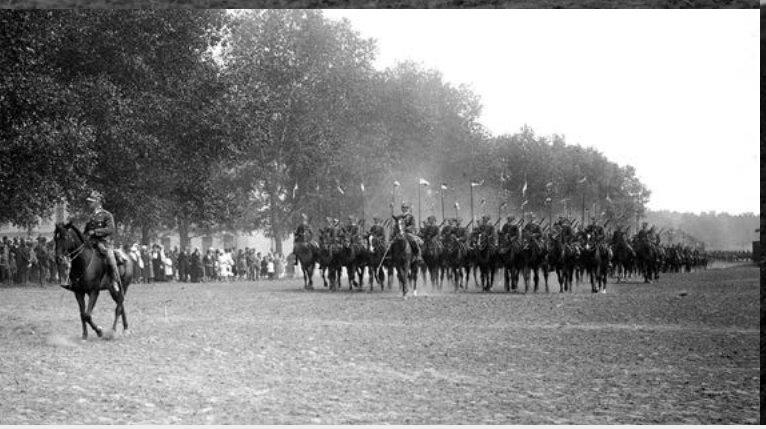

❶ Zagroda osadnika wojskowego Grzegorskiego w Krechowcach, 1931 rok ❷ Obchody dziesięciolecia 1 Pułku Ułanów Krechowieckich w Augustowie, 31 maja 1925 roku ❸ Brama wjazdowa do osady wojskowej Krechowce, lata trzydzieste ubiegłego wieku

W CZASIE BITWY UŁANI WYKONALI SZEŚĆ SZARŻ W SZYKU KONNYM, NIE LICZĄC ATAKÓW NA KAWALERIĘ NIEPRZYJACIELA, KTÓRA NIE PODJĘŁA WALKI

wie jednego wozu pancernego przez ponad pięć godzin powstrzymywał dwa bataliony piechoty niemieckiej, wspierane przez artylerię i dwa szwadrony kawalerii, co razem dawało blisko 2 tys. żołnierzy. W czasie bitwy ułani wykonali sześć szarż w szyku konnym, nie licząc ataków na kawalerię nieprzyjaciela, która nie podjęła walki. W boju poległo 31 żołnierzy, rannych zostało pięciu oficerów (w tym jeden śmiertelnie) oraz 46 ułanów. Kilku rafiło do niewoli. Pułk stracił zatem 20% stanu bojowego, podobnie jak szwoleżerowie podczas słynnej szarży pod Somosierrą w 1808 roku. Także oficerowie niemieccy i austriaccy wyrażali swe uznanie dla męstwa i brawury Polaków.

ŚMIERĆ W PUSZCZY

Mościcki wraz ze swym pułkiem wszedł w skład I Korpusu Polskiego i brał udział w prowadzonych przez niego walkach z bolszewikami. W lutym 1918 roku stanął na czele delegacji wysłanej z Bobrujska do Rady Regencyjnej i wyruszył do Warszawy z eskortą szwadronu swych ułanów. 17 lutego pod wsią Łopatycze natknęli się na zasadzkę bolszewicką. Rozgromili napastników, ale pułkownik uznał, że nie ma szans taką grupą przebić się przez front. Odesłał więc osłonę ułanów do Bobrujska, a sam z pozostałymi członkami delegacji przebrał się w cywilne ubranie i rozkazał przebijać się pojedynczo.

Niestety, Mościckiemu nie udało się dotrzeć do celu. Osaczony przez zrewoltowanych chłopów, zginął 18 lutego 1918 roku w okolicy leśniczówki Dub koło Łunińca. Nie była mu pisana śmierć kawaleryjska – w szarży, na czele swych ułanów, lecz w chłopskim przebraniu, poległ w gęstej Puszczy Białoruskiej. Kilka dni później specjalna ekspedycja odszukała ciało pułkownika i przewiozła je do Mińska. Tam pochowano je w podziemiach katedry. W 1921 roku prochy Mościckiego sprowadzono do Polski. Najpierw złożono je na terenie koszar 1 Pułku Ułanów Krechowieckich w Augustowie, a następnie przewieziono do Warszawy i pochowano 26 sierpnia 1921 roku w podziemiach kościoła św. Krzyża. W kwietniu 1919 roku pułk Mościckiego oficjalnie nazwano 1 Pułkiem Ułanów Krechowieckich im. Pułkownika Bolesława Mościckiego. ■

TADEUSZ WRÓBEL

Zwrotne średniaki

Podczas dwóch wojen światowych w Royal Navy służyły slupy wojenne, średniej wielkości okręty eskortowe.

Slupy wojenne jako nową klasę okrętów zaczęto wyróżniać w angielskiej marynarce wojennej w końcu XVII wieku. Wówczas były to niewielkie jednostki przeznaczone do operowania na wodach przybrzeżnych i wykonywania zadań pomocniczych. W XIX wieku slupy zaczęto wyposażać w maszyny parowe i śruby, ale zachowano żagle. Pod koniec wieku Royal Navy stworzyła nową klasę okrętów – slupy kolonialne, które były ostatnimi budowanymi dla niej żaglowcami. Dzięki żaglom okręty mogły swobodnie działać na wodach odległych posiadłości zamorskich, w których nie było stacji węglowych.

NOWE ZADANIA

Duża liczba slupów wojennych, już bez żagli, weszła do służby w brytyjskiej marynarce podczas I wojny światowej. Jednostki te przewidziano do trałowania, na początku konfliktu miny morskie postrzegane były bowiem jako większe zagrożenie niż małe okręty podwodne o prymitywnej konstrukcji. Najpopularniejszym typem slupów podczas wielkiej wojny był Flower. W 1915 roku zbudowano dla Royal Navy 80 okrętów (trzy podtypy). Osiem z nich nabyła też Francja.

Wraz ze wzrostem zagrożenia ze strony niemieckiej floty podwodnej slupy uzbrojono w ładunki głębinowe i przesunięto do ochrony konwojów. W latach 1916–1917 zbudowano następnych 40 slupów typu Flower w dwóch podtypach, które zewnętrznie wyglądały jak statki handlowe. Jednostki określane jako Q-ships miały prowokować dowódców wrogich okrętów podwodnych do wynurzenia i próby ich abordażu. Gdy przeciwnik dał się złapać na tę przynętę i zbliżył się do brytyjskiego okrętu, ten niszczył U-Boota z dział kalibru 102 mm lub 120 mm. Podczas wojny Brytyjczycy utracili 17 „kwiatków". Ponad 50 z tych, które przetrwały wojnę, sprzedano w latach 1920–1923. Do wybuchu kolejnego konfliktu zbyto jeszcze około 20 jednostek. Kilka slupów przekazano marynarkom wojennym Australii oraz Indii Brytyjskich. Okręty, które zostały zachowane w Royal Navy, wykorzystywano do zadań pomocniczych i szkolenia.

Rozwinięciem typu Flower był typ 24. Zbudowano 22 z planowanych 24 slupów. Również ich większą część sprzedano na początku lat dwudziestych XX wieku. Do zawieszenia broni z Niemcami ukończonych zostało 38 z planowanych 85 małych slupów typu Kil, które bywają też określane jako kanonierki. Jednostki te przeniesiono do rezerwy, a w 1920 roku 48 z 55 ukończonych sprzedano. Podobny los

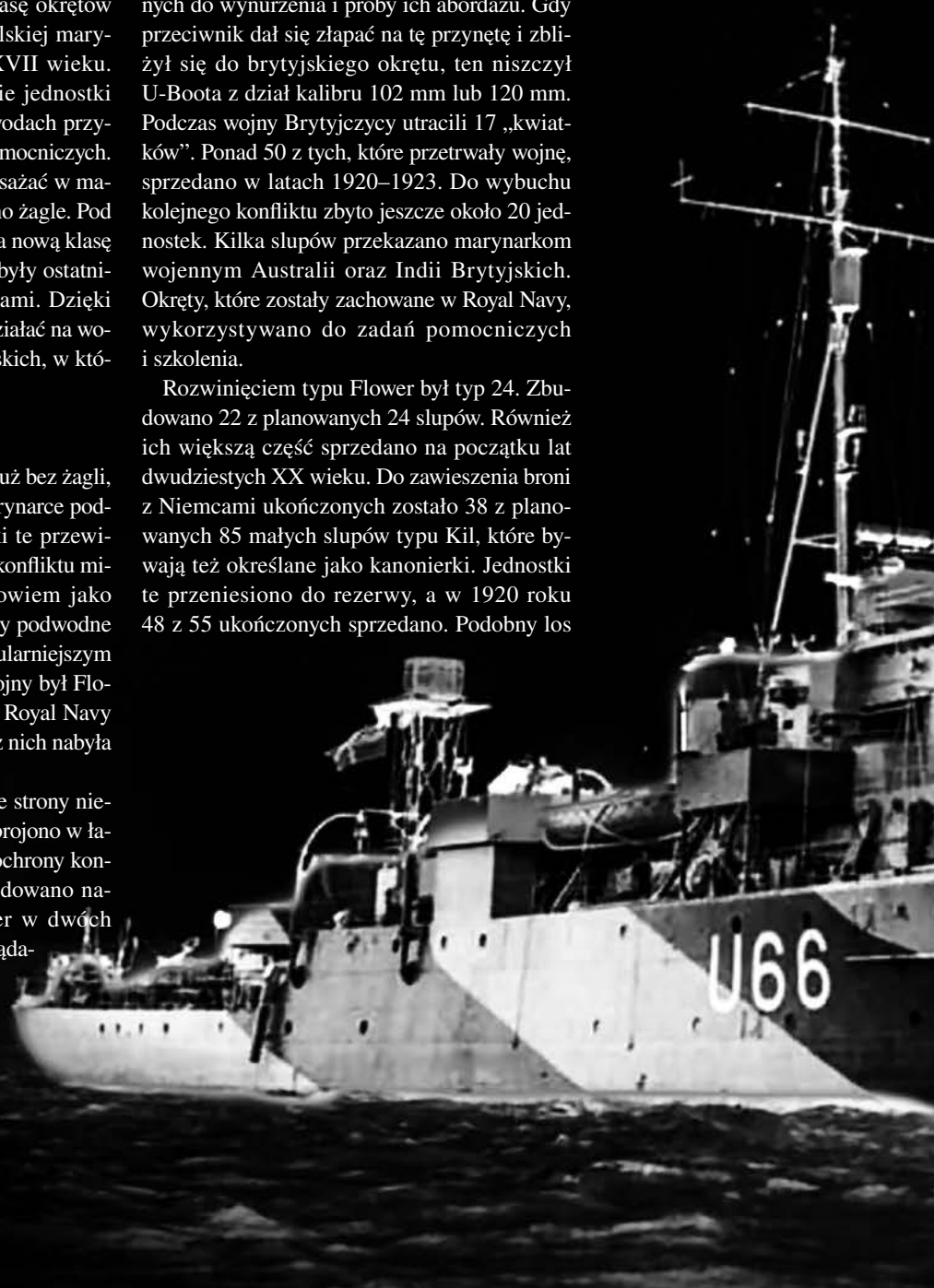

spotkał większość z 61 okrętów typu P, które przetrwały wojnę. Klasyfikowano je jako slupy przybrzeżne lub patrolowce. W odróżnieniu od innych slupów miały one wyrzutnie torpedowe. Dwadzieścia z tych okrętów należało do podtypu PC, który przystosowano do misji Q-ships.

OSTATNIA GENERACJA

Po wielkiej wojnie wyczerpana ekonomicznie Wielka Brytania nie mogła pozwolić sobie na zbrojenia morskie na taką skalę jak na początku XX wieku. Uniemożliwiały je również ograniczenia traktatu waszyngtońskiego z 1922 roku. Niemniej jednak od końca lat dwudziestych do września 1939 roku zamówiono 47 nowych slupów należących do ośmiu typów. Cztery jednostki trafiły do marynarki wojennej Australii, a dwie do indyjskiej.

Slupy zaprojektowane w okresie międzywojennym miały 1000–1200 t wyporności. Ich uzbrojenie było zróżnicowane. Dziewięć okrętów typu Kingfisher otrzymało działa kalibru 102 mm i poczwórne przeciwlotnicze karabiny maszynowe kalibru 12,7 mm. Silniejsze uzbrojenie artyleryjskie miały trzy slupy typu Egret – osiem dział kalibru 102 mm. Dwie z trzech jednostek typu Bittern otrzymały ich sześć. Z kolei trzecią, HMS „Enchantress", uzbrojono w cztery działa 120-milimetrowe.

Slupy w międzywojniu budowano na potrzeby służby patrolowej w czasie pokoju i jako eskortowce w razie wybuchu wojny.

CZAS ŁABĘDZIA

Najnowszym typem slupa zaprojektowanym dla Royal Navy w okresie międzywojennym był Black Swan (czarny łabędź). Okręt miał 1250 t wyporności i uzbrojenie główne podobne jak slupy HMS „Bittern" i HMS „Stork". Wysoki kąt podniesienia lufy 102-milimetrowej armaty czynił z niej groźną broń przeciwko samolotom. Dodatkowo „czarne łabędzie" miały jeszcze cztery armaty przeciwlotnicze kalibru 40 mm i tyle samo karabinów maszynowych Vickers kalibru 12,7 mm. Inną ich bronią były ładunki głębinowe. Jako że okręty były przewidziane do eskortowania konwojów statków handlowych, projektanci postawili nie tyle na prędkość, ile na duży zasięg.

Pierwsze dwa slupy zamówiono 1 marca 1939 roku, a dwa następne 21 czerwca. Okręty te weszły do służby w latach 1940–1941. 8 września 1939 roku zlecono budowę dwóch jednostek dla Royal Indian Navy (RIN). Kolejnych dziesięć slupów zamówionych zostało 13 kwietnia 1940 roku, ale później zlecenie zredukowano do czterech, gdy Royal Navy zaczęła preferować niszczyciele eskortowe zamiast slupów. Ostatecznie jednak 29 sierpnia 1940 roku zamówiono dwa „czarne łabędzie" dla floty indyjskiej.

Po kilku miesiącach zapadła decyzja o dalszych zakupach „łabędzi" dla Royal Navy. Slupy były bowiem od nich tańsze, a dzięki prostszej konstrukcji ich budowa trwała krócej. Tymczasem w nasilającej się bitwie o Atlantyk potrzeba było coraz więcej eskortowców.

Od stycznia do lipca 1941 roku siedem stoczni dostało zlecenia na budowę następnych 14 slupów typu Black Swan. W tym samym roku zatwierdzono budowę kolejnych 14, ale potem zmniejszono ich liczbę do 11 (ukończono dziewięć). Trzy slupy zamówiono jeszcze w grudniu 1941 roku. Wcześniej, w październiku, zlecono budowę dwóch dla RIN. Ostatnie trzy slupy zamówiono →

SLUPY BYŁY PRZEWIDZIANE DO ESKORTOWANIA KONWOJÓW STATKÓW HANDLOWYCH, DLATEGO PROJEKTANCI POSTAWILI NIE TYLE NA PRĘDKOŚĆ, ILE NA DUŻY ZASIĘG. OKRĘTY BYŁY TANIE, A DZIĘKI PROSTSZEJ KONSTRUKCJI ICH BUDOWA TRWAŁA KRÓCEJ.

BLACK SWAN (M)

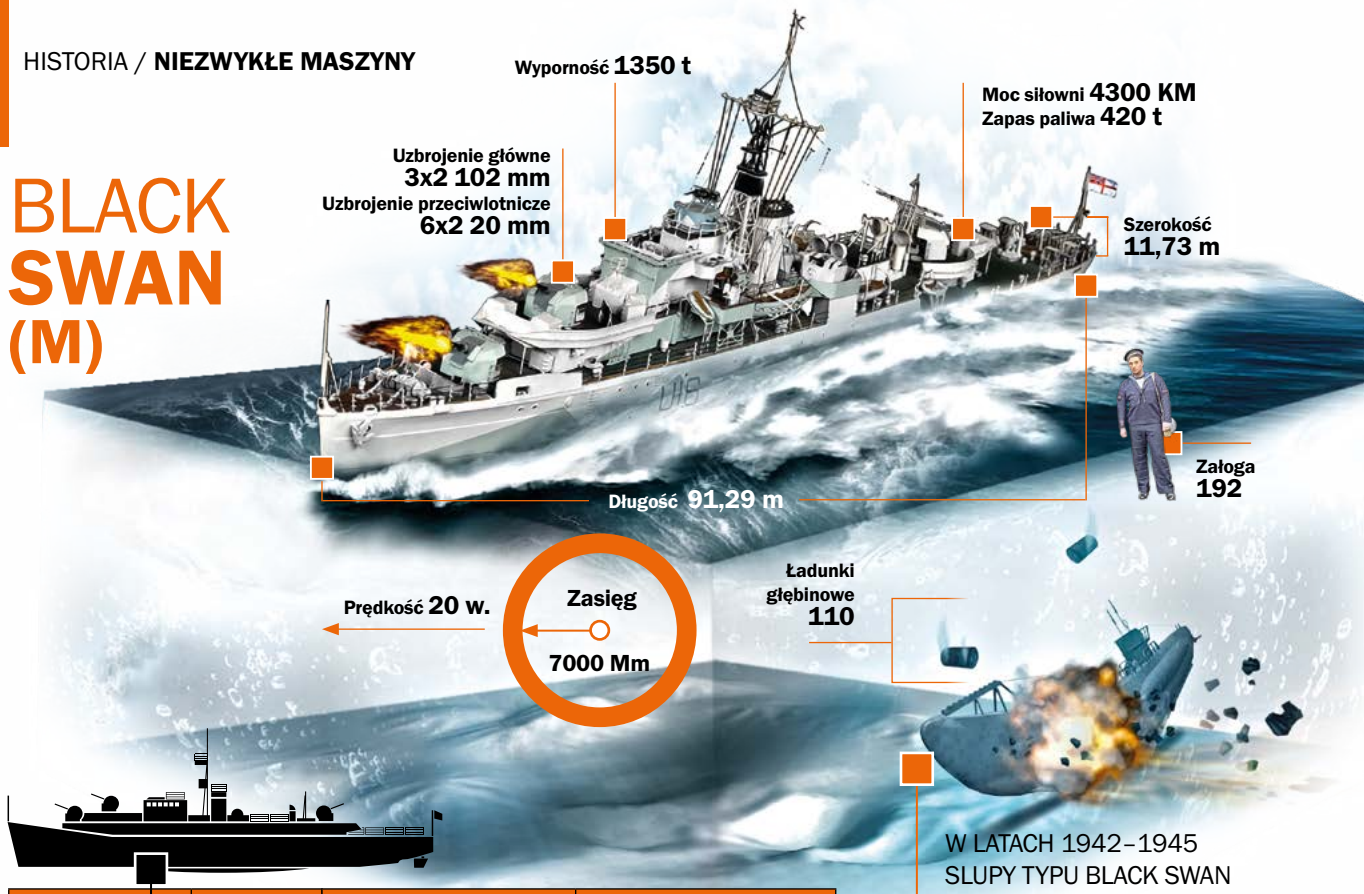

NATIONAL MARITIME MUSEUM, GREENWICH
MICHAEL ROSSKOTHEN/FOTOLIA
PK/DZIAŁ GRAFICZNY

Black Swan			
Wyporność	1250 t	Zasięg przy prędkości 12 w.	7500 Mm
Długość	91,29 m		
Szerokość	11,43 m	Załoga	180
Moc siłowni	3600 KM	Uzbrojenie główne	3x2 102 mm
Prędkość	19,25 w	Uzbrojenie przeciwlotnicze	1x4 40 mm, 1x4 12,7 mm
Zapas paliwa	–	Ładunki głębinowe	40

W LATACH 1942–1945 SLUPY TYPU BLACK SWAN ZNISZCZYŁY SAMODZIELNIE LUB WE WSPÓŁPRACY Z INNYMI OKRĘTAMI I SAMOLOTAMI **31 U-BOOTÓW**

w 1944 roku, ale potem zlecenie anulowano. Większość okrętów powstała według zmodyfikowanego projektu. Unowocześniony slup otrzymał mocniejszy napęd, co przełożyło się na niewielki wzrost prędkości. Jego kadłub został poszerzony o stopę, czyli 30 cm. O 100 t wzrosła wyporność okrętu. Wzmocniono uzbrojenie przeciwlotnicze slupa, montując na nim działka Oerlikona kalibru 20 mm. Jednocześnie zwiększono liczbę ładunków głębinowych.

Ostatecznie zbudowano 37 slupów. W źródłach istnieją rozbieżności co do liczby okrętów powstałych według zmodyfikowanego projektu. Jedne podają, że było ich 25, a inne, że 29. Dwa z nich weszły do służby już po kapitulacji Japonii. Podczas wojny utracono sześć „czarnych łabędzi". Marynarki wojenne Imperium Brytyjskiego straciły jeszcze 12 slupów innych typów. Trzy z nich należały do typu Banff. Brytyjczycy sklasyfikowali jako slupy dziesięć kutrów straży przybrzeżnej, które w 1941 roku przekazali im Amerykanie.

POLOWANIE NA U-BOOTY

W latach 1942–1945 slupy typu Black Swan zniszczyły samodzielnie lub we współpracy z innymi okrętami i samolotami 31 U-Bootów. Jeden z nich został zatopiony 12 sierpnia 1944 roku koło Seszeli przez indyjski slup HMIS „Godavari" wspólnie z fregatą HMS „Findhorn".

Największe sukcesy odniosła załoga slupa HMS „Starling" pod dowództwem kmdr. Frederica Johna Walkera, który jednocześnie dowodził 2 Grupą Wsparcia. W jej skład wchodziło sześć slupów, które nie eskortowały konwojów, tylko prowadziły swobodne łowy na niemieckie okręty podwodne na Atlantyku. W niecały rok, od 2 czerwca 1943 roku do 6 maja 1944 roku, slup Walkera uczestniczył w zatopieniu 11 U-Bootów. Po śmierci komandora, 7 lipca 1944 roku, dowodzenie HMS „Starling" przejął kmdr por. Norman Winder Duck. Między 31 lipca a 11 sierpnia 1944 roku okręt współuczestniczył w zniszczeniu kolejnych trzech U-Bootów.

Slupy służyły w Royal Navy po zakończeniu II wojny, jednak w końcu lat czterdziestych zlikwidowano tę klasę okrętów, a zachowane jednostki uznano za fregaty. Uczestniczyły one m.in. w wojnie koreańskiej, a także w incydentach z wojskami komunistycznych Chin. Slupy służyły też we flotach wojennych niepodległych Indii i Pakistanu, a także Egiptu i Republiki Federalnej Niemiec. ■

KRZYSZTOF KUBIAK

Głęboka dywersja

Akcje dywersyjne prowadzone na głębokim zapleczu przeciwnika zawsze były ważnym elementem działań bojowych. I nic się w tej sprawie w najbliższej przyszłości nie zmieni. W ten sposób można wszak zmusić wroga do rozproszenia sił, znacząco zredukować jego zasoby, a nawet zadać mu bolesne straty. Co więcej, dywersja przeprowadzona skrycie i do tego niewykryta uderza boleśnie w morale żołnierzy, rodzi, a następnie potęguje najrozmaitsze obawy, które niekiedy mogą prowadzić wręcz do sparaliżowania woli walki. Tak można postrzegać, na przykład, rezultaty zatonięcia w wyniku wewnętrznych eksplozji podczas I wojny światowej dwóch włoskich okrętów: starego pancernika „Benedetto Brin" w Brindisi 27 września 1915 roku oraz nowoczesnego liniowca „Leonardo da Vinci" w Tarencie 2 sierpnia 1916 roku. Nigdy co prawda nie dowiedziono, że był to rezultat działania austriackich dywersantów, ale włoscy marynarze po tych dwóch katastrofach utracili zaufanie do swoich okrętów.

Wątpliwości co do przyczyn nie było natomiast po wielkim wybuchu 6 czerwca 1916 roku w rosyjskim składzie zaopatrzenia zorganizowanym w miejscowości Kilpisjärvi. Składowanie tam dużych ilości sprzętu wojskowego wynikało z tego, że Rosjanie usiłowali sprowadzać deficytowe materiały przez norweskie Trømso. Stamtąd przewożono je do znajdującego się w granicach Wielkiego Księstwa Finlandii Kilpisjärvi i dalej zaprzęgami konnymi oraz wykorzystującymi renifery do Tornio, gdzie już dochodziła kolej. Linię kolejową z niezamarzającego portu w Murmańsku do serca Rosji ukończono natomiast dopiero w 1917 roku. Sytuację tę wykorzystali Niemcy i skierowali do przeprowadzenia akcji dywersyjnej czterech fińskich ochotników spośród 2 tys. szkolonych w obozie Lockstedt (Szlezwik-Holsztyn). Rosjanie stracili wówczas około 150 t rozmaitego sprzętu i zaopatrzenia. W warunkach zmagań milionowych armii nie było to wiele, ale znacznie ważniejszy był wymiar psychologiczny akcji. Niemcy pokazali, że swoimi działaniami potrafią sięgać bardzo daleko na północ.

Akcję dywersyjną na głębokim zapleczu przeciwnika postanowili też przeprowadzić podczas wojny falklandzkiej Argentyńczycy. Dowodzący marynarką adm. Jorge Anaya doszedł mianowicie do wniosku, że możliwe jest zadanie strat siłom brytyjskim stacjonującym w Gibraltarze, operując z leżącego naprzeciw Skały, ale już w neutralnej Hiszpanii, miasta Algeciras. Aby jednak zmniejszyć ryzyko polityczne, zadanie to powierzono nie żołnierzom morskich sił specjalnych, lecz pojmanym i przewerbowanym bojownikom z partyzanckiej organizacji Montoneros. Na czele utworzonego z nich zespołu stanął Máximo Nicoletti, który na swoim koncie miał m.in. podłożenie ładunku pod jachtem szefa argentyńskiej policji federalnej w 1974 roku oraz uszkodzenie znajdującego się w budowie niszczyciela „Santísima Trinidad" w 1975 roku. Całej sprawie pikanterii dodawał fakt, że ojciec Nicolettiego w czasie II wojny światowej służył w elitarnej włoskiej X Flotylli Lekkiej, która specjalizowała się w dywersji podwodnej. Planowaną akcję udaremniła jednak hiszpańska policja. Niedoszłych dywersantów wzięto bądź za grupę baskijskich terrorystów, bądź stołecznych włamywaczy, którzy postanowili pobuszować na turystycznym wybrzeżu. Kiedy po aresztowaniu na jaw wyszły ich rzeczywiste intencje, schwytanych bojowników niezwłocznie deportowano do Argentyny. ■

Prof. dr hab. KRZYSZTOF KUBIAK pracuje w Katedrze Krajów Europy Północnej na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach.

HORYZONTY

/ **WETERANI**

PATRYK CIELIŃSKI / COMBAT CAMERA DORSZ

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

BEZ OGRANICZEŃ

Polscy weterani poszkodowani pierwszy raz wezmą udział w igrzyskach Invictus Games.

Invictus Games 2018

KPR. W ST. SPOCZ. **MARCIN CHŁOPENIUK**

Lat 38. Ranny w 2010 roku. Podczas służby na VII zmianie PKW Afganistan był kierowcą rosomaka. Porusza się na wózku. Z uwagi na odniesione obrażenia przeniesiony w stan spoczynku.

STARTUJE W:

- lekkoatletyce (pchnięcie kulą i rzut dyskiem)
- jeździe samochodem

SZER. REZ. **JAROSŁAW KUROWSKI**

Lat 43. Ranny w 1996 roku. Podczas służby na I zmianie IFOR w Bośni i Hercegowinie był celowniczym. Zatrudniony jest w Dowództwie Garnizonu Warszawa na stanowisku starszy specjalista BHP.

STARTUJE W:

- siatkówce na siedząco
- pływaniu
- lekkoatletyce (pchnięcie kulą i rzut dyskiem)
- kolarstwie szosowym

SIERŻ. **JANUSZ RACZY**

Lat 45. Ranny w 2004 roku. Podczas służby na II zmianie PKW Irak był strzelcem-radiotelefonistą. W Centrum Weterana Działań poza Granicami Państwa jest podoficerem sztabowym.

STARTUJE W:

- pływaniu
- jeździe samochodem

PLUT. **KRZYSZTOF POLUSIK**

Lat 35. Ranny w 2010 roku. Podczas służby na VII zmianie PKW Afganistan był kierowcą-saperem. Służy w Dowództwie Operacyjnym Rodzajów Sił Zbrojnych.

STARTUJE W:

- pływaniu
- siatkówce na siedząco
- wioślarstwie halowym

ST. KPR. **TOMASZ ROŻNIATOWSKI**

Lat 29. Ranny w 2011 roku. Na IX zmianie PKW Afganistan był strzelcem. Służy w DORSZ.

STARTUJE W:

- pływaniu
- wioślarstwie halowym
- lekkoatletyce (bieganie)
- siatkówce na siedząco

WETERANI POSZKODOWANI, KTÓRZY CHCIELI WYSTARTOWAĆ NA IGRZYSKACH PODCZAS CENTRALNYCH OBCHODÓW DNIA WETERANA W KIELCACH ODBYŁA SIĘ

W odbywających się po raz czwarty igrzyskach weźmie udział około 500 osób z 18 krajów. Rozgrywanych będzie 11 różnych dyscyplin sportowych. Organizatorem tej międzynarodowej imprezy jest fundacja brytyjskiego księcia Harry'ego. „Zawody niezwyciężonych pokazują ogromną siłę sportu. Są także inspiracją dla innych rannych żołnierzy do udziału w kolejnych takich zawodach, które odbędą się w maju 2020 roku w Hadze", podkreśla płk Leszek Stępień, dyrektor Centrum Weterana Działań poza Granicami Państwa, które organizuje wyjazd Polaków do Sydney.

Chęć wzięcia udziału w Invictus Games wyraziło 83 weteranów poszkodowanych. Komisja, w której skład weszli przedstawiciele wszystkich rodzajów sił zbrojnych, wybrała wstępnie 25 osób. Po badanich lekarskich przeprowadzonych podczas kwietniowego zgrupowania w Wojskowym Ośrodku Szkoleniowo-Kondycyjnym w Mrągowie wytypowano ostateczny skład reprezentacji – 15 weteranów poszkodowanych oraz dziesięciu rezerwowych. Wydaje się, że podstawowym kryterium, jakim kierowała się komisja, był uszczerbek na zdrowiu. U większości zakwalifikowanych orzeczono bowiem umiarkowany i znaczny stopnień niepełnosprawności. „Chcieliśmy także, aby zawodnicy byli reprezentacją wszystkich instytucji i rodzajów sił zbrojnych", podkreśla pułkownik.

Wytypowani zawodnicy wezmą udział jeszcze w dwóch sportowych turnusach w WOSzK w Mrągowie, ale pracują też samodzielnie oraz na zajęciach z wychowania fizycznego. „Trzech weteranów poszkodowanych służących w Dowództwie Operacyjnym Rodzajów Sił Zbrojnych już od kilku tygodni ćwiczy pod okiem naszego trenera", mówi Renata Matynia, specjalista do spraw rannych i poszkodowanych w DORSZ.

English version: polska-zbrojna.pl

PLUT. **WŁODZIMIERZ WYSOCKI**

Lat 40. Ranny w 2003 roku. Na I zmianie PKW Irak był kierowcą-zwiadowcą. Pełni służbę w DORSZ jako podoficer sztabowy.

STARTUJE W:

- **siatkówce na siedząco**
- **kolarstwie szosowym**
- **łucznictwie**

KPR. **MARIUSZ MAŃCZAK**

Lat 38. Ranny w 2009 roku. Podczas V zmiany PKW Afganistan był kierowcą. Pełni służbę w Wojewódzkim Sztabie Wojskowym w Katowicach jako mł. podoficer sztabowy.

STARTUJE W:

- **pływaniu**
- **wioślarstwie halowym**
- **wyciskaniu sztangi na leżąco**
- **łucznictwie**

ST. SZER. REZ. **JAN KOCZAR**

Lat 42. Ranny w 1996 roku. W trakcie I zmiany IFOR w Bośni i Hercegowinie był celowniczym. Jest zatrudniony w Wojskowej Komendzie Uzupełnień w Rybniku na stanowisku starszy dokumentalista.

STARTUJE W:

- **siatkówce na siedząco**
- **łucznictwie**
- **kolarstwie szosowym**
- **lekkoatletyce (pchnięcie kulą i rzut dyskiem)**

ST. SZER. **ŁUKASZ WOJCIECHOWSKI**

Lat 37. Ranny w 2003 roku. Podczas I zmiany PKW Irak był celowniczym. Pełni służbę na stanowisku kancelista w Wojskowej Komendzie Uzupełnień w Kłodzku.

STARTUJE W:

- **wioślarstwie halowym**
- **siatkówce na siedząco**
- **pływaniu**
- **łucznictwie**

SIERŻ. W ST. SPOCZ. **MARIUSZ SACZEK**

Lat 42. Ranny w 2010 roku. Podczas VII zmiany PKW Afganistan był strzelcem. Porusza się na wózku. Z uwagi na odniesione obrażenia przeniesiony w stan spoczynku.

STARTUJE W:

- **łucznictwie**
- **lekkoatletyce (pchnięcie kulą i rzut dyskiem)**

INVICTUS GAMES W SYDNEY, PRACUJĄ NAD FORMĄ JUŻ OD KILKU MIESIĘCY. OFICJALNA PREZENTACJA 15 ZAWODNIKÓW

Konkurencje, w jakich na Invictus Games startują poszkodowani weterani, zmieniają się zależnie od kraju, w którym odbywają się zawody. Janusz Raczy w Sydney chciał wystartować w łucznictwie oraz spróbować sił w kolarstwie szosowym. Wiedział, że z powodu odniesionych na misji obrażeń nie może brać udziału w konkurencjach siłowych, takich jak wioślarstwo halowe czy wyciskanie sztangi. Lekarze i trenerzy zweryfikowali jednak jego plany. „Z łucznictwa wyłączył mnie rozwalony bark. Okazało się, że nie dam rady ani napiąć cięciwy, ani nawet utrzymać łuku. Musiałem zmienić konkurencję, ale obrażenia, jakie odniosłem na misji, rozkładają się w miarę równomiernie po całym ciele. Pozostało mi pływanie, chociaż w lewym barku mam ograniczony zakres ruchu. Nie poddaję się jednak, ćwiczę”, mówi Janusz Raczy. Na Invictus Games chce zmierzyć się ze swoją niepełnosprawnością. „Medal byłby wspaniałą nagrodą, ale nie jest najważniejszy”, podkreśla weteran.

Sportowym przygotowaniem polskiej reprezentacji do udziału w Invictus Games Sydney 2018 zajmują się trenerzy Polskiego Związku Sportu Niepełnosprawnych „Start”. Szkolą oni żołnierzy w kilku dyscyplinach: siatkówce na siedząco, pływaniu, łucznictwie, wioślarstwie, kolarstwie, lekkoatletyce oraz podnoszeniu ciężarów. „Jesteśmy dumni, że możemy być częścią tak ważnego projektu”, mówi Łukasz Szeliga, prezes PZSN „Start”. Płk Stępień zwraca uwagę, że są to najlepsi trenerzy przygotowujący osoby niepełnosprawne do startu w zawodach o randze międzynarodowej, m.in. także naszych paraolimpijczyków. Łukasz Szeliga ma nadzieję, że ci, którzy wezmą udział w Invictus Games, wystartują też w różnych konkurencjach podczas mistrzostw Polski czy w Pucharze Polski osób niepełnosprawnych, a w przyszłości może

Invictus Games 2018

KPR. **DARIUSZ LISZKA**

Lat 31. Ranny w 2010 roku. Podczas VII zmiany PKW Afganistan był celowniczym KTO Rosomak. Służy w 1 Batalionie Strzelców Podhalańskich.

STARTUJE W:

- **pływaniu**
- **lekkoatletyce (biegi, pchnięcie kulą, rzut dyskiem)**
- **wioślarstwie halowym**

KPR. **JAKUB TYNKA**

Lat 35. Ranny w 2012 roku. Na XI zmianie PKW Afganistan był działonowym. Służy w Jednostce Wojskowej Agat.

STARTUJE W:

- **pływaniu**
- **wioślarstwie halowym**
- **lekkoatletyce (bieganie)**
- **kolarstwie szosowym**

ST. CHOR. SZTAB. W ST. SPOCZ. **TOMASZ KLOC**

Lat 45. Ranny w 2003 roku. Podczas I zmiany PKW Irak był dowódcą patrolu rozminowania. W 12 Brygadzie Zmechanizowanej jest pełnomocnikiem dowódcy do spraw rannych i rodzin poległych.

STARTUJE W:

- **siatkówce na siedząco**
- **wioślarstwie halowym**
- **lekkoatletyce (pchnięcie kulą i rzut dyskiem)**

SIERŻ. **ANDRZEJ SKRAJNY**

Lat 40. Ranny w 2011 roku. Podczas X zmiany PKW Afganistan był dowódcą sekcji. Służy w 15 Giżyckiej Brygadzie Zmechanizowanej.

STARTUJE W:

- **pływaniu**
- **siatkówce na siedząco**
- **łucznictwie**

ST. CHOR. SZTAB. **MAREK STOSIO**

Lat 47. Ranny w 2011 roku. Podczas IX zmiany PKW Afganistan był dowódcą zespołu bojowego POMLT. Jest starszym instruktorem w wydziale szkolenia Oddziału Specjalnego Żandarmerii Wojskowej w Mińsku Mazowieckim.

STARTUJE W:

- **siatkówce na siedząco**
- **lekkoatletyce (bieganie, pchnięcie kulą i rzut dyskiem)**

W Sydney uczestnicy zmierzą się m.in. w łucznictwie, lekkoatletyce, trójboju siłowym, wioślarstwie halowym, kolarstwie szosowym, żeglarstwie, siatkówce na siedząco, pływaniu, koszykówce na wózkach. Każdy może startować w kilku dyscyplinach.

pojadą na igrzyska paraolimpijskie. „W USA i Wielkiej Brytanii wielu medalistów paraolimpiad to byli żołnierze", dodaje Łukasz Szeliga.

Jarosław Kurowski, który w 1996 roku w czasie misji na Bałkanach stracił nogę, wystartuje w Sydney m.in. w pływaniu, kolarstwie i siatkówce na siedząco. Opowiada, że zawsze lubił sport i rywalizację, nie są mu obce intensywne treningi fizyczne. Kilka lat temu wziął udział w wyprawie Spitsbergen Arctic Expedition 2014. „Wędrówka przez lodowce pokazała, że niepełnosprawność nie musi być przeszkodą w podejmowaniu nawet najbardziej emocjonujących wyzwań, również fizycznych", podkreśla.

Do Sydney pojedzie także Mariusz Saczek, który ze względu na uszkodzony kręgosłup porusza się na wózku inwalidzkim. Zgłosił się na Invictus Games, aby się sprawdzić. Podczas turnusu w Mrągowie okazało się, że ma mocne ręce i dobrze radzi sobie z łukiem. „Próbowałem swoich sił w różnych konkurencjach, ale najlepszy wynik osiągnąłem w łucznictwie: na cztery strzały z odległości 20 m zdobyłem 37 punktów na 40 możliwych. W tej dyscyplinie czuję się najmocniej", opowiada. Myśli jeszcze o rzucie dyskiem.

Strategicznym partnerem polskiej reprezentacji weteranów na zawody Invictus Games Sydney 2018 została Polska Grupa Zbrojeniowa. Firma sfinansuje m.in. pobyt opiekunów i członków rodzin weteranów poszkodowanych biorących udział w zawodach oraz pokryje koszty uczestnictwa weteranów spoza MON-u (dwóch ciężko rannych weteranów nie służy już w wojsku). Na Invictus Games zawodnikom będą towarzyszyć rodziny i przyjaciele, którzy zamierzają dopingować ich podczas sportowej rywalizacji. „Ich obecność na igrzyskach jest podziękowaniem za to, że byli z nami podczas długiej rehabilitacji", podkreślają zgodnie weterani poszkodowani. ■

PAULINA GLIŃSKA

Alpejskie wyzwanie

Żołnierze z Akademii Wojsk Lądowych biorący udział w zawodach militarnych Italian Raid Commando we Włoszech stanęli na podium.

Italian Raid Commando to międzynarodowe, militarne zawody górskie, które od ponad 30 lat odbywają się we włoskiej Lombardii. Biorą w nich udział żołnierze z wojskowych uczelni, jednostek bojowych oraz rezerwiści. Uczestnicy muszą się wykazać: doskonałą kondycją, odpornością psychiczną, umiejętnościami praktycznymi, np. ze strzelectwa, nawigacji czy wspinaczki, a także znajomością procedur obowiązujących w NATO. Te wysokie wymagania sprawiają, że zawody są uznawane za jedne z najtrudniejszych tego typu w Europie.

W tym roku impreza odbyła się po raz 32. Na starcie stanęły 44 drużyny z całego świata, m.in. z Wielkiej Brytanii, Niemiec, Holandii, Belgii, Litwy, Szwajcarii, Hiszpanii, Estonii i Polski. „Był to szósty start naszej ekipy. O ile jednak w poprzednich edycjach reprezentowali nas podchorążowie, to tym razem w zmaganiach wzięła udział kadra z Zakładu Szkoleń Specjalistycznych Instytutu Dowodzenia Akademii Wojsk Lądowych", mówi kpt. Piotr Stykowski, instruktor wspinaczki oraz narciarstwa, który w zawodach brał udział po raz trzeci. Obok niego w składzie polskiej drużyny znaleźli się wykładowcy mjr Mirosław Halot, kpt. Dawid Ząbek oraz instruktor chor. Robert Lisiecki.

ARCH. AWL

TERRORYŚCI W JASKINI

Zawody co roku składają się z dwóch etapów: konkurencji strzeleckich oraz kilkudziesięciukilometrowego patrolu pieszego. Tak było i tym razem. Na strzelnicy wojskowej w Szwajcarii zawodnicy z wykorzystaniem m.in. broni snajperskiej, karabinków i broni krótkiej musieli zaliczyć sześć zadań na celność, skupienie i czas. Potem, na kilka godzin przed drugim etapem, wzięli udział w odprawie. „Zostaliśmy wprowadzeni w sytuację taktyczną. Następnie po północy wszystkie zespoły w odstępach kilkunastominutowych ruszyły na trasę. Każdy z nas miał ze sobą plecak ważący kilkanaście kilogramów, sprzęt do wspinaczki, GPS, latarkę, trochę ubrań, jedzenie i picie", opowiada kpt. Stykowski.

Na 43-kilometrowej trasie ponad 170 uczestników czekało wiele niespodzianek. „Mogłoby się wydawać, że jako drużynie będzie nam łatwiej, bo już przetarłem szlaki. Trzeba jednak pamiętać, że choć idea zawodów co roku jest taka sama, to o poszczególnych konkurencjach dowiadywaliśmy się tuż przed przystąpieniem do wykonywania zadania", mówi kpt. Stykowski.

Wszystkie zadania były dla żołnierzy testem praktycznych umiejętności. Organizatorzy sprawdzali np. umiejętności udzielania pierwszej pomocy, „call for fire" (wezwanie wsparcia ogniowego) czy obliczania współrzędnych celu w różnych jednostkach metrycznych. Na trasie patrolu zawodnicy musieli też m.in. zorganizować posterunek obserwacyjny, przygotować zasadzkę na uzbrojoną grupę i zaplanować szturm na obozowisko przeciwnika.

→

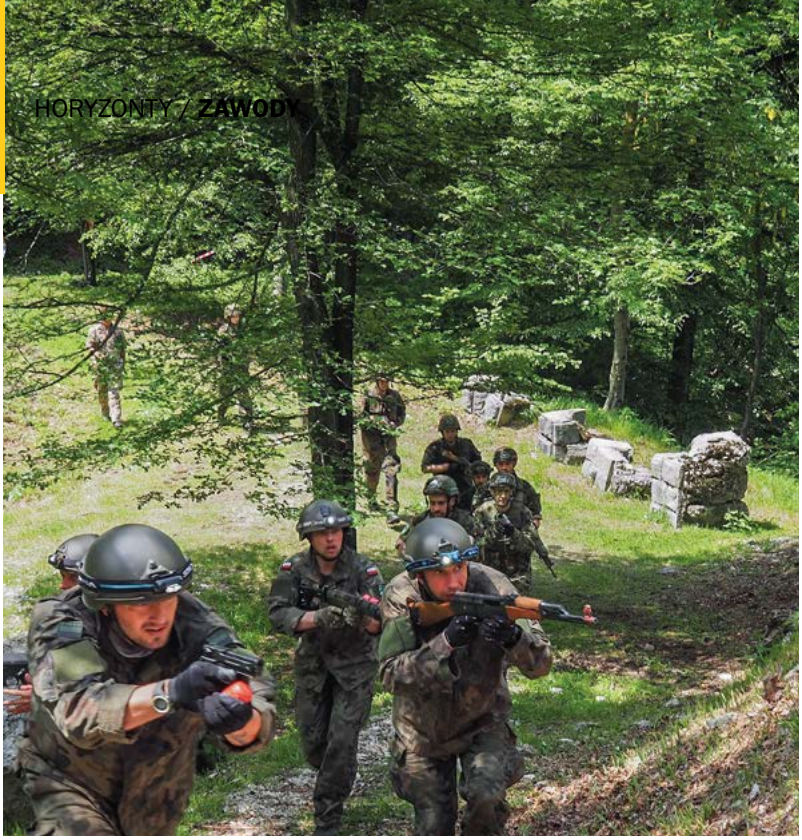

DREAM TEAM

W zawodach Italian Raid Commando drużyna z Akademii Wojsk Lądowych po raz pierwszy wystartowała w 2013 roku. Zajęła wtedy drugie miejsce w kategorii szkolnictwo wojskowe. Podium w tej dziedzinie ekipa z wrocławskiej uczelni zdobyła w 2015 i 2017 roku. Tegoroczny wynik Polaków, licząc wszystkie od 1983 roku, jest najlepszy w historii zawodów.

Po około 30 km marszu żołnierzy czekało zadanie rozpoznawcze w jaskini. „Mieliśmy dziesięć minut na przygotowanie i sześć na realizację. Jaskinia okazała się starym magazynem wojskowym z czasów II wojny światowej. Miała sześć komór i około 200 m długości. We współpracy z dwoma innymi zespołami musieliśmy ją przeszukać oraz zareagować w odpowiedni sposób na ewentualne zagrożenia. W środku panowały ciemności i ciężko było w tak krótkim czasie przyzwyczaić wzrok”, mówi kpt. Dawid Ząbek, instruktor SERE. Co więcej, w jaskini czekały różne pułapki, takie jak zaminowane wejście do jednego z pomieszczeń czy uzbrojeni przeciwnicy. „Trzeba było wykazać się dużą spostrzegawczością i prawidłowo podzielić sektory odpowiedzialności. Poszło nam bardzo dobrze”, mówi kpt. Stykowski.

Jedną z konkurencji była też przeprawa przez rzekę. „Musieliśmy w jak najkrótszym czasie pokonać most linowy. Dwie osoby ubezpieczały kolejną dwójkę pokonującą przeszkodę. Nie sprawiło nam to większych trudności, bo takie zadania wykonujemy na co dzień”, mówi mjr Mirosław Halot, instruktor SERE oraz skoków spadochronowych.

Uczestnicy zawodów musieli też wykazać się praktycznymi umiejętnościami stosowania procedur MEDEVAC. „Obrażenia poszkodowanego, którego spotkaliśmy podczas patrolu, wyglądały bardzo realistycznie. Musieliśmy sklasyfikować jego rany, udzielić pierwszej pomocy, przez radio wezwać MEDEVAC, a na koniec przygotować meldunek z całej akcji”, opowiada chor. Lisiecki, instruktor SERE i wspinaczki.

Nowością dla zawodników tegorocznych zawodów było przygotowanie punktu kontrolnego. „Musieliśmy zatrzymać pojazd i przeszukać go, a organizatorzy oceniali nasze reakcje. My znaleźliśmy broń i zatrzymaliśmy podejrzanych, stosując techniki obezwładniające, co bardzo spodobało się sędziom. Za tę konkurencję dostaliśmy maksymalną liczbę punktów”, mówi kpt. Ząbek.

KOŃCÓWKA NA MAKSA

Niespodzianka czekała też żołnierzy pod koniec kilkunastogodzinnego marszu. „Po ogromnym, fizycznym wysiłku myśleliśmy już tylko o przekroczeniu mety. Podjechał samochód, żeby zawieźć nas do miejsca zbiórki. Tymczasem, jak się okazało, czekały na nas jeszcze trzy zadania”, mówi kpt. Stykowski. Organizatorzy chcieli sprawdzić reakcję zawodników na sytuacje powstałe na drodze. Najpierw pojazd, którym poruszali się żołnierze, wpadł w zasadzkę, potem wojskowi musieli po raz kolejny wykazać się umiejętnościami udzielania pierwszej pomocy. Ostatnie 3 km przed metą zostały natomiast wyznaczone jako odcinek czasowy. Trzeba go było przebiec jak najszybciej.

„Byliśmy bardzo zmęczeni, bo w czasie całego patrolu nie mieliśmy żadnych przerw na odpoczynek czy sen. Ideą tego marszu jest, by wykonać go w jak najkrótszym czasie. Dlatego o ostatecznym wyniku mogła zdecydować każda minuta”, mówi mjr Halot. A jak przyznają polscy żołnierze, trasa zawodów nie była łatwa. „Przebywaliśmy w okolicach włoskich Alp, czyli w bardzo trudnym i wymagającym terenie. Były duże

ARCH. AWL (2)

TWORZYLIŚMY NAPRAWDĘ FAJNY, ZGRANY ZESPÓŁ.

CAŁY CZAS SIĘ WSPIERALIŚMY, MOTYWOWALIŚMY DO DZIAŁANIA. ANI NA CHWILĘ NIE STRACILIŚMY HARTU DUCHA

różnice wysokości i podejścia na 2 tys. m", mówi chor. Lisiecki. Wyzwaniem okazały się także… stare mapy. „GPS w warunkach górskich nie zawsze bywa pomocny, bo nie jest w stanie dokładnie określić pozycji. Trzeba było więc pracować na mapach. Te jednak nie były zbyt aktualne, pokazywały na przykład dużą liczbę cieków wodnych, które w rzeczywistości dawno zdążyły już wyschnąć. A my, sugerując się liczbą strumieni, na trasę zabraliśmy jedynie po 2 l wody", opowiada kpt. Ząbek.

ZGRANA DRUŻYNA

Mocnymi stronami Polaków podczas zawodów okazały się kondycja, umiejętności strzeleckie i taktyczne. Ale nie tylko to zdecydowało o ostatecznym sukcesie zespołu. „Tworzyliśmy naprawdę fajny, zgrany, wzajemnie uzupełniający się team. Cały czas się wspieraliśmy, motywowaliśmy do działania. Ani na chwilę nie straciliśmy hartu ducha", mówi chor. Lisiecki.

Kpt. Stykowski z perspektywy poprzednich trzech edycji ocenia, że drużyna kadry AWL-u wypadła znakomicie. „Moi koledzy z drużyny to debiutanci na tych zawodach. A wcześniej nie mieliśmy zbyt wiele czasu na wspólne przygotowania", mówi. Dodaje jednak, że doskonałym treningiem okazały się codzienna służba i częste wyjazdy do ośrodka szkolenia w Szklarskiej Porębie. To tam wojskowi prowadzą m.in. praktyczne zajęcia dla podchorążych ze wspinaczki, SERE, organizacji patroli rozpoznawczych w górach, zarówno latem, jak i zimą. Zaprocentowało też doświadczenie żołnierzy z misji poza granicami kraju oraz to, że wykładają przedmioty związane z konkurencjami rozgrywanymi podczas zawodów, czyli ze szkoleniem wysokogórskim, działaniami pokojowymi i stabilizacyjnymi, dowodzeniem pododdziałami rozpoznawczymi. To wszystko razem złożyło się na sukces Polaków. Ekipa z Polski zajęła pierwsze miejsce w klasyfikacji szkolnictwa i piąte w rankingu generalnym. Najlepsza okazała się drużyna ze Szwajcarii.

„Na pewno dzięki udziałowi w zawodach mogliśmy sprawdzić samych siebie na tle innych jednostek wojskowych z Europy. Fakt, że byliśmy jednym z najstarszych zespołów, podbudował nas psychicznie, wyszło na to, że wciąż jesteśmy w niezłej formie", mówi kpt. Stykowski. Dodatkową korzyścią dla uczestników była możliwość obserwacji organizacji zawodów. „Od trzech lat przygotowujemy podobne, Military Ski Patrol. Formuła jest zbliżona, ale wszystko odbywa się w zimowej aurze, na nartach skiturowych". ■

Kadr ze zwiastuna gry Battlefield V, obok amerykańscy żołnierze w Normandii w 1944 roku.

THE U.S. NATIONAL ARCHIVES AND RECORDS ADMINISTRATION

IROKEZ NA WOJNIE

Tę fryzurę zwykle utożsamiamy z młodzieżowym buntem. Ma jednak ciekawą historię i w kulturze amerykańskiej kojarzy się z wojskiem.

ROBERT SENDEK

NAJWCZEŚNIEJSZY UDOKUMENTOWANY PRZYPADEK POJAWIENIA SIĘ IROKEZÓW NA GŁOWACH AMERYKAŃSKICH ŻOŁNIERZY ŁĄCZONY JEST ZE SFORMOWANĄ POD KONIEC II WOJNY ŚWIATOWEJ BRUDNĄ TRZYNASTKĄ (FILTHY THIRTEEN)

Każdy miłośnik kina zapewne pamięta kluczową scenę z wyreżyserowanego przez Martina Scorsese filmu „Taksówkarz", kiedy grany przez Roberta de Niro bohater, Travis Bickle, udaje się na pikietę polityczną senatora, którego ma zamiar zastrzelić. Ubrany jest w znoszoną wojskową kurtkę, na nosie ma ciemne okulary, głowę zaś ostrzygł w osobliwy sposób: po bokach do gołej skóry, na czubku głowy zostawiając wąski pasek włosów, ciągnący się od czoła ku potylicy. Do zamachu ostatecznie nie dochodzi, Travis spłoszony przez policję ucieka z pikiety.

Warto w kilku słowach przypomnieć kontekst tej sceny. Sam Scorsese podkreślał w wywiadach, że Travis Bickle jest weteranem wojny wietnamskiej, który po powrocie do cywila próbuje odnaleźć swoje miejsce w świecie. Cierpi na bezsenność, więc zgadza się na niskopłatną pracę jako taksówkarz, jeździ w najgorszych dzielnicach miasta, jego klientami są prostytutki i dilerzy narkotyków. Z czasem narasta w nim rozczarowanie, ale i bunt, wobec czego postanawia sam zaprowadzić porządek w świecie.

Ani kurtka, którą zakłada Travis (typu M65, noszona przez żołnierzy amerykańskich w Wietnamie), ani tym bardziej jego dziwaczna fryzura nie są jednak przypadkowe. W udzielonych prasie filmowej wywiadach Martin Scorsese wielokrotnie podkreślał, że do takiego przedstawienia bohatera zainspirował go przyjaciel, aktor Victor Magnotta. Służył on w Wietnamie, gdzie widział, jak niektórzy żołnierze przed walką przycinali włosy w sposób, jaki został później pokazany w filmie.

INDIANIE NA WOJENNEJ ŚCIEŻCE

W języku polskim ten rodzaj fryzury nazywany jest irokezem. W angielskim to „mohawk", w czeskim zaś – „čiro" albo „čerokýz". Wszystkie te formy nawiązują do nazw różnych plemion Indian północnoamerykańskich, co z kolei ma związek z rzeczywistymi zwyczajami indiańskimi. James Fenimore Cooper, autor wydanej w 1826 roku powieści „Ostatni Mohikanin", tak przedstawił jednego ze swych bohaterów: „Głowa czerwonoskórnego była zupełnie ogolona i jedynie na czubku widniał kosmyk włosów, zwany skalpowym, w który wetknięte było wspaniałe orle pióro, zwisające ku lewemu ramieniu".

W wierzeniach wielu indiańskich plemion włosy były symbolem życia bądź duszy. Wkraczając na wojenną ścieżkę, niektórzy wojownicy mieli zwyczaj golić głowy po bokach, zostawiali sobie jednak kępkę na czubku lub z tyłu głowy. Chętnie zdobili ją piórami, koralikami, muszelkami, wplatali paski skóry bądź tkaniny. Za jedno z najważniejszych trofeów wojennych, które można było zdobyć w walce, uważali duszę przeciwnika, mieszkającą właśnie we włosach. Odcięcie rywalowi kawałka skóry z włosami (skalpu) było zatem równoznaczne z jego pokonaniem, z odebraniem mu duszy. Niekoniecznie trzeba go było przy tym zabijać, gdyż wojownika, który został pokonany i któremu odcięto włosy (odbierając w ten sposób duszę), Indianie uznawali za martwego. Z drugiej strony, zdobienie tej kitki i pokazywanie jej przeciwnikowi było znakiem, że wojownik nie boi się śmierci, lecz jest gotów oddać swe życie w walce.

Zwyczaje te były znane i opisywane w amerykańskiej prasie oraz literaturze. Do ich spopularyzowania przyczyniło się także kino, np. ekranizacja powieści Coopera „Ostatni Mohikanin" w reżyserii George'a B. Seitza z 1936 roku czy „Bębny nad Mohawkiem" Johna Forda z 1939 roku. Pojawiający się w tych filmach wojownicy indiańscy mają włosy przycinane w bardzo charakterystyczny sposób, czyli głowy golone na gładko z zachowaną kitą na potylicy bądź właśnie w formie postawionego do góry paska na środku głowy. Wydaje się oczywiste, że amerykańscy żołnierze mogli widzieć te filmy i stamtąd czerpać inspiracje.

NIEREGULAMINOWE FRYZURY POJAWIAJĄ SIĘ W WIELU AMERYKAŃSKICH FILMACH, TAKICH JAK **„TAKSÓWKARZ"** CZY „ŚWIĘCI I ŻOŁNIERZE. CREDO SPADOCHRONIARZA"

BRUDNA TRZYNASTKA

Najwcześniejszy udokumentowany przypadek pojawienia się irokezów na głowach amerykańskich żołnierzy łączony jest ze sformowaną pod koniec II wojny światowej Brudną Trzynastką (Filthy Thirteen). Był to wydzielony oddział dywersyjny, do którego przed inwazją w Normandii delegowano żołnierzy z 506 Spadochronowego Pułku Piechoty, wchodzącego w skład amerykańskiej 101 Dywizji Powietrznodesantowej. Brudna Trzynastka była w pewien sposób oddziałem wyjątkowym, gdyż kierowano do niej żołnierzy wykazujących się samodzielnością i operatywnością, ale mających problemy z niesubordynacją i niekoniecznie stosujących się do regulaminów i przepisów. Z tego zresztą miała się wziąć nazwa oddziału: podobno jego żołnierze golili się raz w tygodniu, a przypadające im racje wody przeznaczali na gotowanie nielegalnie upolowanej zwierzyny.

Oddział został zrzucony na spadochronach w północnej Francji 5 czerwca 1944 roku, w przeddzień inwazji aliantów w Normandii. Nawiasem mówiąc, jego losy stanowiły inspirację dla twórców dobrze znanego także w Polsce filmu wojennego „Parszywa dwunastka" w reżyserii Roberta Aldricha.

Zachowało się trochę materiałów dokumentalnych wykonanych przez amerykańskich reporterów wojskowych przedstawiających żołnierzy Brudnej Trzynastki przygotowujących się do operacji. Sprawdzają sprzęt, poprawiają zapięcia. Wszyscy mają na głowie irokezy, a do tego palcami malują sobie na twarzach indiańskie barwy wojenne, korzystając z farb, którymi wymalowano na samolotach tzw. pasy inwazyjne. Wchodzą potem na pokład C-47, żeby polecieć nad Francję.

NIEREGULAMINOWA FRYZURA

Zdjęcia przedstawiające szykujących się do walki przedstawicieli Brudnej Trzynastki w bojowych fryzurach były znane wśród amerykańskich żołnierzy z oddziałów spadochronowych i desantowych. Nic więc dziwnego, że w późniejszych latach próbowano ich naśladować. Z czasem tego rodzaju strzyżenie stało się nieoficjalnym wyróżnikiem amerykańskich wojsk spadochronowych – w połowie lat pięćdziesiątych ubiegłego stulecia takie włosy nosili np. żołnierze 82 Dywizji Powietrznodesantowej. Wiadomo, że można było je zobaczyć też na głowach amerykańskich wojskowych w Wietnamie, do czego nawiązał w „Taksówkarzu" Scorsese.

Ze względów regulaminowych irokez jako fryzura żołnierza w służbie czynnej nie była i nie jest oficjalnie dopuszczalna, tj. nie można zostawiać pasa włosów, a tuż obok nagiej skóry. Możliwe jest jednak uczesanie, które w języku angielskim nosi nazwę „fauxhawk": włosy po bokach głowy ścięte są na zapałkę, u góry zaś – troszkę dłuższe, jednak nie tworzą wyraźnego paska przez środek głowy. Relacje i wspomnienia amerykańskich żołnierzy pokazują, że niektórzy dowódcy tolerowali irokezy podczas ćwiczeń oraz działań bojowych. Zauważyli bowiem, że ich podwładni dodawali sobie w taki sposób animuszu, zwiększali morale i podnosili samoocenę. Po działaniach jednak trzeba było ściąć włosy z „grzebienia".

„Mohawk" stanowi w armii amerykańskiej element żołnierskiego folkloru. Trafił także do popkultury. Żołnierzy z irokezami chętnie portretują bowiem twórcy filmów, których akcja rozgrywa się w środowisku wojskowych. Niewykluczone, że przyczynił się do tego rozgłos, jaki w 1976 roku zdobył „Taksówkarz". Film ten trafił zresztą na podatny grunt: połowa lat siedemdziesiątych to początek punkowego buntu, nic więc dziwnego, że osobliwa, niezwykła fryzura, z jaką pokazał się na ulicy filmowy Travis, wyrzutek społeczeństwa, zdobyła sobie uznanie wśród przedstawicieli tej subkultury. ■

28. BIEG POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

5. BIEG ZDOBYCIA PAST-y

SOBOTA, 28 LIPCA

12 TYS. OSÓB - REKORDOWY LIMIT UCZESTNIKÓW

NOWA TRASA BIEGU

WYSYŁKA PAKIETÓW STARTOWYCH KURIEREM

POD PATRONATEM MEDIALNYM:

Polska Zbrojna

wejdź na www.aktywnawarszawa.pl
i pobiegnij z nami !

PUŁKOWNIK
WŁODZIMIERZ CIESZKOWSKI

#RycerzeBialoCzerwonej

Jego osobiste losy pokazują, jak skomplikowane były drogi Polaków, którzy w czasie II wojny światowej bili się z wrogiem, by odzyskać wolną ojczyznę. Poza osobistym męstwem i gotowością do poświęceń równie ważne było żołnierskie szczęście, które pozwoliło płk. Cieszkowskiemu doczekać wolnej Polski i znaleźć się w gronie rycerzy biało-czerwonej.

My też możemy do nich dołączyć!

MICHAŁ NIWICZ

FRONTOWE SZCZĘŚCIE

Z Włodzimierzem Cieszkowskim

o Wrześniu ’39, internowaniu i poszukiwaniu żołnierskiego miejsca na Zachodzie rozmawia Piotr Korczyński.

Panie Prezesie, we Wrześniu ’39 był Pan szczęściarzem. Już po wybuchu wojny, jako szesnastolatek, został Pan kierowcą w Wojsku Polskim. Jak do tego doszło?

Wyjechaliśmy z Warszawy 5 września na polecenie władz. Chodziło o to, żeby młodzież opuszczała stolicę, której groziły niemieckie bombardowania. Jechaliśmy pociągiem w kierunku Lwowa. Wiózł on przede wszystkim oficerów i żołnierzy sanitarnych – lekarzy oraz farmaceutów, którzy mieli na wschodzie organizować szpitale wojenne. Dotarliśmy tylko do Krasnegostawu, ponieważ Niemcy zbombardowali linię kolejową. Po rozładowaniu pociągu poszedłem za kilkoma oficerami. Trafiliśmy do rezydencji hrabiego. Oficerowie zarekwirowali mu trzy samochody: dwa osobowe i jeden półciężarowy. Hrabia zaprotestował: „Po co wam trzy samochody, skoro nie macie tylu kierowców?”. Usłyszałem to i od razu powiedziałem do jednego z oficerów: „Panie pułkowniku, ja mam prawo jazdy”. A że byłem w mundurze tzw. przysposobienia wojskowego – akurat skończyłem czwartą klasę gimnazjum, czyli miałem „małą maturę”, i zaliczyłem kurs nauki jazdy – potraktowali mnie jako żołnierza. Nie pytali o rodzinę ani o inne szczegóły, tylko kazali siadać za kierownicą i wydali rozkaz: „Odwieziecie nas do Lwowa, a później zaopiekujemy się wami”.

I faktycznie tak się stało, jak zapowiedzieli oficerowie?

Tak. Rano 6 września wyjechaliśmy do Lwowa i następnego dnia po dotarciu na miejsce zdałem samochód, ale to nie był koniec mojej kariery szofera wojskowego. Otrzymałem przydział kierowcy w 101 Szpitalu Wojennym w Zaleszczykach, zorganizowanym w oficerskim domu wypoczynkowym. Karetką z rannymi kursowałem do 17 września. Dzień wcześniej komendant szpitala uprzedził nas, że chyba będziemy się ewakuować do Rumunii i byliśmy już przygotowani na tę ewentualność, choć większość zatrudnionych w szpitalu to byli miejscowi – mieszkańcy Zaleszczyk, i oni nie chcieli wyjeżdżać. Ci, którzy się na to zdecydowali, w tym i ja, wyjechali samochodami ze szpitala i o 14.30 przekroczyli granicę rumuńską. Dojechaliśmy do Czerniowiec. Tutaj rozładowaliśmy samochody z rannymi żołnierzami.

WIZYTÓWKA

PŁK WŁODZIMIERZ CIESZKOWSKI

Urodził się 31 lipca 1923 roku w Ciechanowie. Jest prezesem Krajowego Związku Byłych Żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Jest również inicjatorem powołania Stowarzyszenia Tradycji Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, które będzie upamiętniać i propagować, zwłaszcza wśród młodych Polaków, dokonania polskich żołnierzy na Zachodzie w czasie II wojny światowej. Uhonorowany został Krzyżem Oficerskim Polonia Restituta, Krzyżem Kawalerskim francuskiej Legii Honorowej, złotym medalem „Za Zasługi dla Obronności Kraju”. Jest jednym z 25 żyjących w Polsce weteranów Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. ■

18 września wysłano nas do Călimăneşti. To była miejscowość letniskowa z wielkim kurortem, który przerobiono na tymczasowy obóz internowania dla polskiego wojska i cywilnych uciekinierów. Tam spędziłem około dwóch miesięcy. Następnie przewieziono nas do Târgovişte, gdzie w tamtejszych koszarach zorganizowano obóz z prawdziwego zdarzenia, z podziałem na część oficerską i dla reszty żołnierzy. Panował w nim już znacznie większy rygor i o wiele trudniej było uciec. Jako cywil mogłem mieszkać poza obozem, w kwaterze na mieście.

Jak w takim razie udało się Panu przedostać na Zachód?

W 1939 roku władze rumuńskie pozwalały na wyjazd polskiej młodzieży do gimnazjum i liceum polskiego w Paryżu. Skorzystałem z tej możliwości i w połowie grudnia, z podaniem o przyjęcie do liceum, wyjechałem przez Jugosławię i Włochy do Francji. Na granicy francuskiej ja i moi koledzy schowaliśmy szkolne papiery i zgłosiliśmy się do polskiej armii. Otrzymałem przydział do 2 Dywizji Strzelców Pieszych stacjonującej w Parthenay i tak się zaczęło prawdziwe wojsko.

Czy w dywizji przydało się Panu szoferskie doświadczenie z Września '39?

Nie. Wprawdzie wzięli mnie na kurs, ale uznali, że mają dostateczną liczbę bardziej doświadczonych kierowców. W końcu otrzymałem przydział do plutonu ochrony sztabu dywizji. Dzięki temu codziennie widziałem dowódcę dywizji, gen. Bronisława Prugara-Ketlinga. Znacznie później dowiedziałem się, że organizatorem 4 Pułku Strzelców Pieszych był ppłk Antoni Cieszkowski. Być może ktoś w sztabie połączył z nim moje nazwisko i uznał, że to rodzina i właśnie dzięki temu mogłem się znaleźć w plutonie ochrony sztabu.

Już po rozpoczęciu działań wojennych, w czerwcu 1940 roku, sztab 2 Dywizji stacjonował w różnych hotelach na obszarze, gdzie trwały działania wojenne, na przykład w miejscowości Maîche. Wtedy też przekonałem się, co znaczy wojenne szczęście. Pół godziny po tym, kiedy ewakuowaliśmy się z hotelu, na budynek spadły bomby i nie zostało po nim śladu. Dzięki naszemu dowódcy w dywizji nie było wielu rannych i zabitych. Zresztą jeśli chodzi o polską armię, to główne uderzenie przyjęła na siebie 1 Dywizja Grenadierów gen. Bronisława Ducha, która mężnie walczyła z Niemcami na północy Francji – między północnym końcem Linii Maginota a morzem. Nasz szlak bojowy skończył się 20 czerwca, kiedy za zgodą władz szwajcarskich i naczelnego wodza gen. Władysława Sikorskiego 2 Dywizja wkroczyła do Szwajcarii i została internowana.

W 1939 roku władze rumuńskie pozwalały na wyjazd polskiej młodzieży do gimnazjum i liceum polskiego w Paryżu. Skorzystałem z tej możliwości i wyjechałem do Francji

Jak Pan to wspomina?

Dzięki temu uratowało się przeszło 12,5 tys. polskich żołnierzy, którzy później, zgodnie z planami Londynu, mieli stanowić uzupełnienie po poległych w 1 Dywizji Pancernej gen. Stanisława Maczka i 2 Korpusu gen. Władysława Andersa. 1 Dywizja Grenadierów poniosła ogromne straty: przeszło 900 rannych i 3,5 tys. zabitych! Gen. Duch za zgodą gen. Sikorskiego wydał rozkaz jej rozwiązania 22 czerwca, a Francuzi podpisali z Niemcami rozejm 17 czerwca! Polacy dłużej bili się za Francję niż jej żołnierze.

Należy podkreślić wspaniałe zachowanie Szwajcarów wobec naszej dywizji, zwłaszcza głównodowodzącego armii szwajcarskiej,

gen. Henriego Guisana. To dzięki niemu polscy żołnierze mogli nie tylko podjąć pracę, lecz także kształcić się w szkołach średnich i na uniwersytecie. Wynikało to również z faktu, że gen. Guisan wiedział, że gen. Prugar-Ketling służył w Błękitnej Armii gen. Józefa Hallera i ma doświadczenie w walce i obronie.

Mimo to Pan zdecydował się na ucieczkę z internowania i powrót do Francji. Włączył się Pan w działalność Résistance…

Tak, ale zarówno ja, jak i wielu moich kolegów zrobiliśmy to dopiero w 1944 roku, gdyż do tego czasu Naczelny Wódz zakazał nam organizowania ucieczek. Chodziło o to, że mieliśmy stanowić rezerwę kadrową dla 1 i 2 Korpusu PSZ. Kiedy jednak działania wojenne przyspieszyły, w połowie roku 1944 otrzymaliśmy sygnał „możecie się ewakuować" i zaczęliśmy uciekać. Zresztą Szwajcarzy na te nasze ucieczki również patrzyli przez palce – nie było większych problemów z przejściem do Francji.

W Szwajcarii zdałem maturę i zapisałem się na uniwersytet w Zurichu, ale kiedy dotarła do mnie wiadomość o pozwoleniu na ucieczkę, nie zastanawiałem się długo. Byłem młody i chciałem walczyć. We Francji znalazłem się w polsko-francuskim oddziale wywiadowczym, kierowanym przez oficerów amerykańskich i polskich. Jako że dobrze znałem zarówno język francuski, jak i niemiecki, moim zadaniem było przesłuchiwanie jeńców niemieckich i zapisywanie wyciągniętych od nich informacji.

Dość szybko z wywiadowcy zmienił się Pan w żołnierza 1 Dywizji Pancernej gen. Stanisława Maczka. Jak wyglądała Pańska służba w tej słynnej formacji?

W dywizji gen. Maczka wróciłem do kariery kierowcy. Przez kilka miesięcy zajmowałem się zaopatrzeniem w 10 Pułku Dragonów. Z Francji i Belgii woziłem na front amunicję i benzynę. To już był rok 1945, ale w tym krótkim czasie doświadczyłem, co to znaczy służba w nowoczesnej jednostce, w której nie trzeba liczyć każdego naboju, kanistra z benzyną czy męczyć się z przestarzałym sprzętem. W porównaniu z naszą 2 Dywizją z roku 1940 to było, jak to się mówi, niebo a ziemia. My byliśmy przez Francuzów wyposażeni w niebieskie mundury z I wojny światowej i praktycznie w broń muzealną. Pamiętam do dziś, jak w czerwcu 1940 roku przyjechaliśmy do magazynu zbrojeniowego w miejscowości Belfort, gdzie zaopatrywaliśmy się w amunicję, i zobaczyliśmy tam nowiutkie ręczne karabiny maszynowe ustawione w jednym z pomieszczeń. Prosiliśmy Francuzów, żeby je nam wydali, a oni odmówili, argumentując, że czekają na Niemców! O mało nie wszczęliśmy tam buntu. Dopiero kiedy na froncie zrobiło się naprawdę gorąco, zaczęto nas wyposażać w nowocześniejszy sprzęt, ale było już za późno.

Wrócę jednak do 1 Dywizji Pancernej. Po kilku miesiącach przeniesiono mnie z niej do polskiej misji wojskowej w Paryżu. I tam także zostałem kierowcą. Na czele misji stał pułkownik, który wcześniej był internowany w Szwajcarii, więc być może moje przeniesienie było związane z tym faktem.

A co się wówczas działo z Pana rodziną, jakie były jej wojenne losy?

Moja mama przed Wrześniem '39 była komendantką Związku Strzeleckiego w Ciechanowie. Po wybuchu wojny pod jej opieką znalazła się Żydówka z synem, którą mama wciągnęła do służby w Armii Krajowej. W czasie powstania warszawskiego obie walczyły w Zgrupowaniu Chrobry II i obie dostały się do niewoli. Mama w Mühlbergu została polskim komendantem obozu i ta Żydówka przez cały czas pomagała w jej biurze. Na marginesie powiem, że okazała się żoną człowieka, który po wojnie został ministrem. W listopadzie 1945 roku mama otrzymała polecenie wyjazdu do Londynu, ale zaprotestowała i oświadczyła, że wraca do Polski. Argumentowała, że w kraju ma siostrę z trójką dzieci, a mąż był w obozie. W ten sposób razem ze swoją towarzyszką – bo ona także chciała wracać – przyjechały do kraju.

Co zdecydowało o tym, że po wojnie Pan także wrócił do Polski?

Po zakończeniu wojny wyznaczono mnie do dalszego szkolenia wojskowego, ale pewnego dnia z misji wojskowej w Paryżu dostarczono mi list od mamy, żebym wracał do domu. Cóż było robić, mamy trzeba słuchać. Do Polski wróciłem w marcu 1946 roku. Jechałem specjalnym transportem kolejowym z Francji przez Czechosłowację. Miałem przygodę na polskiej granicy. Naszym służbom coś się we mnie nie spodobało i przetrzymali mnie na stacji w Dziedzicach, sprawdzając dokumenty. W pewnym momencie do pokoju wszedł jakiś porucznik o znajomej twarzy. Okazało się, że to kolega z gimnazjum. To był Żyd. I on przyjechał na kontrolę punktu granicznego w Dziedzicach. Jak podszedł, zawołałem: „Benek, nie poznajesz mnie?". On: „Nie". „Cieszkowski jestem", odpowiedziałem. A wtedy on: „Serwus! Twoja mama jest w Warszawie!". To ja mu mówię: „Benek, oni mi tutaj każą pisać życiorys i trzymają mnie… Co mam robić?". Załatwiliśmy to tak, że wyciągnąłem butelkę z plecaka i wypiliśmy ją z tym funkcjonariuszem Ministerstwa Bezpieczeństwa, który kazał mi pisać życiorys. I już bez przeszkód dotarłem do domu. Można powiedzieć, że frontowe szczęście trzymało się mnie do końca. ■

ARCH. URZĘDU MIASTA ZAMBRÓW

ANNA DĄBROWSKA

Odnaleziony po latach

Po 79 latach oficer spoczął we wspólnej mogile z kolegami.

Wieczorem 10 września 1939 roku niemiecka 20 Dywizja zajęła Zambrów, zamykając w okrążeniu polską 18 Dywizję Piechoty. Rankiem następnego dnia płk Stefan Kossecki, dowódca Polaków, wydał 71 Pułkowi Piechoty pod dowództwem ppłk. Adama Zbijewskiego rozkaz natarcia na Zambrów i otworzenia drogi odwrotu w kierunku Bugu.

BEZIMIENNY GRÓB

Zacięte walki o miasto trwały cały dzień. Około południa części polskich oddziałów udało się – pod silnym ogniem nieprzyjaciela – dotrzeć do rynku, natarcie zostało jednak przez Niemców zatrzymane, a pułk zmuszony do odwrotu.

Według szacunków, podczas bitwy zginęło około 400 żołnierzy dywizji. Wśród poległych był kpt. Władysław Dąbrowski, dowódca 1 kompanii ciężkich karabinów maszynowych 1 Batalionu 71 Pułku.

Oficer był absolwentem Szkoły Podchorążych Piechoty w Komorowie koło Ostrowi Mazowieckiej. W 1930 roku został skierowany do 68 Pułku Piechoty we Wrześni. Był tam dowódcą plutonu, a następnie kompanii szkolnej ckm. W 1935 roku przeniesiono go do Szkoły Podchorążych Piechoty w Różanie, a dwa lata później wrócił jako dowódca plutonu do Komorowa. W 1938 roku zasilił kadrę oficerską 71 Pułku w Zambrowie.

O śmierci kapitana pod koniec 1939 roku poinformował jego żonę Janinę Niemiecki Czerwony Krzyż. Napisano, że oficer zmarł od ran 13 września 1939 roku. Potwierdził to Polski Czerwony Krzyż, do którego pani Janina zwróciła się, kiedy szukała grobu męża. W odpowiedzi dostała pismo: „Biuro Informacyjne PCK niniejszym komunikuje, że według doniesienia Niemieckiego Czerwonego Krzyża mąż pani kpt. Władysław Dąbrowski zmarł z ran dn. 13 września 1939 r. Gdzie wymieniony zmarł i gdzie został pochowany nie zdołaliśmy ustalić”.

Podczas ekshumacji odnaleziono szczątki żołnierzy, udało się też odczytać fragment nieśmiertelnika.

INFORMACJA, ŻE WE WSI W POBLIŻU ZAMBROWA ZNAJDUJE SIĘ BEZIMIENNY GRÓB DWÓCH ŻOŁNIERZY Z 1939 ROKU, OKAZAŁA SIĘ PRZEŁOMEM

Pani Janina przez lata szukała mogiły męża, potem pomagali jej w tym synowie Jerzy i Tadeusz. „Byliśmy przekonani, że ojciec leży gdzieś w Zambrowie, bo we wszystkich dokumentach, do jakich dotarłem, jest mowa o tym, że poległ tam na rynku 11 września", mówił Jerzy Dąbrowski w maju tego roku podczas spotkania w Miejskim Ośrodku Kultury w Zambrowie.

Przełomem w poszukiwaniach okazały się informacje, do których dotarł jeden z zambrowskich portali internetowych. Okazało się, że we wsi Dmochy-Wochy w pobliżu Zambrowa znajduje się mogiła dwóch żołnierzy poległych w 1939 roku. Drewniany krzyż z danymi żołnierzy dawno się rozpadł, ale w lokalnej tradycji przetrwały ich nazwiska: Władysław Dąbrowski i Jan Kodyński lub Chodyński.

Hipoteza, że bezimienny dziś grób może kryć szczątki kpt. Dąbrowskiego, wydawała się tym bardziej prawdopodobna, że we wrześniu 1939 roku w jednej ze stodół we wsi funkcjonował niemiecki szpital polowy. Udzielano tam pomocy także rannym polskim oficerom wziętym do niewoli po bitwie pod Andrzejewem 13 września, czyli po kolejnej nieudanej próbie przebicia się polskiej dywizji przez niemieckie okrążenie. Operowany tu był m.in. płk Kossecki.

PRZYWRACANIE TOŻSAMOŚCI

Gdy Jerzy Dąbrowski dowiedział się o mogile, zwrócił się o dalsze informacje na temat ojca do Niemieckiego Czerwonego Krzyża. „Z uzyskanych dokumentów dowiedziałem się, że ojciec był ciężko ranny w lewe udo, został zabrany 12 września do niemieckiego szpitala polowego, gdzie zmarł 13 września", opowiadał Dąbrowski w Zambrowie. Prawdopodobnie ciężko ranny podczas walk oficer został uznany przez kolegów za poległego i pozostał w mieście po wycofaniu się polskich oddziałów. Po zajęciu miasta Niemcy odnaleźli rannego i przewieźli go do szpitala, w którym ten zmarł, a następnie został pochowany przez miejscową ludność na łące. „Z chwilą odnalezienia mogiły wojennej byłem pewien, że jest tam pochowany mój ojciec", stwierdził pan Jerzy.

Na zlecenie Urzędu Miasta w Zambrowie Regionalna Izba Historyczna Miejskiego Ośrodka Kultury przygotowała ekshumację żołnierskiej mogiły. Przeprowadził ją w styczniu 2018 roku zespół Polskiej Bazy Genetycznej Ofiar Totalitaryzmów, działającej przy Pomorskim Uniwersytecie Medycznym w Szczecinie, kierowany przez dr. n. med. Andrzeja Ossowskiego. W pracach uczestniczyli też archeolodzy, rekonstruktorzy, historycy, antropolodzy i medycy sądowi.

Podczas ekshumacji odnaleziono szczątki dwóch polskich żołnierzy, a także drobne przedmioty: medaliki, krzyżyk, guziki mundurowe z orłem w koronie. Ponadto jeden ze szkieletów miał na lewej nodze założoną stabilizującą metalową szynę. Udało się też odczytać na fragmencie nieśmiertelnika końcówkę wybitego na nim nazwiska „wski II". Wskazywało to znów na kapitana, który w ewidencji wojskowej figurował jako Władysław Dąbrowski II, dla odróżnienia od innego oficera noszącego to samo imię i nazwisko.

Ostateczną odpowiedź mogły dać jednak tylko badania genetyczne. Materiał porównawczy pobrano od synów i po kilku tygodniach specjaliści z Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego potwierdzili tożsamość odnalezionych szczątków. „Dzięki tym pracom pokazujemy, że pamiętamy o każdym poległym. Żołnierze, którzy zginęli w 1939 roku, w przeważającej większości są anonimowi, dzisiaj możemy przywrócić im tożsamość", podkreślał dr Ossowski na spotkaniu w MOK-u. Nadal jest zaś poszukiwana rodzina drugiego żołnierza.

11 maja 2018 roku w Zambrowie pożegnano po raz ostatni kpt. Dąbrowskiego i odnalezionego razem z nim nieznanego żołnierza. Po mszy w miejscowym kościele w wojskowej asyście honorowej z 18 Pułku Rozpoznawczego oraz z udziałem orkiestry wojskowej z Giżycka trumny przewieziono na miejscowy cmentarz parafialny.

Obaj spoczęli w zbiorowej mogile żołnierzy 71 Pułku poległych w bitwie o Zambrów. Nagrobek w 2006 roku staraniem Jerzego Dąbrowskiego został przebudowany, odnowiono pomnik na mogile, umieszczono na nim tablicę z uaktualnionym wykazem nazwisk poległych, emblemat wojskowego orła II Rzeczypospolitej i odznakę 71 Pułku. Dziś mogiła jest przykryta granitowymi płytami, a napis na tablicy brzmi: „Pamięci żołnierzy Wojska Polskiego poległych w obronie ojczyzny w dniu 11 września 1939 roku w bitwie o Zambrów". Pochowanych jest tutaj 47 żołnierzy, w tym 23 nieznanych.

„Ta uroczystość jest wielkim przeżyciem dla mnie i mojej rodziny. To wspaniałe po tylu latach poszukiwania odnaleźć szczątki ojca i pochować je w mogile, gdzie leżą jego koledzy z pułku", mówił w trakcie pogrzebu Jerzy Dąbrowski. ■

Wyrazy współczucia i szczere kondolencje
dla Pana kmdr. ppor. Marka Marcińca
składają komendant, żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej
Komendy Portu Wojennego Gdynia.

Z głębokim żalem zawiadamiamy,
że 17 maja 2018 roku
odszedł od nas na zawsze nasz ukochany
Mąż, Ojciec i Dziadek
śp.
kmdr pil. dypl. w st. spocz. Zdzisław Krakowski.
Żył 72 lata.

Pogrążona w smutku rodzina

Panu płk. dypl. pil. Adamowi Cebuli
szczere wyrazy współczucia
z powodu śmierci
Ojca
składają koleżanki i koledzy
z Biura Organizacyjnego AIR SHOW 2018.

Panu płk. Krzysztofowi Leśniakowi
oraz jego Rodzinie i Najbliższym
wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci
Teścia
składają kadra i pracownicy wojska
Szefostwa Eksploatacji Sprzętu Inżynieryjnego
i OPBMR
Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych.

Wyrazy głębokiego współczucia
Panu st. chor. Grzegorzowi Goszczowi
z Wydziału Żandarmerii Wojskowej
we Wrocławiu
z powodu tragicznej śmierci
Żony
składa komendant główny, żołnierze i pracownicy
Żandarmerii Wojskowej.

Wyrazy najgłębszego współczucia i szczerego żalu
Rodzinie oraz Bliskim
ppłk. rez. Witolda Bąkowskiego
składa komendant, kadra oraz pracownicy RON
2 Regionalnej Bazy Logistycznej w Warszawie.

Panu ppłk. rez. Edwardowi Stachowiczowi
wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczere kondolencje z powodu śmierci
Teścia
składają komendant, kadra i pracownicy RON
2 Regionalnej Bazy Logistycznej w Warszawie.

Panu mł. chor. Marcinowi Matyni
wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci
Taty
składa dowództwo i pracownicy RON
1 Brygady Lotnictwa Wojsk Lądowych.

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość
o nagłej śmierci
płk. lek. Piotra Gicali
komendanta 5 Wojskowego Szpitala Klinicznego
z Polikliniką w Krakowie w latach 2009–2016.
Z serca płynące szczere wyrazy żalu i współczucia
Rodzinie i Najbliższym
składają komendant płk lek. Artur Rydzyk,
kadra zawodowa i pracownicy
5 Wojskowego Szpitala Klinicznego z Polikliniką
w Krakowie.

Panu mjr. Zbigniewowi Kosskowi
wyrazy głębokiego współczucia
i szczere kondolencje z powodu śmierci
Mamy
składa dowódca 3 Brygady Radiotechnicznej
gen. bryg. Wojciech Lewicki
wraz z podległą kadrą i pracownikami
resortu obrony narodowej.

Nekrologi przyjmujemy tylko w formie elektronicznej. Treść kondolencji należy przesyłać pod adresem: polska-zbrojna@zbrojni.pl z nagłówkiem wiadomości: „Nekrologi". Prosimy o telefoniczne potwierdzenie zamieszczenia kondolencji: 261 845 213, 261 845 230, 261 840 227

Z wielkim smutkiem i żalem przyjąłem
wiadomość o śmierci
Pana ppłk. Stanisława Hernika
w latach 1991–1998 oraz 1989–1992
dowódcy 4 Batalionu Radiotechnicznego.
W tej bolesnej chwili
Szanownej Małżonce, Dzieciom, Wnukom,
Rodzinie oraz Najbliższym Zmarłego
składam wyrazy głębokiego żalu
i szczerego współczucia.

Dowódca 3 Brygady Radiotechnicznej
gen. bryg. Wojciech Lewicki
wraz z podległą kadrą i pracownikami
resortu obrony narodowej

Panu płk. Markowi Brzyckiemu
wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci
Mamy
składają szef finansów, kadra i pracownicy
resortu obrony narodowej Inspektoratu Wsparcia
Sił Zbrojnych.

Panu płk. Bogdanowi Pidantemu
wyrazy głębokiego współczucia
i solidarności w smutku
z powodu odejścia
Taty
składają kierownictwo, koleżanki i koledzy
z Centrum Operacyjnego
Ministra Obrony Narodowej.

Wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci
Syna Daniela
Pani Ewie Kowalskiej oraz Rodzinie
składa komendant główny
Żandarmerii Wojskowej oraz żołnierze i pracownicy
Komendy Głównej Żandarmerii Wojskowej.

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 22 maja 2018 roku zmarł
w Piasecznie k. Warszawy,
przeżywszy sto pięć lat,
śp.
płk Marian Michniewicz,
urodzony 10 marca 1913 roku w Pracyplonach
na Nowogródczyźnie.
W 1937 roku ukończył w stopniu podporucznika
Szkołę Podchorążych Kawalerii w Grudziądzu.
Podczas inwazji niemiecko-sowieckiej we wrześniu
1939 roku dowódca plutonu w 2 szwadronie 5 Pułku
Ułanów Zasławskich w składzie Podlaskiej Brygady
Kawalerii. Przeszedł cały szlak bojowy pułku od
Białej Piskiej przez Ostrów Mazowiecką, Zambrów,
Białowieżę, po rejon Kocka. 6 października 1939
roku wzięty do niewoli w Woli Gułowskiej. Więzień
Oflagu II-B Arnswalde i Oflagu II-D Gross-Born.
Najstarszy wiekiem oficer polskiej kawalerii.
Zasłużony członek i darczyńca Fundacji na Rzecz
Tradycji Jazdy Polskiej. Uhonorowany Krzyżem
Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem
Walecznych, Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem
„Pro Patria" oraz innymi odznaczeniami.
Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.
Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
szef Urzędu do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych

Wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
Panu mł. chor. Rafałowi Mrowickiemu
z powodu śmierci
Ojca
składają dowódca, żołnierze i pracownicy
7 Brygady Obrony Wybrzeża w Słupsku.

Panu ppłk. Krzysztofowi Masicy
wyrazy głębokiego współczucia
i solidarności w smutku
z powodu odejścia
Taty
składają kierownictwo, koleżanki i koledzy
z Ośrodka Monitorowania i Analiz MON.

Panu kmdr. pil. Andrzejowi Szczotce
oraz Jego Rodzinie
wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci
Teścia
składają dowództwo i pracownicy
resortu obrony narodowej
Gdyńskiej Brygady Lotnictwa
Marynarki Wojennej.

Wyrazy szczerego żalu, głębokiego współczucia
oraz wsparcia i otuchy
Pani Barbarze Cukras
w trudnych chwilach z powodu śmierci
Mamy
składają komendant, żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej
45 Wojskowego Oddziału Gospodarczego
w Wędrzynie.

Z ogromnym żalem przyjęliśmy wiadomość
o tragicznej śmierci naszego żołnierza,
szer. Darii Sudoł
z 3 Podkarpackiej Brygady Obrony Terytorialnej.
Daria była jednym z pierwszych żołnierzy
ochotników, którzy wstąpili do wojsk obrony
terytorialnej. Była żołnierzem, ale przede wszystkim
ukochaną córką i siostrą.
Swoim przedwczesnym odejściem pozostawiła
niezatarty ślad w naszej pamięci.
Wyrazy szczerego współczucia
Rodzinie
składają dowódca, żołnierze i pracownicy
wojsk obrony terytorialnej.

Panu gen. dyw. Grzegorzowi Sodolskiemu
wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Córki
składają dyrektor oraz żołnierze i pracownicy
Departamentu Budżetowego MON.

CENTRUM WETERANA DZIAŁAŃ POZA GRANICAMI PAŃSTWA

Pamiętamy

sierż. Andrzej Wojda
14 lipca 1995 roku,
UNIFIL Liban

szer. ndt. Grzegorz Soswa
16 lipca 2006 roku,
EUFOR Bośnia i Hercegowina

st. sierż. sztab. Lucjan Skrzek
17 lipca 1978 roku,
UNDOF Syria

mjr Jarosław Posadzy
17 lipca 2007 roku,
PKW Irak

płk Ryszard Szewczyk
20 lipca 1998 roku,
UNMOT Tadżykistan

kpr. Mieczysław Sternik
23 lipca 1996 roku,
IFOR Bośnia i Hercegowina

st. szer. ndt. Piotr Biały
25 lipca 2002 roku,
SFOR Bośnia i Hercegowina

sierż. Paweł Poświat
28 lipca 2011 roku,
PKW Afganistan

st. kpr. Marcin Rutkowski
29 lipca 2004 roku,
PKW Irak

SIEDZIBA HISTORII

Otwarcie Muzeum Historii Polski jest planowane na wiosnę 2021 roku.

Tak przewiduje umowa podpisana przez Roberta Kostrę, dyrektora MHP, i Dariusza Blochera, prezesa zarządu Budimex SA. Firma wygrała przetarg na wykonanie robót budowlanych MHP. „Polska historia zasługuje na swoją siedzibę, dlatego budowa gmachu muzeum to podstawowa inwestycja dla naszego kraju”, mówił minister kultury Piotr Gliński podczas podpisania umowy. Muzeum zostało powołane w 2006 roku. Wiosną 2015 roku rozpoczęły się rozmowy dotyczące jego lokalizacji na terenie Cytadeli Warszawskiej, obok planowanej nowej siedziby Muzeum Wojska Polskiego. Budynek MHP zaprojektowała pracownia WXCA. AD ■

PLANY WYJŚCIA

Być może już niedługo będzie można zobaczyć mapę wyprowadzenia wojsk rosyjskich.

Dyrektor Muzeum Historii Polski

ROBERT KOSTRO

„Wyjście wojsk rosyjskich z Polski było przypieczętowaniem tego, że jesteśmy wolni i niepodlegli”.

Mapa została przygotowana w Instytucie Badawczym Dróg i Mostów, a oznaczono na niej miejsca stacjonowania wojsk rosyjskich oraz trasy komunikacyjne, które planowano wykorzystać przy wycofywaniu żołnierzy z Polski w latach 1992–1993. Mapę przekazał prof. Leszek Rafalski, dyrektor IBDiM-u, a trafiła ona do zbiorów MHP z inicjatywy Witolda Chodakiewicza, byłego wiceministra transportu. Wojska radzieckie stacjonowały w Polsce w latach 1944–1993. Na podstawie porozumień zawartych przez rządy Polski i Federacji Rosyjskiej wycofywanie tych sił rozpoczęło się 8 kwietnia 1991 roku, a ostatni żołnierze opuścili Polskę 18 września 1993 roku. W sumie 5203 transportami kolejowymi wyjechało około 56 tys. żołnierzy wraz z wyposażeniem. AD ■

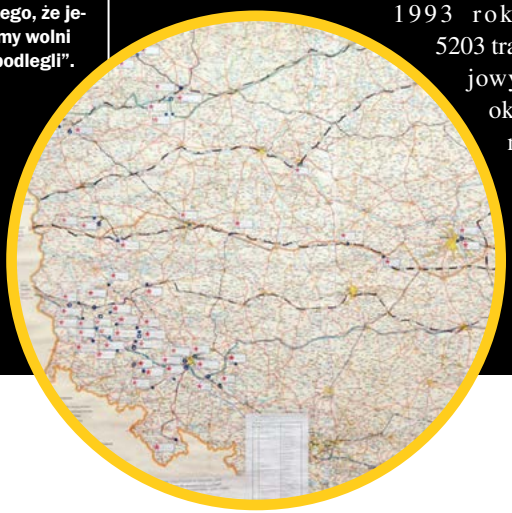

TROJMIASTO.PL

Krzyż dla załogi

W Gdańsku upamiętniono brytyjskich lotników

Brzozowy krzyż poświęcono pamięci siedmiu lotników RAF-u, którzy w trakcie II wojny światowej podczas nalotu na Gdańsk zostali zestrzeleni przez Niemców. 11 lipca 1942 roku 44 brytyjskie bombowce wzięły udział w nalocie na miasto i niemieckie stocznie. Zrzucono 56 t bomb, ale większość ominęła główne cele. Podczas nalotu Niemcy zestrzelili dwa brytyjskie lancastery. W lesie w dzielnicy Wrzeszcz, gdzie spadła jedna z maszyn, Piotr Urban, nauczyciel z Gdańska i wiceprezes Fundacji Exercitus wraz z innymi miłośnikami historii przeprowadzili na wiosnę badania archeologiczne. Odnaleziono m.in. kilka tabliczek znamionowych, elementy poszycia i fragment uprzęży spadochronowej. Przedmioty trafiły do Muzeum II Wojny Światowej. Ciała poległej załogi Niemcy pochowali obok miejsca katastrofy, po wojnie szczątki zostały przeniesione na Cmentarz Wojenny Wspólnoty Brytyjskiej w Malborku. Miejsce, w którym rozbił się drugi samolot, do tej pory nie jest znane. AD ■

ALEKSANDER RAWSKI

POWSTAŃCY WARSZAWSCY DOSTANĄ 850 ZŁ WSPARCIA.

Pieniądze dla bohaterów

Świadczenia w pierwszej kolejności zostaną przyznane osobom najstarszym i samotnym.

Dzięki programowi Fundacji Polskiej Grupy Energetycznej „Bohaterowie naszej przyszłości" powstańcy warszawscy będą mogli otrzymać jednorazowe świadczenie w wysokości 850 zł. Program realizowany jest we współpracy m.in. z Fundacją Cultura Memoriae oraz Urzędem do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. Beneficjentami programu mogą zostać osoby posiadające uprawnienia kombatanckie z tytułu udziału w powstaniu warszawskim przyznane przez szefa UdSKiOR. Świadczenie będzie przysługiwało zarówno uczestnikom walk, jak i osobom wspierającym, czyli członkom ruchu oporu ze struktur Polskiego Państwa Podziemnego. AD ■

X Jubileuszowe Spotkanie Kilińszczaków

8 WRZEŚNIA 2018 ROKU
KROSNO ODRZAŃSKIE

Zapraszamy wszystkich byłych żołnierzy i pracowników wojska służących w jednostkach wojskowych wchodzących w skład 4 DZ

Program:
10.00 – Zbiórka uczestników w Klubie Wojskowym 5 kbsap
10.30 – Uroczyste wystąpienia i wręczenie wyróżnień
11.00 – Wizyta w jednostce wojskowej
17.00 – Spotkanie koleżeńskie

Szczegóły: 601 871 427; 502 762 165

Organizator prosi o szybkie podejmowanie decyzji.

Warunkiem uczestnictwa jest: wpłata do 20.08.2018 roku kwoty 100 zł – na pokrycie kosztów organizacyjnych i posiłku na konto: STOWARZYSZENIE KILIŃSZCZAKÓW 69 9656 0008 0010 6425 2000 0001 – z dopiskiem „Jubileusz"

HEŁM Z SIECI

Agencja Mienia Wojskowego otworzyła sklep internetowy.

Na początek oferta sprzedaży objęła niemal 50 pozycji, ale jak zapowiada AMW, lista dostępnych towarów z czasem będzie dłuższa. Na stronie sklep.amw.com.pl można kupić produkty z wojskowych magazynów, m.in. lornetki, menażki, manierki, torby polowe, pałatki, wojskowe plecaki, kombinezony pilota czy mundury polowe. Na nabywców czekają także latarki, śpiwory, kanistry stalowe, berety, rogatywki i hełmy. Najtaniej, bo już za złotówkę, kupimy bawełnianą chustkę do nosa, a najwięcej, czyli 250 zł, zapłacimy za lornetkę pryzmatyczną 7x45. „Zależało nam, aby umożliwić zakupy jak największej liczbie chętnych. W planach mamy też uruchomienie platformy aukcyjnej", informuje Krzysztof Falkowski, prezes AMW. Środki uzyskane ze sprzedaży sprzętu Agencja przekaże na Fundusz Modernizacji Sił Zbrojnych RP. AD ■

sklep.amw.com.pl

KSIĄŻKA

ODLOTOWY PODRĘCZNIK

Chciałem tylko zostać pilotem śmigłowca!

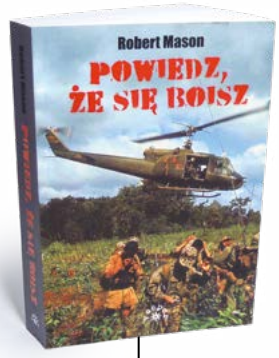

Na zorganizowanym przez 160 Pułk Lotniczy Operacji Specjalnych (tak, ten od „Helikoptera w ogniu") spotkaniu żołnierzy z dwoma pilotami jeden z nich, Bill Reader, rzucił uwagę, że jeśli ktoś chce wiedzieć, jak się lata śmigłowcem nad Wietnamem, musi przeczytać książkę „Powiedz, że się boisz". Reader na wojnie w Wietnamie był dwukrotnie i za każdym razem został zestrzelony. Ukrywał się w dżungli i przeżył niewolę Wietkongu. Drugim z gości był autor – Robert Mason. Okazało się, że ich słuchacze, którzy brali udział m.in. w misjach w Iraku i Afganistanie, już książkę znają. Co więcej, na świecie niemal wszyscy w tym fachu traktują ją jak swoisty podręcznik.

W Polsce pierwsze wydanie ukazało się ponad ćwierć wieku temu i na książkowych forach wielu zainteresowanych tematem wojny wietnamskiej ubolewało, że jest trudno dostępne. Teraz, po latach wznowiono te fascynujące wspomnienia pilota ze słynnego 1 Pułku Kawalerii, zdobywającego szlify wojskowe w 1965 roku w Wietnamie. Robert Mason opisał zarówno szczegóły szkolenia lotniczego czy budowy śmigłowca, jak i operacji desantowania piechoty pod ostrzałem Wietkongu czy ucieczki przed lądowaniem na polu minowym. Nie pominął też opowieści o eskapadach alkoholowo-erotycznych czy handlowaniu zdezelowanymi śmigłowcami. Autor pokazał bezsens tej wojny, chociaż nie angażował się w dyskusje na poziomie politycznym. Jak przyznał, wówczas niewiele wiedział ani na temat tego konfliktu, ani historii tego kraju. Po prostu chciał latać śmigłowcem i zapłacił za to wysoką cenę, jak wielu innych, którzy wyszli z piekła Wietnamu. ■

ANETA WIŚNIEWSKA

Robert Mason, „Powiedz, że się boisz", Vesper, 2018.

KSIĄŻKA

Zgubny postęp

Czy przełomowe technologie na nowo zdefiniują sposób prowadzenia wojen?

W wyniku tak zwanej demokratyzacji techniki, która ma zarówno cywilne, jak i wojskowe zastosowanie, we współczesnych konfliktach zbrojnych napastnikiem może być każdy. Terrorysta wyposażony w bomby ukryte w butach i eksplodującą bieliznę może przeprowadzić atak na własnym podwórku. Wojna przyszłości opisywana przez Roberta H. Latiffa będzie miała jednak całkiem inny charakter. Emerytowany generał dywizji amerykańskiego lotnictwa przestrzega rządy państw, społeczeństwo i żołnierzy przed niepożądanym rozwojem innowacyjnych technologii. „Technika i wojna stały się znacznie bardziej skomplikowane […]. Wojny przyszłości będą złożone i pełne niejednoznaczności. Konsekwencje postępu są znacznie trudniejsze do przewidzenia, a możliwe, że i do kontrolowania".

Robert H. Latiff, „Wojna przyszłości. W obliczu nowego globalnego pola bitwy", PWN, 2018.

Robert H. Latiff koncentruje uwagę na działaniach podejmowanych przez państwo amerykańskie, przedstawiając całe spektrum zastosowania nowoczesnych technologii. Odwołuje się do przeprowadzanych badań w dziedzinie cybertechnologii, biologii syntetycznej czy neuronauki. W produkcji uzbrojenia będzie się wykorzystywać nowe technologie, bazujące na sztucznej inteligencji, pojazdach hipersonicznych i broni laserowej. Robert H. Latiff zastanawia się jednak nad słusznością wyboru takich rozwiązań, odwołując się do idei międzynarodowych norm i zasad. ■

MARTA SZULC

KSIĄŻKA

Walczymy dalej

Publikacja Tomasza Łabuszewskiego poświęcona jest schyłkowemu okresowi działalności 5 Wileńskiej Brygady Armii Krajowej, zwanej także Brygadą Śmierci. Co stanowiło o wyjątkowości formacji w tamtym okresie? Zdaniem autora były to m.in. nietypowa formuła działań, specyficzne warunki operacyjne, ale przede wszystkim ludzie. Dowodzący formacją mjr Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka" początkowo założył, że trzonem jednostki będą znani mu z wcześniejszej działalności konspiracyjnej żołnierze. Dopiero po czasie zaczęto rekrutować ochotników spośród mieszkańców terenów, na których działała brygada. W jej szeregach w przeważającej większości walczyli ludzie bardzo młodzi, jak chociażby Zdzisław Badocha „Żelazny" czy Danuta Siedzikówna „Inka". Około dwudziestoletni, z głowami wypełnionymi ideałami kierowali się typowymi dla tego wieku brawurą i poświęceniem.

Łabuszewski przy opracowywaniu monografii opierał się głównie na tekstach źródłowych. Wykorzystał również relacje świadków i uczestników tamtych wydarzeń. W rezultacie powstało doskonale udokumentowane, rzetelne opracowanie. ■

JOANNA ROCHOWICZ

Tomasz Łabuszewski, „5 Brygada Wileńska AK na Pomorzu, Warmii i Mazurach 1945–1947", IPN, 2018.

KSIĄŻKA

BÓG KONTRA BOGOWIE

Dzieje rodziny wplecione w wielką historię.

Tomasz Stężała, „Wojna bogów", Bellona, 2018.

W swojej najnowszej powieści Tomasz Stężała wziął pod lupę XIII-wieczne dzieje północnej Polski. Krwawe bitwy na pograniczu polsko-pruskim, toczone o ziemię, dobra i wiarę, stały się osią historii rodziny Odoniców niespodziewanie wrzuconych w dziejową zawieruchę.

Jest rok 1237. Murarz Odon wraz z żoną i czworgiem dzieci opuszcza rodzinny Lubyk i rusza za rycerzami krzyżowymi w stronę Gdańska. Rodzina marzy o dostatnim, spokojnym życiu. Nie wie jeszcze, jak decyzja o wyjeździe, szybko podjęta, wpłynie na dalsze losy jej członków, szczególnie najstarszych synów Odona, bliźniaków Rutharda i Loherangrina. Jeden z nich, w trakcie wyprawy porwany przez Prusów, wyrzeka się wiary chrześcijańskiej i staje się przybranym synem wodza Hoggosa. Drugi wkrótce porzuca marzenia o nauce rzemiosła i dołącza do wojska. Obaj będą musieli stanąć do walki po przeciwnych stronach.

KSIĄŻKA

Stacje pocieszenia

Japońskie burdele wojenne to był temat tabu.

Haenyeo – tak nazywają się kobiety z południowokoreańskiej wyspy Czedżu, które zajmują się połowem owoców morza. Szesnastoletnia Hana jest jedną z ich. Podobnie jak jej matka czy babka, codziennie nurkuje, żeby z dna morza wydobyć ośmiornice, jeżowce czy ślimaki. To zajęcie daje tamtejszym kobietom utrzymanie i niezależność.

Wraz z nadejściem wojny zakończyła się idylla Hany. Mimo że uchroniła maleńką siostrę przed japońskimi żołnierzami, okupantami, przyszło jej jednak zapłacić za to wysoką cenę, którą było wywiezienie do Mandżurii. Tam każdego dnia do dziewczynki ustawiały się w kolejce dziesiątki japońskich żołnierzy. Hana była znieważana, bita, brutalnie gwałcona. Trafiła bowiem do jednej z 2 tys. „stacji pocieszenia".

Przez wiele lat od zakończenia II wojny światowej sprawa haniebnego potraktowania może nawet 300 tys. kobiet była przemilczana, tuszowana. Wiele z „pocieszycielek" zmarło w wyniku aborcji, pobicia, chorób wenerycznych, krwo-

Powieść Stężały to fascynująca podróż przez historię i naprawdę trudno się od niej oderwać. W dodatku pokazana z perspektywy nie władców i polityków, lecz zwyczajnej rzemieślniczej rodziny, która każdego dnia walczy o przetrwanie. Odon i jego synowie starają się przede wszystkim przeżyć w niepewnych czasach i zapracować na swoją przyszłość. I choć ostatecznie zostają rozdzieleni przez wydarzenia, na które nie mają wpływu, każdy z nich znajduje swoje przeznaczenie. Stężała osadził opowiedzianą przez siebie historię na solidnych podstawach, przynajmniej w takim stopniu, w jakim pozwoliły mu na to źródła. Oprócz wielkiej historii niewątpliwym atutem powieści jest opis codziennego życia osadników. Z jednej strony nużące zmagania z głodem, brudem, chorobami i następstwami staczanych niemal bez przerwy bitew i potyczek, z drugiej narodziny, pierwsza miłość, dająca satysfakcję praca i przynoszące chwałę bohatera wyprawy. Rozpacz, radość i niepewność jutra. Chociaż, jak podsumowuje w pewnym momencie Odon, w życiu pewne są dwie rzeczy: śmierć i podatki. ■

FASCYNUJĄCA PODRÓŻ PRZEZ XIII-WIECZNĄ PÓŁNOCNĄ POLSKĘ

JOANNA ROCHOWICZ

toków czy samobójstw, część po przegranej Japonii zostało zamordowanych. Te, którym udało się wrócić do rodzinnych domów, żyły z piętnem nieczystych, gorszych. Niektóre po latach zdecydowały się przemówić. Zaczęły walczyć o wynagrodzenie im krzywd. Tyle że rząd japoński do końca ubiegłego stulecia nie chciał przyznać, że istniały burdele wojenne, w których więziono Koreanki, Chinki, Wietnamki, Malajki, a nawet Europejki.

Znakomita książka Mary Lynn Bracht pokazuje ten stosunkowo mało znany epizod II wojny światowej z perspektywy Hany i jej młodszej siostry. ■

ANETA WIŚNIEWSKA

Mary Lynn Bracht, „Biała chryzantema", Świat Książki, 2018.

KSIĄŻKA

Niczym feniks...

Po naszych doświadczeniach historycznych nie możemy sobie pozwolić na braki w wiedzy o tym kraju.

Kiedy 31 grudnia 1999 roku Borys Jelcyn zrezygnował z urzędu prezydenta, Rosja znajdowała się w stanie rozkładu, była cieniem potęgi z czasów zimnej wojny. Słowa ustępującego polityka z pamiętnego orędzia: „odchodzę przed zakończeniem mojej kadencji. Rosja potrzebuje nowych polityków w nowym stuleciu", stały się zapowiedzią punktu zwrotnego w historii tego kraju. Faktycznie bowiem nastała nowa epoka – epoka Putina. Za wszelką cenę dążył on do odbudowy mocarstwowej pozycji państwa. Wszystkie jego działania zostały podporządkowane temu celowi. Nic zatem dziwnego, że autorzy książki „Rosyjska myśl strategiczna i potencjał militarny w XXI wieku" na cezurę czasową wybrali 2000 rok. Co więcej, wskazali kilka punktów zwrotnych na drodze rozwoju rosyjskiej myśli strategicznej, choć wydawać by się mogło, że przez ostatnie dwie dekady obyło się tu bez zakłóceń. Zwrócili oni bowiem uwagę na kilka istotnych elementów: politykę bezpieczeństwa, budowanie potencjału militarnego czy rozwój myśli wojskowej. Przełomowe wydarzenia, takie jak katastrofa okrętu Kursk, wojny czeczeńskie czy konflikt na Ukrainie, doprowadziły do powstania sprawnej armii, stanowiącej precyzyjne narzędzie rażenia.

Znakomici specjaliści związani z wojskiem, tacy jak Piotr Mickiewicz, Daniel Kasprzycki, Cezary Pawlak, Henryk Sołkiewicz czy Tomasz Szubrycht, na podstawie swoich doświadczeń i wszechstronnych źródeł stworzyli kompendium wiedzy pokazujące nie tylko transformację rosyjskiej myśli strategicznej, lecz także budowanie tamtejszych sił zbrojnych w odniesieniu do konkretnych uwarunkowań historycznych i formacji wojskowych. ■

ANETA WIŚNIEWSKA

„Rosyjska myśl strategiczna i potencjał militarny w XXI wieku", pod red. Piotra Mickiewicza, PWN, 2018

ANDRZEJ FĄFARA

Wojna stu godzin

Niektórzy ludzie uważają, że piłka nożna jest sprawą życia i śmierci. Jestem rozczarowany takim podejściem. Mogę zapewnić, że to coś o wiele ważniejszego". Autorem powyższej opinii jest Bill Shankly, szkocki piłkarz i trener. Znam mnóstwo osób, które przyznają mu rację, a jako dowód wymieniają wojnę futbolową między Salwadorem a Hondurasem.

To było prawdziwe starcie, takie z udziałem wojska, a nie – jak można by wnioskować z nazwy konfliktu – zapalczywych kibiców. I nie chodziło, prawdę powiedziawszy, o piłkę nożną, tylko o rolników salwadorskich, którzy przez lata osiedlali się w Hondurasie. Nie mieli oni własnej ziemi i powiększali grupę ludzi niezadowolonych, skłonnych do rewolty. Władze honduraskie zaczęły więc ostro naciskać na przybyszów, by wrócili do ojczyzny.

W takiej oto napiętej atmosferze odbyły się w 1969 roku mecze drugiej rundy eliminacji piłkarskich mistrzostw świata między Salwadorem a Hondurasem. Pierwsze spotkanie, rozegrane 8 czerwca w stolicy Hondurasu – Tegucigalpie, zakończyło się zwycięstwem gospodarzy 1:0. Tydzień później w San Salwadorze miał się odbyć rewanż. Piłkarze obu drużyn dotarli na stadion w wozach pancernych. Na maszt, zamiast flagi Hondurasu, wciągnięta została podarta szmata. Po 90 minutach zaciętej, pełnej agresji gry lepsi okazali się piłkarze Salwadoru (3:0). W pomeczowych zamieszkach zginęły dwie osoby. Zaraz potem oba kraje zerwały stosunki dyplomatyczne, a granica między nimi została zamknięta.

Wojna wybuchła jednak dopiero miesiąc później – 14 lipca 1969 roku. Rozpoczęła się od zbombardowania przez lotnictwo Salwadoru czterech miast Hondurasu. W odpowiedzi honduraskie samoloty zrzuciły bomby na ważniejsze obiekty przemysłowe i strategiczne Salwadoru. Walkę podjęły też siły lądowe obu krajów. Starcia trwały pięć dni, a dokładnie sto godzin. Zginęło w nich po obu stronach – łącznie z cywilami – około 2 tys. osób.

Pisząc o piłkarskich okolicznościach stugodzinnego konfliktu, mało kto wspomina, że odbył się trzeci, decydujący mecz między Hondurasem i Salwadorem. 27 czerwca, czyli jeszcze przed wybuchem wojny, na neutralnym boisku w stolicy Meksyku Salwador zwyciężył Honduras 3:2. Po dogrywce i wielkich emocjach. Następnie Salwadorczycy stoczyli zwycięską walkę o awans do finałów mistrzostw świata z zespołem Haiti. W samych finałach w 1970 roku nie zrobili kariery. Przegrali wszystkie mecze (z Belgią, Meksykiem i Związkiem Radzieckim), nie zdobywając ani jednej bramki.

A co z Billem Shanklym i jego efektownym twierdzeniem na temat znaczenia piłki nożnej? Co cztery lata okazuje się, że miał rację... ■

Pod patronatem
Szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego

MORDERCZY BIEG

#BIEGKATORZNIKA

KATUJE, UPADLA I MIESZA Z BŁOTEM

XIV BIEG KATORŻNIKA

LUBLINIEC – KOKOTEK
OBLACKIE CENTRUM MŁODZIEŻY
NINIWA W KOKOTKU

11 SIERPNIA 2018

XIII BIEG KATORŻNIKA: 10^{00} 11^{00} 12^{00} 14^{00} 15^{00}

XI GALERNIK TEAM: 13^{00}

VII BIEG VIP I DZIENNIKARZY: 11^{30}

BIEG MIKRO, MINI, MAŁEGO, DZIADKA I BABCI: 10^{10} 10^{25} 10^{40}

Wojskowy Klub Biegacza META Lubliniec 1995

JWK

PROJ. KRYSTIAN ŚWIERC FOT. MARIUSZ KIESLICH

Zadanie zlecone i dofinansowane ze środków

Burmistrz Miasta Lubliniec

Sponsorzy

HAIX

ODLEWNIA ŻELIWA TERLECKI

Lasy Państwowe zapraszamy

Partnerzy

Bakoma

Primavera

THIS1 baton do zadań specjalnych

KOSPAN nowe oblicze drewna

URBANEK

VANTORO

NINIWA

Patronat medialny

TVP 3 KATOWICE

Polska Zbrojna

Gwarek

MARATONY POLSKIE.PL

Oficjalny Serwis Foto

FotoMaraton.pl

HISTORIA
Polska Zbrojna

NOWY MAGAZYN

O TRADYCJI I CHWALE POLSKIEGO ORĘŻA

JUŻ W SPRZEDAŻY
POCZTA POLSKA
SALONY EMPIK

ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400

WWW.POLSKA-ZBROJNA.PL